

Agnieszka  
Lewandowska-Kąkol



# SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ

Polskie dzieci w rękach nazistów



  
Replika

# SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ

Polskie dzieci w rękach nazistów





Agnieszka  
Lewandowska-Kąkol

# SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ

Polskie dzieci w rękach nazistów

  
Replika



Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Chrobok

Korekta:

Lidia Ryś

Danuta Urbańska

Skład i łamanie:

Dariusz Nowacki

Projekt okładki:

Mikołaj Piotrowicz

Zdjęcia w książce pochodzą ze zbiorów autorki, archiwów rodzinnych przekazanych autorce oraz ze wskazanych źródeł.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2023

eISBN: 978-83-67867-17-7

Wydawnictwo Replika

ul. Szarotkowa 134

60-175 Poznań  
replika@replika.eu  
[www.replika.eu](http://www.replika.eu)





## Wstęp

Na dworcu w Marburgu czekał na nich volkswagen. Od Monachium, skąd wyruszyli, mieli już za sobą około pięciuset kilometrów. Norymberga, Würzburg, niewiarygodnie zielone pola Spessart, łagodnego masywu górskiego, gdzie wiosna szykowała się już do rozkwitu, i wreszcie stary Frankfurt, dumnie rozpościerający się po obydwu stronach rzeki Men. Tam przesiedli się do pociągu lokalnego, który, po licznych przestojach, w tempie odpowiadającym życiu na prowincji, doczłapał się do Marburga, z dala anonsowanego przez usytuowany na wzgórzu zamek z XIII wieku.

– To wy jedziecie do Schmallenbergu? – zapytał kierowca, wychylając się z okna samochodu.

Gdy ostatni z piątki młodzieńców – wysokich blondynów o niebieskich oczach – ubranych w jednakowe, czarne mundury, zatrzasnął z impetem drzwi pojazdu, ruszyli krętą

drogą przecinającą w poprzek góry Rothaar. Rozgadani, weseli, dowcipkujący, mogliby być uczniami jadącymi na świąteczny wypoczynek do swych domów, gdyby nie opaski ze swastyką wskazujące na ich przynależność. Wszyscy: Albrecht, Martin, Gurt, Leonhard i Peter uczyli się w „Napoli”, narodowo-politycznej szkole przygotowującej oficerów dla SS, nazistowskiej formacji podległej NSDAP. Ta wyprawa była dla nich niespodzianką, urozmaiceniem codzienności, w którą musieli być maksymalnie zaangażowani, proces szkolenia niósł bowiem ze sobą wyśrubowane wymagania.

– Będziemy mogli coś z pana zrobić – zawyrokował jeden z nauczycieli, gdy Peter, prymus, wszedł do jego gabinetu. – Chcemy wysłać pana i czterech pańskich kolegów do Westfalii. Słyszał pan zapewne o Lebensbornie. W jego placówkach tworzy się dla Niemiec czystą, wartościową dla nas krew... Potrzebujemy młodych mężczyzn, takich jak pan, zdrowych, inteligentnych, sprawdzonych i zagorzałych nazistów...

Na zakończenie rozmowy, gdy Peter naciskał już klamkę, usłyszał:

– Trzeba, by zachował pan to w tajemnicy. Proszę nikomu o tym nie wspominać.

Wyszedł lekko zaszokowany. Oczywiście wszyscy w Hitlerjugend słyszeli o Lebensbornie, ale nigdy nie przypuszczał, że właśnie jemu przyjdzie się tam znaleźć i że pomyślne zaliczenie końcowych egzaminów uzależnione będzie między innymi od tego, czy dobrze się spisze jako ogier rozplodowy. Sytuacja ta nieco go intrygowała i bawiła, ale, mimo że zdążył już przesiąknąć narodowo-

socjalistycznymi ideami i szkolenia rasowe nie były mu obce, również niepokoiła i psychicznie dręczyła na tyle, że poświęcił jej sporo miejsca w swych pamiętnikach.

Po dwóch godzinach znaleźli się w Schmallerbergu, niewielkiej miejscowości urokliwie wkomponowanej w pasmo reńskich gór łupkowych, niewysokich, ale obfitujących w kobierce tkane z różnych odcieni zieleni. Nad wplecionymi w nie domkami jednorodziennymi zdecydowanie górowały niespecjalnie pasujące do otoczenia bloki. Zatrzymali się właśnie przy takim nowoczesnym budynku przypominającym typowy szpital.

„To tak wygląda siedziba Lebensbornu?”, pytał sam siebie w duchu Peter. Podniecenie i entuzjazm z początku podróży, które nawiedzały go zwykle przed czymś nieznanym, ale budzącym jego ciekawość, przemieniły się teraz w niepewność, zdenerwowanie, zażenowanie – co ja tu w ogóle robię?

Wprowadzono ich do okazałego holu. Za błyszczącym, odbijającym wszystko niczym lustro kontuarem siedziała kobieta w mundurze BDM (Związku Niemieckich Dziewcząt, będącym żeńską sekcją Hitlerjugend). Pytała o nazwiska, widać było, że ma je w swoich papierach, prosiła o dokumenty, a po ich przejrzeniu odsyłała młodych ludzi do pokoju znajdującego się niedaleko, też na parterze. Tam pielęgniarka rozdawała szczegółowe ankiety, po wypełnieniu których mieli pojedynczo udać się na badanie lekarskie.

Peter wszedł do gabinetu jako drugi. Lekarz przez dłuższą chwilę skupił się nad blankietem, po czym wnikliwie zlustrował pacjenta od stóp do głów i rozpoczął dokładne badanie niemal wszystkich narządów, podpierając się

prześwietlaniem niektórych. Gdy wszystko okazało się w jak najlepszym porządku, Peter odetchnął z ulgą i w tym momencie otrzymał probówkę.

– Potrzebuję już tylko próbki pańskiego nasienia. Mam nadzieję, że szybko pan do mnie wróci – słyszy zakłopotany Peter, wchodząc do separatu. Szumi mu w uszach i lekko kręci się w głowie. „W co ja wdepnąłem?”, pyta sam siebie. Po chwilowym osłupieniu postanawia jednak myśleć pozytywnie. Przecież wiedział, po co tu jedzie. Trzeba to szybko załatwić. Po chwili ponownie puka do gabinetu.

Lekarz podaje mu etykietkę.

– Proszę nakleić to na probówkę i położyć tam, na półce.

Na blacie leży już wiele innych probówek.

– Teraz dokonamy analizy. Proszę czekać na wynik w swoim pokoju.

Wieczorem przekazano mu informację, żeby udał się do świetlicy.

„To chyba dowód na to, że wynik jest pozytywny. Przeszedłem”, pomyślał.

Przestronne, wysokie pomieszczenie z okazałym kominkiem i witrażami w oknach. Gwar. Dużo młodych ludzi, mężczyzn i kobiet. Grają w ping-ponga, w szachy, rozmawiają. Na końcu sali kilka par tańczy przy dźwiękach wydobywających się z radioodbiornika postawionego na blacie baru, w którym można zamówić tylko mleko i soki owocowe. Oprócz tego szczegółu całość przypomina zwykłe spotkanie towarzyskie młodych ludzi, w których Peter nie raz przecież uczestniczył. Tu jednak czuł się nieswojo. Wdrapał się na stół barowy i zamówił sok. Z góry

dostrzegł kilku oficerów w mundurach różnych formacji. Sącząc napój, za który tu się nie płaciło, zobaczył blondynkę siedzącą przy stoliku pod ścianą i oglądającą jakieś kolorowe czasopismo. Była ładna. Spodobało mu się w niej wszystko poza oczami. Były niebieskie, ale jakoś tak sztucznie, porcelanowo niebieskie, jak u lalki, zupełnie bez wyrazu. Po uzyskaniu jej zgody przysiadł się do stolika. Liselotta była tam od trzech dni, więc Peter poprosił, aby wyjaśniła mu zasady panujące w miejscu, do którego przybył kilka godzin temu.

– Umiera pan pewnie z ciekawości, w jaki sposób wszyscy razem idą do łóżka zgodnie z narodowosocjalistycznymi regulaminami... – uśmiechnęła się znacząco, a on się zaczerwienił. – Wiem o tym niewiele więcej od pana. Gdybym była tu dłużej, to pewno nie moglibyśmy rozmawiać, bo byłabym już „zarezerwowana”. Mogę powiedzieć tylko tyle, że dziewczęta, z których większość należy do BDM, mieszkają w sześć- lub dwunastoosobowych pokojach pod nadzorem kobiet, także z BDM, a te, które ktoś wybierze, przenoszone są do innego oddziału, gdzie załatwia się formalne szczegóły tych krótkich związków i narodzin, bo trzeba przecież pamiętać, że po to tu jesteśmy. Nie sądzi pan, że dziwna to rzecz – odwróciła od niego wzrok – żeby dla własnego kraju żądać od kogoś... – zawiesiła głos, nadal nie patrząc na niego.

– Czy wszystkie jesteście ochotniczkami?

– Raczej wolontariuszkami poddawanyymi w organizacji pewnym naciskom, by nas do tego wolontariatu przekonać. Najczęściej używa się odwołań do patriotyzmu.

– A gdyby któraś odmówiła...

– Nigdy o tym nie słyszałam, ale z pewnością można wtedy wpaść w kłopoty. Jeśli chodzi o mnie, może zabrzmiałoby to dziwnie, ale trudno mi wyjaśnić, jak to się stało, że dałam się namówić na przyjazd tutaj. Właściwie zrozumiałam, co to wszystko znaczy, dopiero kiedy się tu znalazłam, ale było już za późno – zrobiła taką minę, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

Peter zastanawiał się, co odpowiedzieć, co zrobić, jak zareagować na tę szczerość.

– Dla nas wszystkich jest to trudne do zrozumienia – starał się wybrnąć z krępującej sytuacji. – Może zatańczymy?

Owionął go nieco duszący zapach perfum ulatniający się z błyszczących, jasnych loków. Dobrze im szło. Tańczyli długo, aż do momentu, gdy muzyka ucichła. Resztę wieczoru spędzili na rozmowie, starając się choć trochę się poznać. Około północy Liselotta spojrzała na zegarek.

– Mam dość rozmowy, muzyki, tego całego hałasu, a ty?

Nim zdążył odpowiedzieć, zaproponowała:

– Może pójdziemy do twojego pokoju?

Przed wejściem na drugie piętro, gdzie znajdowały się pokoje przybywających do ośrodka mężczyzn, musieli podstemplować swoje karty. To niezbędna formalność stanowiąca namiastkę aktu małżeństwa. W dokumencie zaznaczono między innymi, iż raz powziętej decyzji o wyborze partnera nie można zmienić, ale w wyjątkowych przypadkach mężczyzna mógł zostać wezwany do innego zakładu ochotniczej reprodukcji.

Gdy wchodzili do pokoju, Peter pomyślał o Brygidzie. Nie wiedziała oczywiście, dokąd wyjechał. Na chwilę przystanął w progu. Moment zawahania, po którym przyszła wpajana mu przez lata refleksja: nie jestem tu dla rozrywki, ale dla mego kraju, a służba dla niego to mój obowiązek.

Następnych pięć dni spędzili tak, jakby wyjechali w podróż poślubną. Nie byli uwięzieni. Poza łóżkiem mieli do dyspozycji otoczenie gór Rothaar wraz z urokami przyrody, klimatycznymi gospodami i kafejkami. W Schmallenbergu wiele domów, oprócz głównego, w którym mieszkali, należało do organizacji Lebensborn. Wykupiono je od dawnych właścicieli albo wybudowano specjalnie dla matek z dziećmi urodzonymi dla Rzeszy, by choć początkowy etap ich życia zbliżony był do normalnego. Gdy mijali jeden z nich, Liselotta niespodziewanie z tęsknotą w głosie, powiedziała:

– Może tu, w jednym z pokoi, będę mieszkać z moim, przepraszam, z naszym dzieckiem...

Rozstanie było trudne dla obydwójga. Tylko sześć dni, a jednak... Już w pociągu Peter na własny użytek nazwał to doświadczenie „sztuczną sprawą miłosną”, choć, kiedy głębiej się zastanowił, to taka sztuczna ona nie była... Szybko zaczął myśleć o tym, co czeka go podczas najbliższych zajęć w szkole.

Istnienie tego obszaru działalności Lebensbornu do dziś jest negowane przez większość niemieckich badaczy, którzy twierdzą, że nie ma dokumentów go potwierdzających. Tymczasem, mimo iż znaczna część druków urzędowych, celowo lub przez przypadek, została zlikwidowana,

przetrwały zdjęcia i pisemne relacje naocznych świadków procederu uprawianego w bogato rozgałęzionej instytucji będącej oczkiem w głowie Reichsführera SS Heinricha Himmlera, któremu Hitler przekazał władzę w dziedzinie polityki rasowej i ludnościowej.

Przykładem tego typu dowodów są zdjęcia opublikowane w 1972 roku w londyńskim czasopiśmie „Weekend”, dokładnie ukazujące różne sceny z życia organizacji określanej jako hitlerowskie obozy miłości, ludzkie wylęgarnie czy rasowe hodowle Himmlera. Należą do nich również pamiętniki Petera Neumanna, wydane w Londynie w 1958 roku pod tytułem *Other Men's Graves*, na podstawie których została opisana „sztuczna sprawa miłosna” Liselotty i Petera. Szacuje się, że w sieci tych ekskluzywnych burdeli przyszło na świat około czterdzieści tysięcy dzieci, których matką i ojcem miało stać się państwo, a jedynym bogiem Hitler. Plan Himmlera wybiegał w daleką przyszłość, zakładał znaczne powiększenie populacji „rasowych panów” dzięki sprowadzeniu do Niemiec trzech milionów kobiet angielskich i pięciu milionów pochodzących ze Skandynawii. Na szczęście upadek III Rzeszy zablokował ten proceder, którego skutki okazały się przerażające.

Większość dzieci urodzonych w zakładach Lebensbornu była opóźniona w rozwoju fizycznym i umysłowym, co potwierdziły badania lekarskie. Opiekowały się nimi bezosobowe, zuniformizowane pielęgniarki; dzieci te przebywały w stałych, zorganizowanych grupach, poddawane były jednolitemu reżimowi, co powodowało, iż wiele spośród nich w wieku powyżej trzech lat nie umiało ani chodzić, ani mówić. Wszystkim brakowało zasadniczych



elementów wychowania – normalnej rodziny i miłości. Żołnierz, podróżnik i popularny w latach pięćdziesiątych XX wieku pisarz brytyjski Wiliam Stanley Moss, dogłębnie badający problemy związane z dziećmi, które miały pecha urodzić się w ośrodkach zbrodniczej instytucji, twierdził, iż gdyby losy wojny potoczyły się na korzyść armii niemieckiej, to i tak hitlerowskiego planu opierającego się na eksperymentowaniu na ludziach szybko by zaniechano, bowiem zgodnie z nazistowskimi kryteriami większość nieszczęsnych dzieci, które pojawiły się na świecie w wyniku barbarzyńskiego procederu, znalazłaby się w obozach koncentracyjnych.

Oficjalnie Lebensborn, określane przez zarządzających nim ludzi jako stowarzyszenie społeczno-dobroczynne, powołano do życia w Berlinie na początku 1936 roku, a jego szefem został Standartenführer SS Max Sollmann. Motto umieszczone na pierwszej stronie statutu organizacji: „Święta nam będzie każda matka dobrej krwi”, sygnowane zostało przez samego Himmlera. W preambule przeczytać można m.in.: „Lebensborn stanowi część składową SS i podlega bezpośrednio Reichsführerowi SS, który nadaje mu kierunek światopoglądowy [...]. Zadania instytucji leżą w dziedzinie demograficzno-politycznej. [...] Lebensborn ma popierać jak największą liczebność dzieci w organizacji SS, przychodzić z pomocą każdej matce i każdemu dziecku dobrej krwi [...]”.

Całe sztaby ekspertów pracowały nad tym, by ową „dobrą krew” jak najbardziej szczegółowo określić i sklasyfikować. Brano więc pod uwagę: wzrost, budowę, postawę, długość kończyn dolnych, kształt głowy, potylicę, kształt twarzy, nozdrza, wysokość nosa, szerokość nosa, kości policzkowe,

położenie oczu, szparę powiekową, układ fałd oczu, wargi, policzki, linię zarostu włosów, owłosienie ciała, kolor włosów, kolor oczu, kolor skóry. Każda z wymienionych cech szeregowana była w pięciu odmianach, od bardzo wysokiej i silnie występującej po bardzo małą i występującą sporadycznie. O precyzyjności przeprowadzanych badań świadczą takie orzeczenia, jak: „Górna część nosa odpowiada innemu typowi rasowemu aniżeli część dolna” albo: „Typ mieszany, nordycko-falijsko-wschodnio-bałtycki”. Początkowo przynależność do Lebensbornu dla członków SS była dobrowolna, ale wraz z nastaniem 1942 roku stała się obowiązkowa dla wyższych rangą oficerów, od sierżanta wzwyż. Wysokość składek uzależniono od ich stanu cywilnego i ilości potomstwa. Najwyższe płacili kawalerowie, których obarczano winą za niewypełnianie obowiązku powiększania niemieckiej populacji.

Do ośrodków Lebensbornu przyjmowano matki „dobrej krwi”. Oprócz opisanych badań poddawano je także testom psychologicznym na okres ciąży, porodu i poporodowy, którego czas nie był precyzyjnie określony. Najczęściej matki opuszczały zakład, pozostawiając w nim dziecko na zawsze, czyli zrzekając się go, albo do chwili, kiedy będą miały odpowiednie warunki do jego wychowywania. Te pierwsze dzieci trafiały do adopcji, o którą mogły się starać głównie małżeństwa esesmanów. Ambicją Lebensbornu było bowiem wychowanie dzieci w duchu idei narodowosocjalistycznych. Do tego zobowiązane były również matki nieporzucające potomstwa. W czasie oczekiwania na rozwiązanie szkolono je intensywnie w tej materii, a po porodzie organizowano ceremonię uroczystego nadania dziecku imienia, na wzór chrztu. Przydzielany wówczas nieprzypadkowo ojciec

chrzestny miał dawać gwarancję „pozytywnego” procesu wychowawczego.

Nie przywiązywano wagi do stanu cywilnego matek, zadziwia obyczajowa progresywność hitlerowców, nowa moralność w tym dotąd konserwatywnym społeczeństwie. Dużą część kobiet stanowiły panny i mężatki, którym przydarzyła się ciąża pozamałżeńska. Można powiedzieć, że pod tym względem organizacja zastąpiła dalekich krewnych, do których wysyłano ciężarną pannę, by we wsi nie wytykano jej palcami. Te proprokreacyjne działania były odpowiedzią na ogromną liczbę aborcji dokonywanych wówczas w Rzeszy i związane były także z wojennymi planami strategicznymi nazistowskich marzycieli. Według Generalnego Planu Wschodniego, opracowanego na zlecenie Himmlera przez niemiecką administrację, na przestrzeni dwudziestu lat z Europy Środkowej zamierzano wysiedlić od trzydziestu do pięćdziesięciu milionów mieszkańców, a ich miejsce zająć mieli tak zwani etniczni Niemcy. Część z nich stanowiliby przesiedleńcy z terenów III Rzeszy, a resztę planowano „odnaleźć” w ramach akcji „odzyskiwania krwi niemieckiej” w krajach podbitych, w tym w Polsce.

Od czerwca roku 1941, kiedy to Niemcy utworzyli kolejny front swych działań, tym razem na Wschodzie, nastąpiła nagła i znacząca intensyfikacja praktycznego wypełniania teoretycznych założeń szaleńczego planu. W związku z ogromem strat ponoszonych w walkach o ZSRR, którego nie udało się pokonać tak szybko, jak Francji czy Wielkiej Brytanii, potrzeba „nowej krwi”, dodajmy: wciąż skrupulatnie selekcionowanej, stała się jeszcze większa i pilniejsza. W tym momencie Lebensborn wszedł na drogę przestępstwa, dopuszczając się zbrodni przeciwko

ludzkości, polegającej na wywożeniu – była to najzwyczajniejsza, często podstępna kradzież – dzieci z podbijanych krajów i ich germanizowaniu.

Proceder prowadzono w Rumunii, Norwegii, Francji, Belgii, Holandii, Luksemburgu, ale to teren Polski stanowił podstawowe źródło pozyskiwania dzieci. Już w sierpniu 1941 roku, a więc w dwa miesiące od rozpoczęcia działań na froncie wschodnim, namiestnik Rzeszy w „Kraju Warty”, Arthur Greiser, zobowiązany został przez szefostwo Urzędu do Spraw Umocniania Niemczyzny do rozpoczęcia akcji germanizowania polskich dzieci. Zaangażowanych było w nią wiele nazistowskich instytucji, między innymi NSV – Narodowosocjalistyczne Towarzystwo Opieki Społecznej, ale prym wiódł Lebensborn.

Postępowaniem objęto różne grupy dzieci, lecz na początku były to te, z którymi teoretycznie powinno być najmniej kłopotów, a więc sieroty przebywające w domach dziecka albo w rodzinach zastępczych. Dochodziło do niewyobrażalnej perfidii, gdy uprowadzano i oddawano pod opiekę rodzin niemieckich dzieci rodziców czynnie walczących z Niemcami albo przez nich zamordowanych. Cały proces składał się z szeregu etapów. Po rejestracji dziecka i zgłoszeniu go do Urzędu do Spraw Rasy i Osadnictwa w Łodzi odbywały się badania zdrowotne i rasowe. Badania psychologiczne miały miejsce w jednym z zakładów germanizacyjnych, już po uprowadzeniu, odłączeniu od rodziny. Od wyniku kwalifikacji zależało, czy dziecko trafiało pod opiekę jakiegoś ośrodka Lebensbornu, a potem do rodziny niemieckiej, najczęściej przekonanej o tym, że zabiera do domu sierotę niemiecką, czy też odsyłało je do jednej ze Szkół Ojczyźnianych – dotyczyło to

dzieci starszych – której zadaniem, oprócz nieustającej nauki języka niemieckiego, była indoktrynacja światopoglądowa. W szczególnym rygorze wychowywano tam chłopców, u których wyrabiano ogólną sprawność fizyczną i których przysposabiano do żołnierskiego fachu, by nadawali się do wysłania na front, przeważnie jako „mięso armatnie”. Pieczołowicie dbano o zatarcie wszelkich śladów pochodzenia skradzionych dzieci. Służyło temu tajne biuro meldunkowe, utworzone między innymi przy Okręgowym Domu Dziecka w Kaliszu.

„Należy liczyć się z faktem, że krewni i znajomi będą próbować różnych sposobów, by określić miejsce pobytu i znaleźć dzieci. Takie poszukiwania są możliwe poprzez złożenie wniosku w policyjnym biurze meldunkowym. Tym sposobem obrany wcześniej cel, jakim jest germanizacja dzieci, staje się zagrożony [...]. Z tego powodu zarządzam zorganizowanie dla wspomnianego Gaukinderheimu specjalnego policyjnego biura meldunkowego [...]. Całą kwestię należy potraktować jako poufną i powstrzymać się od wszelkich publikacji [...].” – czytamy w utajnionym zarządzeniu ministra spraw wewnętrznych III Rzeszy z 10 grudnia 1942 roku.

Dzieci rejestrowano w tym urzędzie-widmie, ale w oficjalnym biurze meldunkowym nie figurowały. Zmieniano im, co również usankcjonowane było odpowiednim zarządzeniem, imiona i nazwiska, ale tak, by ich brzmienie przypominało prawdziwe, dostosowane do autentycznych źródłosłów. Najczęściej pozostawiano pierwsze litery, dodając niemiecką końcówkę. Chodziło o to, by w przyszłości dwa nazwiska zlały się w pamięci dziecka w jedno i by to pierwsze poszło w zapomnienie. Nieznacznie

modyfikowano również datę urodzenia. Podobnie działający urząd powołano również przy zakładzie „Alpenland” w Oberweis w Austrii, gdzie przebywała duża grupa polskich dzieci.

Mimo wspólnych losów, poddawania tym samym procedurom urzędowym i metodom wychowawczym, każdy przypadek skradzionego dziecka jest inny, szczególny, wyjątkowy, jedyny dla niego i jego rodziny. Dla obu stron wszystkie były dramatyczne, ale najbardziej poruszające, najsmutniejsze były chyba losy tych dzieci, którym doszczętnie wydarto korzenie, zgermanizowano tak perfekcyjnie, iż nawet po odnalezieniu przez rodziców nie zdecydowały się na powrót do nich. Przejmujący przypadek tego typu przedstawili francuscy dokumentaliści Clarissa Henry i Marc Hillel w filmie *W imię rasy*. W 1943 roku hitlerowcy uprowadzili z Rogoźna córeczkę Bronisławy Ewertowskiej, Irenkę. Kiedy po wojnie przedstawiciele Czerwonego Krzyża odnaleźli ją w niemieckiej rodzinie, adopcyjni rodzice na kilka godzin zamknęli się z nią w toalecie, a potem szybko przeprowadzili się w inne miejsce, zacierając za sobą wszelkie ślady.

Po trzydziestu latach, w czasie których matka wciąż czekała, wciąż wierzyła, że córka wróci, francuscy filmowcy odnaleźli ją w Niemczech. Kobieta nie chciała z nimi rozmawiać, a jej adwokat zakomunikował, iż Irena założyła rodzinę, jest zadowolona ze swego życia i nie zamierza wracać do przeszłości ani do Polski. Zwieńczeniem filmu są dwa zdania wypowiedziane przez zrozpaczoną matkę po niemiecku: „Kochana Ireno, napisz do mnie kilka słów. Mam sześćdziesiąt siedem lat, jak umrę, ty tam zapłaczesz, bo nie chciałaś nawet do mnie napisać”. Irena nigdy się nie

odezwała. Nawet wtedy, gdy jej polska rodzina poinformowała ją o śmierci matki. Bronisława zginęła nagle, tragicznie, w wypadku kolejowym, więc pewnie nie zdążyła pomyśleć z żalem o swej utraconej na zawsze córce.

Ogromna ilość germanizowanych dzieci pochodziła od kobiet wywożonych do Niemiec na przymusowe roboty. Gdy ciężarna wykazywała cechy aryjskie, poddawano ją szczegółowym badaniom rasowym. Ich pozytywny wynik sprawiał, iż o zawłaszczeniu dziecka decydowano, gdy znajdowało się ono jeszcze w łonie matki. W ostatnim stadium ciąży umieszczano kobietę w jednym z zakładów Lebensbornu, po rozwiązaniu jak najszybciej odsyłano z powrotem do pracy, a niemowlę zatrzymywano. Matka mogła je zatrzymać tylko wtedy, gdy zgodziła się przyjąć obywatelstwo niemieckie albo wyszła za mąż za Niemca. Robotnice uznane za rasowo wartościowe przymuszano także do kontaktów seksualnych z wyselekcjonowanymi oficerami SS lub innymi niemieckimi formacjami wojskowych. W takim wypadku dziecko albo pozostawało w dyspozycji Lebensbornu, albo przyznawano je ojcu.

Już w progu czuć było dławiący zaduch. Zimno, bo nawet w zimie się nie grzało. W ciasnym pomieszczeniu na podłodze były poukładane jeden przy drugim cienkie sienniki, a na nich leżące i siedzące dzieci, a raczej ich cienie. Najmłodsze to niedawno odebrane matkom niemowlaki, najstarsze miały pięć lat. Prawie się ruszały i nie płakały, bo nie miały siły.

Te, które już powinny, nie mówiły, gdyż część nie potrafiła, a inne się bały, bo można było mówić tylko po niemiecku. Większość była łyśa, brudna i ubrana w strzępy odzieży. Spod kawałków śmierdzących materiałów wyzierały wrzody

i rany, czasem tak głębokie, że widać było kości. W oczach dzieci czaił się lęk, a skurczone ciała wyglądały, jakby oczekiwały kolejnego ciosu. Bały się wszelkich, nawet cichych dźwięków, światło witały maksymalnym zmrużeniem oczu. Musiały być głodne, bo niemowlaki otrzymywały dziennie pół litra mleka i kostkę cukru, a starszym wrzucano do koryta gotowaną marchew i brukiew.

Opiekę nad dziećmi, które trafiły do zakładu wychowawczego w Wąsoszu koło Rawicza, sprawowały ewangelickie siostry zakonne, których przełożoną była siostra Marta „Borgia” Gotzler. Raz dziennie któraś z sióstr zbierała martwe ciała, wkładała je do skrzynek i na taczkach wywoziła na cmentarz. Puste skrzynki ustawiała w pomieszczeniu, by były gotowe na następny dzień. Z 485 dzieci polskich robotnic przymusowych, które przebywały w ośrodku w Wąsoszu, przeżyło 39, a takich umieralni było wiele. Skróceniem męczarni, wybawieniem tych maluchów, które nie miały szans stamtąd wyjść, był zastrzyk z fenolu.

W przemówieniu Himmlera na temat narodów słowiańskich, wygłoszonym w Bad Schachen we wrześniu 1943 roku, znalazły się takie fragmenty:

„Jest jasne, że w tej mieszaninie narodów zawsze pojawiać się będą pewne typy bardzo dobre pod względem rasowym. W tym wypadku naszym zadaniem jest zabrać ich dzieci do nas i oderwać od środowiska, choćbyśmy mieli dzieci te ukraść. Albo zdobędziemy dobrą krew, którą możemy spożytkować u siebie i wprzęgnąć w nasze szeregi, albo – moi panowie, możecie to nazwać okrucieństwem, ale natura jest okrutna – zniszczymy tę krew... Nie może ona znajdować się po stronie naszych wrogów [...]”.



Przez trzynaście lat, od 1993 do 2006 roku, trwało śledztwo w sprawie eksterminacyjnej działalności niemieckiego personelu zakładu w Wąsoszu koło Rawicza. Mimo iż bez cienia wątpliwości stwierdzono, że dzieci tam przebywające poddawane były systematycznemu unicestwianiu, ze względu na niewykrycie sprawców tej zbrodni dochodzenie umorzono.

Jakież „szczęście” – tu nasuwa się refleksja o ogromnym uzależnieniu znaczenia słów od kontekstu – miały więc dzieci „rasowo przydatne” w porównaniu z tymi, których natura nie wyposażyła w zespół cech wyszczególnionych przez nazistowskich naukowców. Z jednej strony leżała na szali powolna głodowa śmierć, czasem z litości podany śmiertelny zastrzyk, z drugiej życie, choć pełne dramatycznych zakrętów, w końcu jakoś tam unormowane, lecz inne od przeciętnego, bo na zawsze naznaczone traumą. Diaboliczna perfidia i demoniczna podłość przyświecały wielu przedsięwzięciom hitlerowskich bestii. Wypada nadmienić także niegodziwe traktowanie dzieci, które, uznane za „wartościowe”, wywożono do Niemiec, a tam okazywały się „wątpliwe moralnie” albo niepodatne na germanizację. Część zatrudniano w niemieckim rolnictwie, inne wysyłano do obozów koncentracyjnych, najmłodsze do opisanych wcześniej „umieralni”, jeszcze inne odsyłano do Polski. Nie tam jednak, skąd zostały wykradzione. Często więc tułały się po różnych domach dziecka, nie odnajdywały rodziców, na zawsze traciły rodzinę. Nasuwa się pytanie – dlaczego tak postępowano? Otóż według chorego, acz niepozbawionego pewnej logiki przeświadczenia Himmlera, stanowiły one dla Rzeszy zagrożenie. Były na tyle silne i świadome, dotyczyło to

najczęściej dzieci starszych, że nie dostosowywały się do stawianych im wymagań, wciąż mówiły po polsku, próbowały uciekać, istniała więc obawa, że gdy dorosną, staną się dla narodu niemieckiego zagrożeniem. Tylko oderwanie ich od „zepsutych” korzeni mogło w jakiś sposób temu zapobiec.

„Inn” to po angielsku zajazd, karczma, gospoda. Trudno powiedzieć, dlaczego właśnie taką nazwę nosi jedna z rzek płynących z Alp Szwajcarskich przez Austrię aż do „bawarskiej Wenecji”, jak nazywane jest niemieckie miasto Passawa, w którym wraz z rzeką Ilz wpływa do Dunaju. Ta wielka rzeka polodowcowa jest znacznie dłuższa (518 km), szersza i głębsza od urokliwej, ale niepozornej Ilz. Przez niefrasobliwość i zaniedbanie, bo celowe działanie raczej należy tu wykluczyć, stała się częścią niechlubnego epizodu II wojny światowej.

Dokumenty potwierdzające wielokierunkową działalność Lebensbornu były sukcesywnie niszczone przez przezornych szefów organizacji, ale spora ich część przetrwała w Urzędzie Stanu Cywilnego w Monachium. Po zakończeniu działań wojennych i wkroczeniu aliantów zapakowano je do sześciu skrzyń, którymi wypełniono ciężarówkę, z zamiarem przewiezienia dokładnie nie wiadomo dokąd, ale z pewnością w jakieś ustronne, nierzucające się w oczy miejsce. Po drodze samochód zatrzymany został przez jednostkę amerykańską. Kapitan stojący na jej czele pobieżnie przejrzał zawartość skrzyń, a ponieważ znajdujące się w nich dokumenty nic mu nie mówiły, choćby ze względu na barierę językową, zarządził wrzucenie całego ładunku do rzeki, koło koryta której się znajdowali.

W okolicach Monachium Inn nie przepływa już stromymi, górskimi zboczami i dolinami, jak bliżej swego źródła, jest szersza i głębsza, więc zdołała pochłonąć ciężkie pakunki. Jakiś czas później płynące rzeką pojedyncze papiery, uwolnione z prawdopodobnie rozpadających się pod wpływem wody skrzyń, zauważyli oficerowie jugosłowiańskiej misji wojskowej. Zainteresowani niezwykle widokiem zaczęli je wyławiać i ze zdziwieniem stwierdzili, że znajdują się na nich między innymi nazwiska jugosłowiańskie. Po dokładniejszej lekturze okazało się, iż chodziło o dzieci germanizowane w ośrodkach Lebensbornu, na co wskazywały daty urodzenia. Żołnierze wiedzieli o akcji UNRRA dotyczącej poszukiwania dzieci uprowadzanych z krajów podbitych przez Niemców, więc wyłowili całe znalezisko i przekazali je żołnierzom z Polskiej Misji Wojskowej w Wiesbaden.

Można powiedzieć „dobre i to”, ale brak całościowego udokumentowania wielu obszarów działalności Lebensbornu sprawił, że funkcjonowanie tej instytucji skrywa się za zasłoną niejednoznaczności i niewiedzy. Wszystko opiera się na formułowaniu podejrzeń, snuciu przypuszczeń, czego konsekwencją jest nieosądzenie ludzi kierujących przedsięwzięciem, którzy zdając sobie sprawę z tego, że dowody są skąpe, a wynikająca z nich argumentacja marna, z prób ich ukarania niewiele sobie robili. Pierwsza taka próba odbyła się pomiędzy 10 października 1947 roku a 10 marca 1948 roku, w ramach ósmego cyklu procesów norymberskich odbywających się przed I Amerykańskim Trybunałem Wojskowym. W stan oskarżenia postawiono wówczas czternastu wysokich funkcjonariuszy organizacji SS, którzy przewodniczyli

czterem instytucjom realizującym nazistowskie programy rasowe. Znalazł się wśród nich Lebensborn, którego twórca, naczelny wódz i opiekun, Heinrich Himmler, już nie żył, bowiem po zatrzymaniu go przez Brytyjczyków w maju 1945 roku popełnił samobójstwo, połykając cyjanek potasu.

W akcie oskarżenia zarzucano kierownictwu Lebensbornu (Max Sollmann – szef naczelny, Gregor Ebner – szef departamentu zdrowia, Günther Tesch – szef departamentu prawnego, Inge Viermetz – zastępczyni szefa głównego, odpowiadająca za adopcje) popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości i przynależność do zbrodniczych organizacji. Podczas kilku posiedzeń sądowych, w niektórych zeznawały również dzieci, obrona zbrodniarzy starała się uwypuklać fakt, iż dzieci adoptowane przez niemieckie rodziny były dobrze traktowane. Kres takim tłumaczeniom położył jeden z prokuratorów, Harold Neely, twierdząc: „Nie stanowi to obrony kidnapera, jeśli mówi, że traktował dobrze swoją ofiarę. Ważniejsze jest, dlaczego były one dobrze traktowane. Odpowiedź jest prosta: te niewinne dzieci uprowadzono do wprzęgnięcia ich w hitlerowską ideologię, za pomocą której mieli być wychowani dobrzy Niemcy. Jest to okoliczność obciążająca, a nie łagodząca zbrodnię [...]”. Tego typu tłumaczenia nie przekonały jednak sędziów, a wyrok, który wydali, zbulwersował dużą część opinii publicznej. Trzech szefów Lebensbornu uznano wyłącznie winnymi przynależności do organizacji zbrodniczej SS, otrzymali oni wyroki po dwa lata więzienia, mierzone od chwili aresztowania, więc już zaliczone, a Inge Viermetz uniewinniono. Lebensborn uznano zaś za instytucję dobroczynną.

Jakże inny punkt widzenia zaprezentowano podczas procesu przeciwko kierownictwu Lebensbornu przed niemieckim Trybunałem Denazyfikacyjnym, który odbył się w Monachium niecałe dwa lata później (w lutym 1950 roku). W jego orzeczeniu stwierdzono, iż Trybunał nie może zgodzić się z ustaleniami Amerykańskiego Trybunału Wojskowego w Norymberdze wskazującymi na to, że szefowie Lebensbornu są niewinni i że organizacja prowadziła działalność czysto charytatywną. Uznano ją za instytucję zbrodniczą, a jej kierownictwo, poszerzone do siedmiu osób, winne zarzucanych mu czynów. Choć kary były symboliczne (przymusowe prace, które zresztą umorzono ze względu na długi areszt tymczasowy przed procesem norymberskim, i częściowa konfiskata mienia), sam fakt, iż Niemcy osądzili Niemców surowiej i „sprawiedliwiej” niż Amerykanie, musi zastanawiać. Być może jakieś znaczenie miał tu fakt uchwalenia przez Zgromadzenie Ogólne ONZ konwencji międzynarodowej w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, do której zaliczono między innymi „przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy”. Miało to miejsce 9 grudnia 1948 roku, a więc dziewięć miesięcy po wydaniu wyroku norymberskiego, ale ponad rok przed orzeczeniem Trybunału Denazyfikacyjnego. Nie chce się wierzyć, iż na tak niesłuszny, niemający żadnego pokrycia w rzeczywistości wyrok Amerykanów miało wpływ poczucie zakłopotania związane z lekkomyślnym zatopieniem dokumentów organizacji, którą sądzili przez ich własną jednostkę wojskową.

Działania nazistowskich funkcjonariuszy w dziedzinie rabowania i germanizacji dzieci z podbitych krajów odbywały się w majestacie państwowych urzędów, ale szerokim łukiem omijały majestat prawa obowiązującego w III Rzeszy. Instytucje zaangażowane w proceder sytuowano obok niego, w domenie zasad wymyślanych *ad hoc* na bieżące potrzeby przez Heinricha Himmlera i jego wyznawców. Lebensborn obdarzono prerogatywami władzy państwowej, jako że stowarzyszenie funkcjonowało w ramach organizacji SS rządzącej się własnymi normami postępowania. Zdarzało się, że ustalenia były telefoniczne i krótka notatka z rozmowy stanowiła podstawę prawną do określonego działania. Tajne biura meldunkowe lub fałszywe urzędy stanu cywilnego wystawiały fikcyjne metryki. Urzędnicy Lebensbornu prokurowali zaświadczenia uwierzytelniane urzędowymi pieczęciami z godłem, należącymi do prezydenta policji danego okręgu, stanowiące podstawę do otrzymywania kart żywnościowych i ubiegania się o inne świadczenia.

Całkowicie uniezależniono stowarzyszenie od organów sądowych. Gdy procedura adoptowania dziecka wymagała jednak zetknięcia się z wymiarem sprawiedliwości, wiadomo było, że żaden sąd nie odważy się wchodzić w szczegóły sprawy, śledzić na przykład przeszłości adoptowanego, tylko automatycznie ją zaakceptuje, na podstawie danych przedstawianych przez funkcjonariuszy SS, które posiadały moc najrzetelniejszego dowodu. To tylko kilka wybranych przykładów omijania prawa czy podążania za tym, które fabrykowano naprędce, często przez jedną noc, niezgodnego z normami wewnątrz krajowymi i międzynarodowymi, jak choćby konwencja haska z 1902 roku. Zwyródnienie

systemu prawnego to podstawa funkcjonowania większości państw autorytarnych. Niestety, przykład III Rzeszy nie stał się dla świata ostrzeżeniem i po jej upadku nie brakuje takich tendencji.

Roman Hrabar to nazwisko nic niemówiące współczesnym Polakom, a kryje się pod nim postać niezwykła, zasługująca na odrębną książkę, która jak nikt inny przyczyniła się do powrotu do kraju wielu wywiezionych dzieci. Akcja odnajdywania wykradzonych nieletnich Polaków i sprowadzania ich do ojczyzny rozpoczęła się zaraz po zakończeniu działań wojennych. Prowadziło ją wiele instytucji międzynarodowych, z Czerwonym Krzyżem na czele, ale nikt nie był w nią tak silnie zaangażowany ani nikt nie miał na swym koncie tylu połączonych rodzin, co urodzony w Kołomyi adwokat, który większość swego życia spędził w Katowicach. Powołany na stanowisko pełnomocnika rządu do spraw rewindykacji dzieci, przyjął to zadanie za swą życiową misję, postanawiając zrobić w tej materii wszystko, co tylko możliwe.

To między innymi dzięki jego działalności na forum międzynarodowym Zgromadzenie Ogólne ONZ uznało wynaradawianie za zbrodnię ludobójstwa niepodlegającą przedawnieniu. Hrabar zgromadził ogromne archiwum, które stało się podstawą późniejszych badań naukowych, dodajmy – bardzo wątplych, bo jakoś temat nie znalazł się w polu szczególnych zainteresowań ani badaczy polskich, ani tym bardziej niemieckich. Jego szczegółowe ustalenia, że około dwieście tysięcy polskich dzieci zostało wykradzonych z kraju, a wróciło do niego zaledwie

trzydzieści tysięcy, do dziś są aktualne, nikt ich wiarygodnie nie skorygował.

Adwokat pracował dniami i nocami, a mimo to odpowiadał na każdy list, spotykał się ze wszystkimi, którzy tego potrzebowali, jeździł po Polsce i wielu krajach europejskich, by odnaleźć dzieci siłą wyrwane ze swych rodzin. Wielką radość i satysfakcję sprawiały mu wzruszające powitania, których czasami był świadkiem, choć nie brakowało też gorzkich chwil, gdy odszukane i sprowadzone dziecko trafiało do sierocińca, bo jego rodzeni rodzice nie żyli, albo, co chyba jeszcze gorsze, bo więź rodzinna nie wytrzymała długiej rozłąki. Gdy akcja prowadzona przez Hrabara była w rozkwicie i wydawało się, że dzięki niej wiele jeszcze dzieci pozna swe korzenie, została nagle, niemal z dnia na dzień, przerwana ze względu na skomplikowaną sytuację polityczną.

Był rok 1950. Z jednej strony Polska Ludowa, sterowana z drugiego rządu przez Sowietów, z drugiej dwa państwa niemieckie. Z zaprzyjaźnioną Niemiecką Republiką Demokratyczną ze względów dyplomatycznych nie poruszało się tematu II wojny światowej, bo z założenia wszyscy jej obywatele potępiali hitlerowską działalność, co oczywiście absolutnie mijało się z prawdą. Z Republiką Federalną Niemiec ludowa Polska nie utrzymywała żadnych kontaktów, więc praktycznie nie istniało żadne forum, na którym można by poruszyć tak drażliwy temat. W dodatku alianci również nie sprzyjali akcji; w ich mniemaniu dla samych dzieci korzystniejsze było bowiem pozostanie po właściwej stronie, niż przekraczanie żelaznej kurtyny. Wydaje się, że spora grupa naszych rozbitków wróciłaby do swych domów, gdyby nie te niesprzyjające okoliczności, gdyż



zapału do ich odnajdywania starczyłoby mecenasowi jeszcze na wiele lat.

Udało się odnaleźć tylko niewiele ponad 10% dzieci spośród uprowadzonych z naszego kraju przez hitlerowski aparat władzy, stąd wniosek, iż do dziś w różnych zakątkach świata żyją Polacy, którzy nie mają pojęcia, skąd pochodzą. Są też tacy, którzy całkiem niedawno, będąc już w zaawansowanym wieku, często przez przypadek, zorientowali się w swych pogmatwanych losach i, mimo że ich ziemską wędrówka dobiega końca, rozpoczęli poszukiwania swych korzeni. Zważywszy na to, jak krótko (około dwóch lat) trwała akcja prowadzona przez Romana Hrabara, szacunkowa liczba trzydzieści tysięcy odnalezionych wydaje się imponująca.

Obojętność naukowców, a w przypadku niemieckich badaczy nawet niechęć, także przyczyniła się do zaprzestania poszukiwań po 1950 roku. To z kolei zaowocowało brakiem świadomości na temat istnienia tej problematyki wśród społeczeństw, których członkowie w większości nigdy się z nią nie zetknęli. O ileż szerzej i częściej komentowano na różnych forach grabież dzieł sztuki niż podstępne wykradanie żywych ludzi. Dzisiaj, blisko osiemdziesiąt lat po wojnie, niewiele zmieniło się w tym zakresie, i to po obu stronach Odry.

Co pewien czas z pojedynczych gniazd wylatują jaskółki, lecz po krótkim locie do nich wracają. Jednym z takich lotów nadziei po niemieckiej stronie jest działalność Christopha Schwarza, nauczyciela, historyka z zamiłowania, którego rodzina także została dotknięta

wojną, bowiem jego babcia więziona była w obozie koncentracyjnym.

Po spotkaniu kobiety, która jako polskie dziecko została wywieziona do Szkoły Ojczyźnianej w celu germanizacji, założył stowarzyszenie „Zrabowane dzieci – zapomniane ofiary”. Zdążył już wypełnić sześćset stron spisanyymi historiami kilkudziesięciu osób, do których udało mu się dotrzeć, próbując pomagać im w załatwianiu ważnych spraw. Jedną z nich jest uznanie ich za ofiary nazistów, który to statut uprawnia do otrzymania odszkodowania. Jednak wedle wyroku wydanego przez Sąd Administracyjny w Kolonii 2 lipca 2018 roku za ofiary nazistów uznać można osoby, które „z powodu swoich społecznych lub osobistych zachowań były prześladowane jako jednostki lub członkowie grup, albo którym z tych powodów została wyrządzona krzywda”. Zatem zdaniem sądu porwane dzieci nie mają prawa do odszkodowań, gdyż „nie były prześladowane z racji swojego zachowania lub szczególnych cech”. Podkreślmy, ten wyrok wydano pięć lat temu! Nic się nie zmieniło. Wcześniejsze konstatacje niemieckich, choć nie nazistowskich urzędów sugerowały to samo.

„Los porwanych dzieci to sprawa ogólnych następstw wojny [...], dotykał w czasie działań wojennych wielu rodzin i był skutkiem strategii wojennej [...]. Przymusowa germanizacja nie miała w pierwszej kolejności na celu unicestwienia ani pozbawienia wolności jednostki, lecz jej pozyskanie dla własnych korzyści Rzeszy” – to oświadczenie Ministerstwa Finansów z 2013 roku. Mniej więcej w tym samym czasie Ministerstwo Spraw Zagranicznych stwierdziło: „Nie ma żadnych danych na ten temat, [...] z ogólnie dostępnych źródeł [...] wynika jednak, że ofiarami

porwań i przymusowych adopcji było około 250 dzieci z Europy Wschodniej...”.

Christoph Schwarz nie poddaje się i wraz ze zrzeszonymi w jego stowarzyszeniu byłymi zrabowanymi dziećmi zamierza walczyć w kolejnych instancjach sądowych.

Najnowszym przedsięwzięciem na drodze do poznawania wciąż nieodkrytych faktów w tej materii i jak najszerszego ich rozpowszechniania jest rozpoczęta w 2017 roku wspólna akcja polskiego portalu „Interia” i niemieckiej stacji radiowo-telewizyjnej „Deutsche Welle”, zatytułowana „Zrabowane dzieci”. W jej ramach rozpoczęto poszukiwania wykradzionych przez Niemców polskich dzieci, które poddawane były procesowi germanizacji. Do pierwszych jej owoców należą: pierwsza międzynarodowa konferencja naukowa poświęcona w całości temu tematowi, dotąd prawie nieobecnemu zarówno na polu badawczym, jak i w świadomości społeczeństw, która odbyła się w Krakowie, książka *Teraz jesteście Niemcami*<sup>[1]</sup> oraz film *Zrabowane dzieci*<sup>[2]</sup>.

Ta wyjątkowa akcja, choć na pewno spóźniona, bo już niewielu jej bohaterów jest z nami, stała się bodźcem do powstania książki, którą biorą Państwo do ręki. Nieocenioną pomoc w zbieraniu materiału do niej otrzymałam od Redaktor Eweliny Karpińskiej-Morek z portalu „Interia”, za co Jej serdecznie dziękuję.

[1] *Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci*, Wydawnictwo M, Kraków 2018. Teksty składające się na książkę napisali: Ewelina Karpińska-Morek, Agnieszka Waś-Turecka, Monika Sieradzka, Artur Wróblewski, Tomasz Majta, Michał Drzonek.

[2] *Zrabowane dzieci – Geraubte Kinder*, film portalu Interia i Deutsche Welle: [https://www.youtube.com/watch?v=hqQv\\_Y2vt9I](https://www.youtube.com/watch?v=hqQv_Y2vt9I).





W wózkach dzieci urodzone w ramach programu Lebensborn.

*Źródło: Bundesarchiv*



SS-mański „chrzest” dziecka urodzonego w programie Lebensborn „dla Führera i wielkiej Rzeszy”.

*Źródło: Bundesarchiv*







Do ośrodków Lebensbornu przyjmowano matki „dobrej krwi”.

*Źródło: Wikimedia Commons*





Dzieci organizacji Lebensborn w domu „Sonnenwiese” pod Lipskiem.

*Źródło: Archiwum Arolsen*



## 1.

### **Mama i Mutti – miała dwie matki**

„Jakie piękne, prawdziwie nordyckie dzieci” – cmokali z zadowoleniem Niemcy po przebadaniu potomstwa Haliny i Franciszka Witaszków. W styczniu 1943 roku ich ojciec, wybitny lekarz i naukowiec, za działalność konspiracyjną, w której wykorzystywał swoje medyczne wynalazki do unieszkodliwiania Niemców szczególnie perfidnych wobec Polaków, został stracony w poznańskim Forcie VII, a matkę, jasną blondynkę, którą z wyrokiem śmierci kilka dni później również tam przewieziono, ułaskawiono, to znaczy z numerem 39447 osadzono w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Sam Heinrich Himmler zainteresował się dziećmi tak idealnej pary, nic więc dziwnego, że już w lutym cała piątka Witaszków otrzymała wezwanie na badania do Urzędu Rasy i Osadnictwa w Poznaniu. Najstarsza z nich – Mariola – zapamiętała kilka szczegółów: czarne mundury z krzyżami, wszystkie dzieci rozebrane do naga przechodzące z pokoju do pokoju, gdzie je mierzono

i fotografowano. Jej nałożono na głowę jakiś drewniany, wydający dziwne odgłosy aparat, a potem jakiś funkcjonariusz palcem grzebał w jej buzi i obmacywał podniebienie. Cała piątka zyskała poklask. Na szczęście dalsza rodzina, intuicyjnie chyba wyczuwając czyhające niebezpieczeństwo, rozdzieliła dzieci między siebie. Dwie najstarsze dziewczynki – Mariola i Iwona – pojechały do Kielc, małego Krzysia zabrał do Ostrowa Wielkopolskiego brat mamy – Zygmunt, a Alodia i Daria pozostały u krewnych w Poznaniu. I to właśnie o nie po półrocznej ciszy, we wrześniu upomniało się gestapo. Pozostałej trójce – wywiad musiał wszystko rejestrować i wiedziano, że nie ma ich w mieście – dano spokój.

Dziewiątego września opiekunowie zaprowadzili dziewczynki do poznańskiego Domu Żołnierza, gdzie mieściło się gestapo. Ulicą, przy której budynek był usytuowany, przechodziła właśnie, głośno grając, orkiestra wojskowa. Przywołano dziewczynki do okna, by mogły obserwować trąby i imponujące bębny, a opiekunom nakazano w tym czasie powrót do domu. Gdy Daria i Alodia się odwróciły, cioci i wujka już nie było. Przewieziono je do obozu przejściowego przy Główniej, dokąd sukcesywnie dostarczano inne dzieci z rodzin „witaszkowców”. Nazbierało się ich około siedemdziesięcioro. Na szczęście dziewczynki miały siebie nawzajem. Ze strachem w oczach tuliły się do siebie, a starsza o rok i dziewięć miesięcy Alodia z całych sił starała się opiekować młodszą siostrzyczką. Po kilku godzinach samochodami przewieziono dzieci na poznański dworzec, a stamtąd koleją do Łodzi, do jedyne go w Polsce obozu koncentracyjnego dla dzieci, znajdującego się przy ulicy Przemysłowej, w samym środku getta.

Przetrzymywano tam dzieci nie tylko z Polski, ale również z Rosji, Czech i Niemiec, w wieku od dwóch do szesnastu lat. Nie wolno było używać języka ojczystego, wszyscy zobowiązani byli porozumiewać się po niemiecku. Trzeba było szybko się uczyć choć podstawowych słów, bo niezbędne były do życia codziennego. Panował wojskowy dryl, którego wiele dzieci, pozbawionych jakiegokolwiek opieki dorosłych, nie było w stanie znieść. Podczas apeli wymagano, by odliczać po niemiecku, większość dzieci nie potrafiła tego robić, więc czekano, aż coś wydukają. Poza tym część maluchów błądziła, nie docierała na miejsce zbiórki, szukano ich, apele trwały w nieskończoność. Daria i Alodia trafiły do baraku dla dzieci młodszych, w wieku od dwóch do ośmiu lat. Na łagrowych pryczach leżały słomiane sienniki, szare, brudne poduszki i także same, w dodatku dziurawe, koce. Na jednej pryczy spały dzieci z jednej rodziny. Daria i Alodia były tylko dwie, miały więc sporo miejsca i miło im było się w siebie wtulać, ale na innych pryczach zdarzało się po czworo i pięcioro dzieci. Pełno było wszy, pluskiew i karaluchów stadnie łażących po podłodze. Ze względu na panoszące się robactwo większość dzieci ogolona była na łyso. Daria i Alodia zachowały swoje włosy prawdopodobnie dlatego, że przeznaczono je do germanizacji i adopcji, stały więc wysoko w panującej tam hierarchii.

Od dzieci wymagano absolutnego posłuszeństwa. Jakiegokolwiek opóźnienia w wykonywaniu rozkazów czy sprzeczności wobec nich tępienie były batem, często nadużywanym przez SS-manów i kapo. Większość dzieci nie miała ze sobą żadnych swoich rzeczy, tylko ubranie, w którym przywieziono je do obozu. Nie było mowy

o przebraniu się, kiedy było pobrudzone czy mokre. Te dzieci, które ze względu na stres moczyły się w nocy, myto na powietrzu zimną wodą z pompy, nawet gdy nadeszła już chłodna jesień, a potem musiały nakładać to, w czym wcześniej spały. Coraz więcej dzieci chorowało, do czego przyczyniały się też głodowe racje żywieniowe. Skórka od chleba i czarna kawa musiały wystarczyć na cały dzień. Młodsze dzieci, takie jak Daria i Alodia, nie pracowały. Starsze harowały od świtu do nocy. Prały bieliznę, gotowały, zajmowały się ogrodem, z którego nie wolno im było uszczknąć najmniejszej nawet marchewki, cerowały mundury i reperowały obuwie wojskowe przysyłane z frontu. Osłabione głodem i warunkami bytowymi często tego nie wytrzymały i rano znajdowano ich ciała na drutach elektrycznych okalających obóz.

Daria i Alodia nie przebywały w tym strasznym miejscu długo, gdyż przyłgnęła do nich etykieta wartościowych dla rasy aryjskiej, miały zasilić społeczność niemiecką. Mniej więcej po ośmiu tygodniach przewieziono je do Gaukinderheimu w Kaliszu. Wszystkie dzieci tam przebywające przeznaczone były do germanizacji. Zajmowały się nimi SS-manki, które z jednej strony były pielęgniarkami niemieckiej opieki społecznej, z drugiej zobowiązane były dbać o „utrzymanie biologicznej siły narodu” i składały przysięgę na wierność doktrynie o jednorodnej wspólnotce narodowej. W większości bez zmruczenia oka wykonywały rozkazy hitlerowców. Konsekwentnie wmawiały dzieciom, nawet tym starszym, które coś z poprzedniego życia pamiętały, że od urodzenia są Niemcami.



W Kaliszu Alodia zachorowała na krup, chorobę zakaźną zagrażającą innymi dzieciom, przewieziono ją więc do niepodlegającego ani Gestapo, ani SS, miejskiego szpitala przeznaczonego dla wszystkich pacjentów z rejonu Wielkopolski. Na karcie szpitalnej po raz pierwszy wypisano jej nowe nazwisko – Alice Wittke. By ratować życie dziewczynki, a była dla Niemców cenna jako „dobry materiał” do germanizacji, poddana została tracheotomii. Przez jakiś czas nie mogła mówić, ale bacznie słuchała, co mówią wokół. Część pacjentów posługiwała się niemieckim, który znała jeszcze słabo, ale część mówiła językiem polskim. Gdy dochodziła już do zdrowia, zaczęła opowiadać o sobie, o rodzinie, mówiła wyjątkowo dużo, może chcąc zrekompensować sobie czas, kiedy mogła tylko milczeć. Jedna z pań odwiedzających pacjentkę leżącą w pokoju Alodii, zorientowała się, że jest dzieckiem zamordowanego doktora, znanego w okolicy, po której zdążyły się już roznieść wieści o jego straceniu i porwaniu dwóch jego córek. Traf chciał, że znała brata mamy, wujka Zygmunta, mieszkającego w Ostrowie Wielkopolskim, do którego z Kalisza jest zaledwie trzydzieści kilometrów.

Zaalarmowany wujek przyjechał do szpitala, gdzie bez problemu mógł odwiedzić dziewczynkę. Poznał jej nowe nazwisko i dowiedział się, że wraz z nią zabrano też Darię. Kiedy przyjechał następnym razem, Alodia była już z powrotem w Gaukinderheimie i nie zezwolono mu na widzenie się z nią ani z jej młodszą siostrą. Jakikolwiek kontakt z dziećmi tam przetrzymywanymi mógł nastąpić za okazaniem zezwolenia wydanego przez urząd SS w Poznaniu. Zdobycie tego dokumentu było niemożliwe. Wujek wszedł w układ z pracownikiem ośrodka,

wykonującym tam prace stolarskie, ogrodnicze i porządkowe, który miał już na swym koncie uratowanie kilkorga dzieci. Nie wiadomo, od kogo dowiedział się o jego tajnej działalności, bynajmniej nie filantropijnej. Za odpowiednią zapłatą przez boczną, gospodarczą bramę, zaprzęgiem konnym, wywoził dzieci, umieszczając je w workach na dnie wozu, przykrywając nieczystościami. Za obiecane kosztowności Alodia i Daria właśnie w ten sposób miały zostać uwolnione. Niestety, gdy wujek przyjechał z biżuterią, okazało się, że dziewczynki nie ma już w Kaliszu. Nikt nie wiedział, a raczej nie chciał ujawnić, dokąd je wywieziono. Radykalne zerwanie wszelkich kontaktów z rodziną stanowiło podstawę procesu germanizacji.

Tymczasem dziewczynki przewieziono do ośrodka Lebensbornu w Połczynie Zdroju, noszącego wówczas nazwę niemiecką – Bad Polzin. Po dotychczasowych doświadczeniach w Łodzi i Kaliszu budynek dawnego sanatorium położony w pięknym parku zrobił na nich dobre wrażenie. Nie było tam brudnych, zauszonych pryczy ani metalowych piętrowych łóżek, ale małe, czyste, wygodnie wymoszczone łóżeczka dziecięce, po sześć w każdej sali. Ustawione były tak, by dziecko leżące w jednym łóżeczku nie mogło złapać za rękę leżącego w sąsiednim. Nie było żadnej SS-manki, a pielęgniarki ubrane całe na biało. Pierwsze i drugie piętro przeznaczone było dla niemowląt, w większości tam urodzonych, a starsze dzieci, takie jak siostry Witaszek, przeznaczone do germanizacji, mieszkały na parterze.

Warunki bytowe były znacznie lepsze, ale nadal ustawicznie, całymi dniami trwał proces zniemczania.

Odbywały się intensywne lekcje niemieckiego, które często przeprowadzano w trakcie zabawy, nauki wierszyków czy piosenek. Wmawiano dzieciom, że są niemieckimi sierotami, których rodzice zginęli podczas bombardowań i jeśli bardzo za nimi tęsknią, to najlepiej, by patrzyły w niebo, na którym z pewnością znajdą ich gwiazdki i tylko w ten sposób mogą się z nimi kontaktować. Pocieszeniem miał być fakt, że niebawem przyjadą po nich nowi rodzice, na których dzieci z wielką niecierpliwością czekały, szczególnie wieczorem, gdy leżały już w łóżkach z nadzieją, że może przyśni im się mamusia albo tatuś. Dla Alodii owym szczęśliwym dniem stał się dwudziesty czwarty kwietnia 1944 roku. Wtedy w półczyńskim ośrodku zjawiała się jej nowa Mutti. Wyglądała zupełnie inaczej niż jej „dotychczasowa” mama. Była od niej sporo starsza, niska, pulchna, i miała ciemne włosy. Po latach Alodia dowiedziała się, że Luise Dahl, sekretarka ze Stendal w środkowych Niemczech, też była zdumiona wyglądem dziewczynki, którą jej „oferowano”. Ona i jej mąż mieli ciemne włosy i oczy, więc to niemal białowłose dziecko o niebieskich oczach zupełnie do nich nie pasowało. Alodia czekała na ten dzień z takim napięciem, tak spragniona była matczynej czułości, iż mimo swego zdumienia z radosnym uśmiechem podeszła do po raz pierwszy spotkanej kobiety, mówiąc:

– Guten Tag, Mutti.

Taka serdeczna spontaniczność musiała być ujmująca. Długo spacerowały po parku, a do budynku wracały już, tuląc się do siebie. Luise przebywała w ośrodku kilka dni i stopniowo poznawała swą przyszłą córeczkę. Dowiedziała się od niej, że jest tam również jej młodsza siostra i od razu zapragnęła adoptować obydwie dziewczynki. Powiedziano jej

jednak, że Daria (teraz Dora) zarezerwowana jest dla wysokiego rangą oficera SS. W międzyczasie dziewczynka zachorowała na grypę, więc znalazła się w izolatce, gdzie na domiar złego dopadło ją jakieś uczulenie. By nie drapała się po twarzy – musiała przecież dobrze wyglądać, skoro miała się udać w tak wysokie progi – bandażowano jej ręce. Oficer SS wybrał jednak inne dziecko, obawiając się, że Dora jest zbyt chorowita. Dziewczynka wyjechała dopiero miesiąc po Alodii do austriackiego miasteczka Weitra, położonego blisko granicy z Czechami, do domu malarza pokojowego, gdzie stała się Dorą Wittke.

Po kilku dniach wspólnych spacerów i rozmów Luise zabrała więc do siebie tylko Alodię. Później próbowała jeszcze odszukać Darię, co, niestety, jej się nie udało. Z dużym prawdopodobieństwem można sądzić, że wysłanie jej do Austrii było celowe, miało zapobiec ewentualnym kontaktom między siostrami. W nowej metryce Alodii prawdziwa była tylko data urodzenia, 3 stycznia 1938, miejsce zostało zmienione na Stendal, gdzie zamieszkała, nie mówiąc o nowym nazwisku – Alice Luise Dahl. Jej Mutti była ewangeliczką, więc Alice po raz drugi została ochrzczona, teraz w tym obrządku. Pierwszego września 1944 roku dziewczynka poszła do niemieckiej szkoły, gdzie absolutnie nie odróżniała się od innych dzieci. W niecały rok stała się typowym niemieckim dzieckiem, co pozytywnie zaświadczało o metodach stosowanych w procesie germanizacyjnym. Koleżanki nie miały pojęcia, że nie jest rodowitą Niemką. Mówiła już wyłącznie po niemiecku, czasem tylko zamiast słowa „nein” używała polskiego „nie”.

Luise Dahl ze względów zdrowotnych nie mogła mieć dzieci, więc Alice stała się jej oczkiem w głowie; od

pierwszego dnia zajmowała się nią niezwykle troskliwie. Trudno było wtedy o ubranka dla dzieci, więc własnoręcznie, na drutach, wydziergała całą garderobę i dziewczynka chodziła starannie i różnorodnie ubrana. Poza lekcjami szkolnymi Mutti zapisywała ją na różne zajęcia dodatkowe. Alice była w sekcji gimnastycznej, pływała, chodziła na balet, zimą jeździła na łyżwach i sankach. Podczas pierwszej wspólnej Wielkanocy pojechały do Francji, gdzie w obozie jenieckim przebywał mąż Luise, Wilhelm. Od nowego taty dziewczynka dostała zajęcia wypełnione słodyczami, a kiedy w 1946 roku wrócił do domu, stała się dla niego ogromną radością, sensem życia. Obsypywał ją prezentami, nie potrafiąc niczego odmówić. Wcześniej, na Wielkanoc 1945 roku, dostała od niego drewniane szczudła, gdyż wśród tamtejszych dzieci nastąpiła moda na poruszanie się za ich pomocą.

Alodia mogła trafić do tego domu dzięki silnemu politycznemu zaangażowaniu Wilhelma. Już w 1933 roku wstąpił do SA (Sturmabteilung – bojówka NSDAP), a od roku 1937 należał do NSDAP. Zajmował wysoką pozycję w wielu nazistowskich organizacjach, m.in. w NSV (Narodowosocjalistyczna Ludowa Opieka Społeczna), co dawało gwarancję, że dziecko będzie wychowywane zgodnie z wytycznymi Himmlera. W tej sytuacji jego żona nie musiała należeć do żadnej partii i mogła zaspokajać swój instynkt macierzyński. Tak, jak działo się to w przypadku dzieci, z którymi „wiązano duże nadzieje”, przed adopcją rodzina została szczegółowo sprawdzona. W tym wypadku kulisy hitlerowskiego proceduru nie miały żadnego wpływu na jakość życia przysposobionego dziecka. Alice nie

brakowało niczego, łącznie z matczyną czułością, co było najważniejsze. Na tym dostatnim, spokojnym, drugim życiu dziewczynki cieniem kładły się tylko działania bojowe ostatniego etapu wojny. Stendal leżał na linii Londyn – Berlin i w związku z tym był nękany częstymi i intensywnymi nalotami aliantów. Mieszkańcy dużo czasu spędzali więc w piwnicach, a dzieci, w ramach dodatkowego zabezpieczenia, siedziały w nich z dużymi garnkami na głowach. Po nalocie wybiegały na szrudłach na przerażające ulice. Być może zabawne poruszanie się odwracało ich uwagę od makabrycznych szczegółów, ale Alodia do dziś pamięta leżące na chodnikach strzępy ciał, oderwane ręce, nogi ludzi, którzy nie zdążyli skryć się w schronach. Bała się, drżała przy każdym wybuchu, nie mając świadomości, że to batalia korzystna dla jej ojczyzny. A gdzie była jej ojczyzna? Tego typu myśli przeważnie nie zaprzatają głów sześć-, siedmioletnich dziewczynek... Wszystko, co najlepsze, było tam, gdzie Mutti...

Nie miała pojęcia, że jej rodzona mama jest całkiem blisko. Obóz Ravensbrück, w którym do kwietnia 1945 roku przebywała Halina Witaszek, znajdował się około osiemdziesięciu kilometrów na północ od Berlina, a Stendal trochę ponad sto kilometrów od Berlina, ale na zachód. Miejsca te dzieliło od siebie około stu pięćdziesięciu kilometrów, a w linii prostej, na przykład powietrznej, znacznie mniej, i były one w tym czasie przestrzenią wspólną dla tego samego spektaklu działań bojowych. Halina patrząc nań przez kolczaste druty, w przeciwieństwie do Alodii świadoma sytuacji, mimo iż bomby padały wokół, nie czuła zagrożenia, tylko radość z każdego udanego nalotu na terytorium wroga. Do Ravensbrück

przywędrowała z Oświęcimia, gdzie spędziła równo dwa lata. Przeżyła dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego. Jako rodowita poznanianka, urodzona w 1908 roku, chodziła do szkoły niemieckiej, a potem na uniwersytecie studiowała różne języki obce, w tym niemiecki. Dzięki temu zatrudniono ją w kancelarii obozowej i uniknęła ciężkiej pracy na powietrzu niezależnie od warunków atmosferycznych.

Gdy wojska radzieckie były już blisko Oświęcimia, szefostwo obozu wyprawiło więźniów w kolumnach marszowych do najpóźniej wyzwolonego obozu, Ravensbrück. Połowa stycznia, kopny śnieg, duży mróz, a oni, chorzy, wygłodzeni, wyniszczeni, w cienkich więziennych strojach, mieli przebyć około ośmiuset kilometrów. Przemieszczali się po terenach nieustannie bombardowanych przez aliantów, gdzie ze względu na zniszczenie trakcji i torów nie kursowały pociągi. Mogąc jedynie od czasu do czasu liczyć na podwiezienie końmi, większość dystansu musieli pokonywać piechotą. Nic dziwnego, że do celu dotarło tylko dwadzieścia procent najsilniejszych, najbardziej wytrwałych, a może mających najsilniejsze motywacje kobiet. Była wśród nich Halina Witaszek.

Niecałe trzy miesiące później, pod koniec kwietnia 1945 roku, gdy obóz został wyzwolony, znów piechotą wyruszyła w drogę, tym razem do swego Poznania. Nie miała pojęcia, co dzieje się z rodziną, więc zrezygnowała z regeneracji sił w którymś z zagranicznych sanatoriów, dokąd zabierano wielu więźniów; jak najszybciej chciała znaleźć się u siebie, by to sprawdzić. Przeszła wiele, była silna fizycznie i psychicznie, ale to, czego dowiedziała się na miejscu

o mało jej nie zabiło. Chociaż wywieziono ją do Oświęcimia kilka dni po wykonaniu wyroku na Franciszku, wiadomość o tym nie przedostała się na zewnątrz i ona też nie była tego świadoma. Oczywiście musiała się liczyć z tym, że mąż żywy z Fortu VII nie wyjdzie, ale nie łagodziło to bólu po potwierdzeniu owej informacji. W dodatku świadomość, że egzekucja odbyła się jeszcze przed jej aresztowaniem i nastąpiła w miejscu, w którym potem ona jakiś czas przebywała, potęgowała ból po stracie.

Wiele lat później Halina napisała: „Mieliśmy z Franciszkiem po trzydzieści jeden lat. Byliśmy bardzo szczęśliwą rodziną. Pamiętać będę sylwetkę męża jako piękną, wysmukłą, jak u angielskiego dżentelmena...”. Dramat związany ze stratą ukochanego męża rozciągnął się w czasie, bo oto w piwnicach budynku Medycyny Sądowej w Poznaniu znaleziono w słoju głowę doktora Witaszka zakonserwowaną w formalinie. Prawdopodobnie jeden z niemieckich profesorów anatomii, znając liczne wynalazki doktora, chciał poznać tajemnice jego mózgu. Było to zgodne z panującą w pierwszej połowie XX wieku tendencją naukową, by poznawać mózgi wybitnych osobowości. Na fali tego nurtu poddano szczegółowym badaniom mózg marszałka Piłsudskiego.

Wedle innej koncepcji ta dekapitacja miała związek z narodowym charakterem Niemców, który kazał im każdy rozkaz wykonywać maksymalnie precyzyjnie. Podobno z Berlina w sprawie kary dla „witaszkowców”, całej grupy specjalistów skupionej wokół doktora, przyszyły dwie sprzeczne decyzje. Jedna, by zostali powieszoni, druga, by zostali ścięci. Być może w ten sposób chciano zadośćuczynić obydwu rozkazom. Na ten trop wskazuje



fakt, iż oprócz słoja Witaszka odnaleziono jeszcze dwa, w których zachowano głowy jego najbliższych współpracowników: doktora Henryka Guenthera i laborantki Soni Górznej. Z pewnością to koszmarne odkrycie było dla Haliny szokiem, kolejnym trudnym do zaakceptowania doświadczeniem. Pociągnęło ono jednak za sobą wydarzenie, które mogło ją w jakiś sposób podbudować. Poznań uczcił pamięć „drugiego Marcinkowskiego”, jak nazywano Franciszka, uroczystą ceremonią pogrzebową mającą miejsce dwudziestego piątego listopada 1945 roku, w której uczestniczyły tłumy mieszkańców odprowadzających doktora w imponującym kondukcie pogrzebowym na stoki Cytadeli.

Maj 1945 roku był dla Haliny radosnym czasem powrotu do kraju i rodziny, ale równocześnie bolesnych ciosów, które z dzisiejszej perspektywy wydają się nie do przeżycia, szczególnie dla osoby schorowanej, wyniszczonej przeszło dwuletnim pobytem w obozach koncentracyjnych. Pierwszego dnia w Poznaniu dowiedziała się przecież także, że ma już tylko trójkę dzieci, bo Alodię i Darię uprowadzili Niemcy, wywożąc w niewiadomym kierunku. Nie poddała się jednak, nie dopuszczała do siebie myśli, że ta kolejna strata jest definitywna.

W Ostrowie Wielkopolskim, u brata, który opiekował się Mariolką, Iwonką i Krzysiem, podleczyła się trochę, nieco wydobrzała i rozpoczęła poszukiwania córek. Pisała we wszystkie strony świata, korespondując nie tylko z Polskim Czerwonym Krzyżem, ale i z tą organizacją działającą w wielu innych krajach. Do listów dołączała zdjęcie obydwu dziewczynek zrobione w 1943 roku przez kogoś z rodziny. Przez dwa lata nie nadeszła żadna odpowiedź, nikt się nie

odezwał nawet, by uzyskać od niej więcej szczegółów lub by jej donieść, że ktoś gdzieś słyszał, widział... Nic, absolutna cisza, aż czasem zastanawiała się, czy te jej listy w ogóle docierały do adresatów. Wydawało się, że nie ma szans na znalezienie dzieci.

Proceder uprowadzania polskich dzieci przez hitlerowców był wówczas, a chyba jest tak i do dziś, mało znany szerokiej opinii publicznej. 1947 rok był pod tym względem pewnym przełomem, być może z racji odbywającego się właśnie wtedy jednego z procesów norymberskich poświęconych temu zagadnieniu. W kinach przed filmami w ramach Polskiej Kroniki Filmowej wyświetlano specjalnie z tej okazji nakręcony dokument *Dzieci odnajdują rodziców*. W wielu pismach pojawiały się artykuły na ten temat. Jeden z nich wpadł w ręce Haliny. Był autorstwa Romana Hrabara, prawnika, pełnomocnika polskiego rządu do spraw poszukiwania polskich dzieci zaginionych podczas wojny. Szybko postarała się o jego adres i wysłała list wraz ze zdjęciami dziewczynek, zaznaczając, że zwrócenie się do niego o pomoc uważa za ostatnią szansę odnalezienia córek.

Hrabar pracował w tym czasie w Ludwigsburgu, gdzie szukał śladów, jakichś informacji, naprowadzających na miejsca, w których mogłyby się znajdować wykradane przez Niemców dzieci. Historia opisana przez Halinę poruszyła go i szybko zaczął działać w jej sprawie. Znał już zarządzenie Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa z 1942 roku w sprawie tworzenia nowych nazwisk dla dzieci z Polski, wedle którego należało zostawiać trzy pierwsze litery dawnego nazwiska dla zmylenia dziecka, które dzięki temu często nie odnotowywało, że nazwisko mu zmieniono. W przypadku Alodii i Darii ten etap był już znany dzięki wujkowi, który

odwiedził Gaukinderheim w Kaliszu. Trudność polegała na tym, że w wyniku adopcji przez niemieckie rodziny nazwisko dziewczynek zmienilo się kolejny raz, ponadto celowo zmieniono również miejsce i daty urodzenia. Niemiecka karność wobec poleceń i dokładność, wręcz pedanteria ich wykonywania, niejedną z takich spraw pomogły rozwiązać. Wszystkie obozy hitlerowskie miały obowiązek przekazywania rocznych sprawozdań ze swej działalności do centrali. Część owych szczegółowych zestawień przechowywana była w archiwum w Ludwigsburgu, gdzie wówczas mecenas pracował. Trzebaż trafu, że akurat wśród znajdujących się tam papierów, w dziale poświęconym Gaukinderheimowi w Kaliszu, odnalazł Alodię i Darię, co było pierwszym krokiem na drodze do ustalenia ich nazwisk adopcyjnych i aktualnych adresów rodzin, do których trafiły. I wreszcie jest! Długo wyczekiwana wiadomość, i to jakże pomyślna. We wrześniu 1947 roku do Haliny mieszkającej z trójką dzieci w Ostrowie Wielkopolskim przychodzi list oblepiony zagranicznymi znaczkami. Dokładnie ogląda kopertę. Z Niemiec. To Roman Hrabar zdaje jej relację ze swoich poszukiwań:

„Wynik badań okazał się niezwykle pomyślny, gdyż obie córeczki Pani figurują na liście dzieci z Gaukinderheim w Kaliszu [...] W sprawie Alodii dałem placówce PCK w Berlinie polecenie natychmiastowej rewindykacji dziecka, względnie przeprowadzenia dalszych dochodzeń, o ile by ono w obecnej chwili nie przebywało już w Stendal. W sprawie Darii zwróciłem się pisemnie do Poselstwa Polskiego w Wiedniu, celem repatriacji jej. Nie jest wykluczonym, że Daria nie przebywa już w Weitra, gdyż według posiadanych przeze mnie informacji większa grupa

dzieci z Austrii, które podobnie jak Daria przeszły przez instytucję Lebensbornu, w roku 1945 została przez organizacje charytatywne zabrana do Szwajcarii [...]. Jest możliwe, że Daria jest między nimi. Oczekuję ze Szwajcarii listy imiennej tych dzieci [...]"

Dotychczas los Haliny nie oszczędzał, spadały na nią same nieszczęścia, co być może w pewien sposób ją zahartowało, uodporniło, pomogło stworzyć psychiczną tarczę, choć częściowo odbijającą ciosy albo raczej uśmierzającą ból. Taka radosna informacja, wiadomość, w którą bardziej wierzyła, niż się jej spodziewała, mogła mieć równie bezwzględna siłę rażenia. Wydaje się jednak, że Halina, zajęta pracą zarobkową, by utrzymać trójkę dzieci, żyła z dnia na dzień, nie mając czasu ani na rozpamiętywanie dramatów, ani na euforię. I oto siódmego listopada, a więc zaledwie dwa miesiące po pierwszym liście od Hrabara, usłyszała dzwonek do drzwi. Jak co dzień w przerwie obiadowej wpadła do domu, żeby przygotować dzieciom posiłek. Smażyła akurat placki ziemniaczane, kiedy Mariola i Krzyś otworzyli drzwi. Zobaczyli w progu siostrę PCK i dziewczynkę z tekturową tabliczką zawieszoną na szyi. Dzieci zawołały Halinę. Alodia i jej matka patrzyły na siebie w milczeniu, lekko się uśmiechały, ale niekoniecznie do siebie, po czym dziewczynka niepewnym głosem, po niemiecku, bo polskiego już nie pamiętała, szczerze stwierdziła:

– Byłaś młodsza i byłaś blondynką.

Halina znała niemiecki, ale dzieci nie wiedziały, o co chodzi.

„Pamięta mnie”, pomyślała.

Powitanie przedłużało się, ale dużo w nim było ciszy i wzajemnego skrępowania. Nikt się nikomu nie rzucał na szyję, nie było uścisków i pocałunków. Obie patrzyły na siebie jak na obcych ludzi. Sporo czasu musiało minąć, nim znów poczuli się rodziną.

Mniej więcej miesiąc później Halina pojechała do Katowic, bo tam, po czterodniowej podróży, miała przyjechać z Wiednia Daria. Na dworcu tłum. Nie tylko ona przyjechała po swoją córkę. Na peron wysypały się dzieci. Krzyki, nawoływania, łyzy radości i zwątpienia, gdy okazywało się, że wbrew wiadomościom oczekiwane dziecko dotrze następnym transportem. Halina wyteęzała wzrok, wypatrywała i też już myślała, że wróci do Ostrowa sama. Tłum powoli się przerzedzał, część ludzi już opuściła peron i wtedy kobieta dojrzała małą dziewczynkę w czerwonej czapce na głowie, która wysiadała z wagonu powoli, niepewnie, jakby nie była przekonana, czy właśnie tu powinna wysiąść.

– Moja córka! – krzyknęła Halina i ruszyła w jej stronę.

Dziewczynka na swe polskie imię – Daria – nie zareagowała, była przecież Dorą. Halina musiała jeszcze podpisać protokół odbioru dziecka z transportu o numerze 0/138.

Radość? Dla obydwu stron? Tak, ale dopiero po dłuższym czasie. Wtedy, w 1947 roku, nastał dla Alodii dalszy ciąg wojny, a właściwie może początek drugiej, jeszcze dla niej trudniejszej, bardziej osobistej. Szok dla niemieckiej Mutti i równie wielki dla rozpieszczanej dotąd jej jedynaczki. Dla Luise Dahl list z Polski był wstrząsem. Zaskoczenie, zdziwienie, konsternacja – to zbyt łagodne określenia na stan, w którym się znalazła po jego przeczytaniu.

Początkowe niedowierzanie, będące często obroną przed faktem, którego nie chce się zaakceptować, szybko odrzuciła, gdy z koperty wysunęły się zdjęcia. Nie próbowała negować prawdy, nie miała żadnych wątpliwości. To było jej oczko w głowie, jej Alice, której poświęcała każdą wolną chwilę, którą rozpieszczała i chciała jak najbardziej wszechstronnie wykształcić.

Druga z dziewczynek na zdjęciu również była jej znana, bo widziała przecież Darię w Bad Polzin. Była przekonana, że adoptowała niemiecką sierotę, której obydwójce rodzice nie żyją, a teraz okazało się, że ją okłamano. Można sobie wyobrazić płataninę uczuć, które nią targały, ale to, jak w tej sytuacji się zachowała, świadczyło o tym, że dobro dziecka było dla niej najważniejsze. Nie uciekała się do żadnych wybiegów, uników czy ukrywania córki, ale powiedziała dziewczynce szczerze:

– Jeżeli twoja prawdziwa mama rzeczywiście żyje w Polsce, to nie mogę zrobić nic innego, tylko jej ciebie oddać. Ale jeśli okazałoby się, że zaszła jakaś pomyłka i w Polsce masz trafić do sierocińca, to będę o ciebie walczyć.

Płacząc, pakowała rzeczy dziewczynki, ale sama odwiozła ją do Berlina, w miejsce, w którym zorganizowano zbiórkę dzieci wracających z terenu Niemiec do Polski. Alice jako jedyna z tej grupy jechała do rodziny, do mamy, na resztę małych podróżnych czekał dom dziecka w Warszawie.

Alodia, podobnie jak jej Mutti, była tym wszystkim oszołomiona. Miała już dziewięć lat i z pewnością tę radykalną zmianę przeżywała bardziej świadomie niż poprzednią, która zaszła pięć lat wcześniej. Była przekonana, że jest Niemką, jedynaczką, opiekowali się nią

troskliwi rodzice, chodziła do szkoły, miała koleżanki, a tu nagle, niemal z dnia na dzień, wyrwano ją z jej środowiska, zabrano z przyjaznego otoczenia, by odesłać w nieznaną. Choć trochę pamiętała sprzed porwania, były to jednak mgliste, niepowiązane ze sobą obrazy, dające przyrównać się do sennych wizji, do nierzeczywistych wyobrażeń, do przedstawień zalegających w podświadomości. Nie odnosiły się do jej aktualnego życia, lecz tkwiły w niej głęboko, o czym przekonała się już po powrocie do kraju. Gdyby wtedy dano jej wybór, pewnie zostałaby w Stendal, ale proceder rewindykacji zagrabionych dzieci takiej możliwości nie przewidywał, decydowano za nie nawet wtedy, gdy nikt się o nie nie upominał. Po latach dorosła Alodia stwierdzi, że nie wyobraża sobie, jak mogłaby żyć w Niemczech, będąc nieświadoma, że jest Polką.

W listopadzie 1947 roku, kiedy Mutti odwiozła ją do Berlina i Alice ruszyła w drogę do nieznanego kraju, najbardziej przeszkadzała jej tabliczka z nazwiskiem Alodia Witaszek, którą zawieszono jej na szyi. „Kto to jest?“, zastanawiała się. „Przecież to na pewno nie ja, pewnie się pomylili i dali mi etykietkę innego dziecka”. Wstydziła się, gdy to coś kołysało się przy każdym jej ruchu i wtedy, gdy na dworcu w Poznaniu odbierała ją z pociągu siostra PCK, i kiedy już w Ostrowie maszerowała z tym przez całe miasto do nowego domu.

Mogłoby się wydawać, że po przekroczeniu jego progu wszystko, co najgorsze, miała już za sobą. Okazało się jednak, iż dwa i pół roku po zakończeniu wojny rozpoczynała bitwę o swoje nowe życie, o możliwość normalnego funkcjonowania w innym świecie. Mamę pamiętała jak przez mgłę, na początku obydwie

zachowywały się wobec siebie jak obce osoby. Nie raz pewnie wzdychała do serdecznie tulącej ją Mutti. Z mamą mogła się chociaż porozumieć, bo Halina знаła niemiecki, ale rodzeństwo mówiło tylko po polsku, a ona nie pamiętała nawet najprostszycy, podstawowych słów w języku ojczystym. Sytuacja poprawiła się nieco po powrocie Darii. Najlepiej się znały, miały wspólne przeżycia, bo dotarły razem do Połczyna Zdroju i dopiero tam ich drogi się rozeszły, a przede wszystkim mogły się ze sobą porozumieć nie tylko w podstawowych kwestiach, ale też normalnie rozmawiać. Mówiły tym samym językiem. To, co przeżywały w domu, długo nie czując się w nim jak u siebie, było niczym w porównaniu do tego, co czekało na nie w szkole. Rozpoczęły w niej naukę w środku roku szkolnego, wrzucone do znającej się, zżytej społeczności, dla której stanowiły pewnie na początku urozmaicającą sensację, a z czasem inny, dziwny, a przez to denerwujący balast. Siedziały na lekcjach, nie rozumiejąc ani słowa, nie wiedząc, o czym nauczyciele mówią, spłoszone, gdy się do nich zwracali, panicznie wyczekujące dzwonka.

W Niemczech Alodia uczyła się w czwartej klasie, a Daria w trzeciej. Pewnie cofnięto by je do klas niższych, gdyby nie to, że świetnie rozwiązywały wszystkie zadania matematyczne przewidziane w programie ich klas. Powoli wyłapywały poszczególne słowa i kontekst, w którym były używane; docierało do nich ich znaczenie, rozumiały coraz więcej, ale z mówieniem, szczególnie u Alodii, było kiepsko. Dziewczynka w ogóle mówiła niewiele, gdyż po tracheotomii, którą przeszła w Kaliszu, miała nadwyrężone struny głosowe, a poza tym wstydziała się swego berlińskiego, niskiego, wyrazistego, nasyconego ekspresją akcentu,



którego nie mogła się pozbyć przy wymawianiu polskich słów, a w połączeniu z nimi raził. Często więc wolała milczeć, niż wywoływać u kolegów drwiące uśmiešky. Darii było łatwiej, gdyż mówiła śpiewną, typową dla Austriaków niemczyzną, której intonacja mniej kaleczyła polski akcent. Dzieci zresztą i tak ich nie oszczędzały, a jednym z najłagodniejszych przezwisk była „Niemra”. Nierzadko biegły za nimi, krzycząc:

– To idą niemieckie świnię!

Starwały się nie reagować, ale Alodii zdarzało się odkrzyknąć:

– Niemką to ja jestem, ale świnią nie!

Obydwie zamknęły się w sobie, nie szukały kontaktów z rówieśnikami, nie mówiąc już o zawieraniu jakichś przyjaźni. Zresztą przez cały dzień były zajęte, bo oprócz obowiązków szkolnych, po południu chodziły do nauczycielki, która uczyła je polskiego. W domu też trzeba było pomagać. Mama, oczywiście szczęśliwa, że cała piątka dzieci przetrwała wojnę, musiała ciężko pracować, by rodzinę utrzymać. Nie miała dla nich dużo czasu, tak jak i dla czynności gospodarskich. Niezbędne obowiązki podzielone były między wszystkich. Alodia na przykład pomagała w przygotowaniu obiadu, to znaczy gotowała to, co mama naszykowała wczesnym rankiem, przed pójściem do pracy. Było biednie. Jedna niewielka pensja na sześć osób nie wystarczała, a ze strony państwa nie można było się spodziewać żadnej pomocy dla rodziny AK-owca, wroga ludu. Halina sama przerabiała ubrania noszone przez kolejno dorastające dziewczynki. Alodia była bardzo niezadowolona, kiedy spruła jej sukienkę, którą Mutti

własnoręcznie zrobiła jej na podróż ze Stendal do Ostrowa, ale wełny wystarczyło na dwa swetry, więc się opłacało. Sytuacja w domu musiała być już rzeczywiście ciężka, skoro pewnego dnia Daria i Alodia w tajemnicy postanowiły uciec do ich dawnych rodzin w Niemczech i w Austrii. Wieczorami namawiały się, ustalały szczegóły podróży, myśląc, że i tak przecież nikt nie rozumie tego, co mówią. Gdy w wyznaczonym terminie, ciekawe zresztą, czy rzeczywiście były na tyle przygotowane, by mogły te dalekie trasy pokonać, ruszyły na dworzec, usłyszały za sobą zdyszany głos biegnącej mamy. Okazało się, że Iwonka rozumiała już trochę po niemiecku i podsłuchiwała konspiratorki.

Poprawiło się, i to znacznie, w 1954 roku. Mariola i Iwona pojechały na studia do Poznania, a miasto, o dziwo, co nieczęsto się wówczas zdarzało, zwróciło rodzinie dom znajdujący się przy Senatorskiej. Wszyscy oczywiście szybko się do niego przenieśli i od razu odetchnęli, poczuli, że są u siebie. Pomijając fakt powiększenia przestrzeni życiowej dla każdego, dla Alodii i Darii oznaczało to większą niezależność, swobodę, anonimowość, co niejako naturalnie przypisane jest do wielkomiejskich społeczności. Nikt nie znał tu ich przeżyć, nie kojarzył z Niemcami, nie wiedział, że jeszcze niedawno koszmarnie kaleczyły język polski, a gdy teraz zdarzyło się którejś popełnić błąd, „zaśpiewać” po austriacku czy „zaszwargotać” po berlińsku, nie zwracano na to uwagi, bo nie wsłuchiwano się w to, co mówiły, z negatywnym nastawieniem. Skończyło się wreszcie wyśmiewanie i wytykanie palcami. Alodia była w klasie przedmaturalnej, obydwie już dobrze posługiwały się polskim, można powiedzieć, iż zakończył się etap ich asymilacji w kraju. Nie zapominały jednak o swoich

niemieckich rodzicach. Luise Dahl korespondowała zresztą nie tylko z Alodią, ale i z Haliną. Bardzo się ucieszyła, kiedy dostała od swej Alice list w całości napisany po polsku, bo dla niej oznaczało to, że dziewczyna radzi sobie już w na nowo odzyskanej ojczyźnie. Pobieгла do tłumacza i szybko odpisała. Daria też wysłała „polski” list do swojej rodziny, ale tam reakcja była odmienna. Nie tylko nie odpisali, ale zerwali z nią kontakt na zawsze. To była prosta rodzina, która bardziej potrzebowała kogoś do pomocy w gospodarstwie niż córki do kochania. Darię traktowano dobrze, zaspokajając wszystkie jej podstawowe potrzeby, ale serdeczności, uczucia raczej tam nie było.

Za to Luise ciągle ponawiała zaproszenia, więc Alodia po zdaniu matury, pierwszy raz po dziesięciu latach, pojechała w odwiedziny do swych niemieckich rodziców. Mieszkali już wtedy nie w Stendalu, ale na terenie Niemiec Zachodnich. Powitanie było niezwykle serdeczne, ale, choć miała tam spędzić całe wakacje, wróciła po miesiącu. Luise była ciepła jak przedtem, cieszyła się swą córką, nadal tak ją traktowała, ale Alice należała już do innego świata, była nieczuła, zimna, oschła, obojętna. Już dziesięć lat żyła w społeczeństwie, które, ze zrozumiałych względów nie było nastawione pozytywnie do Niemców. Nawet podświadomie sama mogła obrać taki punkt widzenia. Mutti namawiała ją, by studia rozpoczęła w Niemczech, ale ona nie wyobrażała sobie przebywania tam dłużej. Zresztą już nie pamiętała niemieckiego. Większość sąsiadów i znajomych Dahłów była przesiedleńcami z Gdańska albo z ziem zachodnich i niezbyt przychylnie patrzyli na młodą Polkę. Wszystko to sprawiło, że z radością wróciła do swego Poznania i tam rozpoczęła studia biologiczne.

Ten wyjazd nie był jednak końcem jej więzi z Dahlami, co świadczy o tym, że była ona głęboka, odporna na otoczenie i społeczno-polityczne uwarunkowania. W 1969 roku Luise przyjechała do Polski, by odwiedzić swoją Alice. Poznała Halinę i bardzo się polubiły. Listownie znały się od dawna, a teraz stały się przyjaciółkami. Nie starały się rywalizować o względy „wspólnej” córki. Każda odczuwała wobec drugiej wdzięczność. Halina za to, że jej Alodia przeżyła czas rozłąki z nią w dobrych warunkach, serdecznej atmosferze, pod troskliwą opieką. Mutti cieszyła się, że polska mama nie była przeciwna dalszemu utrzymywaniu przez nią kontaktów z Alodią. Obie się rozumiały, co sprawiło, że mogły się zaakceptować. Dobre nastawienie Haliny do Luise potęgowały doświadczenia jej najstarszej córki, którą po aresztowaniu matki rodzina odsyłała z miejsca na miejsce niczym paczkę ze śmierdzącą zawartością. Nie wywieźli jej Niemcy, ale w Polsce czuła się jak niechciana przez nikogo przybłęda. Większości bliższych i dalszych krewnych zawadzała, co dawano jej niedwuznacznie odczuć.

W trakcie dziesięciu miesięcy siedem razy zmieniła miejsce zamieszkania. Uniknęła aresztowania przez gestapo, uciekła z Poznania, by rozpocząć poniewierkę, mimo że przebywała w rzekomo rodzinnych progach. W miejscu, które najczarniej zapisało się w jej pamięci, traktowano ją gorzej niż służącą. Jadała oddzielnie, w kuchni, i tylko te produkty, które wykupywała na swoje kartki żywnościowe. Lepsze rzeczy, jak cukier, masło czy wędlina, były przed nią zamykane. Na obiad dostawała zawsze zupę, gotowaną tylko dla niej w dużej ilości, by starczyła na jak najdłużej. Musiała ją spożywać nawet wtedy, kiedy już skwaśniała. Dopiero gdy garnek był pusty, gotowano następną,

najczęściej taką samą. Bito ją za niepopelnione winy, na przykład kiedy potrzebowała nowego zeszytu do szkoły czy butów, bo stare się rozleciały. Podczas bombardowań, gdy wszyscy domownicy schodzili do schronu, jej, podobno przez zapominalstwo, często nie zawiadamiano.

Porównanie losów Marioli, która spisała swe szczegółowe wspomnienia, z przeżyciami Alodii prowadzi do oczywistej konkluzji, sprawdzającej się na wielu płaszczyznach, że postępowanie człowieka nie jest determinowane przez narodowość, ale przez cechy jego osobowości. Część z nich posiadamy już w momencie narodzin, ale równie ważne kształtują się pod wpływem społeczności, w której się wzrasta, i czasu nam wyznaczonego.

Po tej pierwszej, chłodnej wizycie Alodii u Dahlów, wszystkie następne były już znacznie lepsze, a było ich sporo, bo widywali się średnio dwa razy do roku. Ich kontakty znów zyskały rodzinną serdeczność, zbliżyli się do siebie, choć o powtórzeniu relacji sprzed lat, czyli zajęciu przez Luise miejsca rodzonej matki, nie mogło być mowy. Gdy przyszły na świat dzieci Alodii, Mutti cieszyła się jak najprawdziwsza babcia, zresztą tak była przez nie traktowana. Z Niemiec przychodziły paczki z dziecięcymi ubraniami własnoręcznie wydzierganymi przez Luise. Pewnie robiąc je, przypominała sobie, jak wiele lat wcześniej przygotowywała się na przyjazd adoptowanej córki z ośrodka Lebensbornu Bad Polzin. Była wtedy podekscytowana. Tak bardzo chciała mieć dziecko. Nic dziwnego z punktu widzenia przeciętnego człowieka, że otoczyła je prawdziwie macierzyńską troską, co dla sześciolatki po obozowych przejściach było wartością bezcenną.

Mutti zmarła w 1971 roku, Vati (tata) dziewięć lat później, a polska mama, Halina Witaszek, odeszła w roku 1985.

Można by powiedzieć, że po trudnym, dramatycznym nawet dzieciństwie, dorosłość zrekompensowała Alodii krzywdy, jakich doznała wcześniej, wypłaciła zadośćuczynienie, wynagradzając ją założeniem rodziny, uzyskaniem wyższego wykształcenia czy w końcu możliwością bliskich kontaktów z dwiema, wzajemnie sobie życzliwymi matkami. Jednak dewastacja dziecięcej psychiki, czego dopuszczał się hitlerowski reżim, w każdym indywidualnym przypadku pewnie różna, musiała być tak głęboka, iż to dobro, które spotkało ją w późniejszych latach, nie było w stanie zniwelować zła, które poznała wcześniej. Sama przyznaje, że do dziś boryka się z dotkliwym brakiem pewności siebie i poczuciem osamotnienia.





Rodzina Witaszków. Od lewej: Iwona, Franciszek podtrzymujący Darię, Halina w ciąży z Krzysztofem, a przed nią Alodia i Mariola. Jesień 1941 r.

*Źródło: Archiwum rodziny Witaszków*







Daria i Alodia Witaszek. 1943 r.

*Źródło: Archiwum rodziny Witaszków*





Alodia Witaszek w sierocińcu. 1944 r.

*Źródło: Archiwum rodziny Witaszków*





Alodia i jej niemiecka Mutti, Luise Dahl. 1944 r.

*Źródło: Archiwum rodziny Witaszków*





Gwiazdka 1947 roku, po powrocie Alodii i Darii z Niemiec. Stoją: mama Halina, a przed nią od lewej: Krzysztof, Daria, Alodia, Iwona, Mariola.

*Źródło: Archiwum rodziny Witaszków*





## **Serdecznie współczuję mojej matce**

Wszystko było już gotowe. Sprawy paszportowo-wizowe załatwione, bilety na autokar firmy „Omnia” kursujący z Kielc do Frankfurtu kupione, pozostawało już tylko szlifować umiejętności językowe. Te, jak na niecałe dziesięć miesięcy nauki, ostrej, intensywnej, wydawały się Henrykowi całkiem niezłe. Tłumaczenie tekstów pisanych z niemieckiego na polski szło mu dosyć gładko, więcej trudności sprawiała konwersacja, ale nic dziwnego, skoro nie miał do niej sposobności, oprócz paru krótkich, niemal kilkudzaniowych rozmów telefonicznych z Fini, do której do Monachium właśnie się wybierał. Od momentu powzięcia decyzji o tej podróży, o wyprawie nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie, pielgrzymki do lat dzieciństwa, żył nią, resztę spraw codzienności spychając na daleki margines. Jako rencista III grupy inwalidzkiej nie dysponował finansami wystarczającymi do pokrycia wszystkich opłat związanych

z wyjazdem, ale pomoc w tej materii uzyskał od Stowarzyszenia im. Maksymiliana Kolbego we Freiburgu. O kolejnych krokach przybliżających eskapadę Henryk informował Fini listownie, tą drogą ustalali również program jego pobytu w Monachium. Był podekscytowany, cieszył się, bo mimo iż myślami wracał do dramatycznych czasów II wojny światowej, pobyt w domu rodzinnym kobiety, która go zapraszała, wspominał z pewnym rozrzewnieniem, i to nie tylko dlatego, że było to pierwszych sześć lat jego życia, a więc okres najwcześniejszego, przeważnie najbardziej beztróskiego dzieciństwa, choć często idealizowanego, oglądanego przez różowe okulary.

Było mu tam po prostu dobrze. Czuł się ważny, kochany i bezpieczny. Tylko raz ów stan wewnętrznego spokoju został zakłócony. W nocy zbudziły go dziwne odgłosy, dźwięki, których dotąd nie słyszał. Nie były może specjalnie głośne, bo miały źródło gdzieś w oddali, ale niosły ze sobą jakąś groźbę, strach. Wstał z łóżka i podszedł do okna, a tam znów coś, czego wcześniej nie widział. Po ciemnym niebie płynęło mnóstwo błyszczących, lśniących jakby miały w środku żarówki, kropek, łatek, plamek, nie wiedział właściwie, jak to nazwać. Nie było to przerażające, lecz nieznanne, a to wzbudziło lęk i trzylatek rozplakał się na cały głos. Do pokoju natychmiast wbiegła mama, wzięła go na ręce i mocno przytulając, zaniósła do piwnicy. Tam były już dwie dziewczynki, z którymi się wychowywał, wówczas myślał o nich jak o siostrach, o kilka lat starsza od niego Fini i jeszcze starsza Ani. One też płakały, bo bały się, że następnego dnia nie pójdą do szkoły, która wedle ich przypuszczeń pewnie została zbombardowana. Może wtedy w świadomości małego Heinricha zrodziło się skojarzenie

tych latających błyskotek z bombami. W piwnicy były jeszcze inne, nieznane mu osoby, więc wszyscy stali koło siebie, ściśnięci, a niektórzy przez uchylone drzwi obserwowali, co dzieje się na zewnątrz. Malca przekazywano sobie z rąk do rąk, by się uspokoił i nie płakał. Wszystko to trwało, jak dla dziecka nagle wyrwanego ze snu, bardzo długo, a kiedy wreszcie zrobiło się cicho, mama zniosła go do pokoju i położyła do łóżka.

Domostwo, w którym spędził pierwsze lata życia, pan Henryk pamięta do dziś z takimi szczegółami, jakby wyjechał z niego wczoraj, a nie siedemdziesiąt pięć lat temu. Ich murowany jednopiętrowy dom usytuowany był przy polnej drodze, stanowiącej odnogę szosy prowadzącej z Dautenhoffen, miejscowości, w której mieszkali, do Monachium. Wokół domu, otoczony drewnianym płotem, rozciągał się spory ogród pełen kwiatów, warzyw, krzewów i drzew owocowych. Na parterze oprócz Heinricha mieszkała mama i Fini, a na piętrze, na które prowadziły drewniane schody, gdzie malec podobno nigdy nie był, Ani i starszy od niej chłopiec, być może jej brat, choć ze słów mamy „Janneh co 2-3 tygodnie jeździ do swojej ojczyzny”, można by wnosić, iż trafił do tego domu podobną drogą, co Heinrich. On był tam najmłodszy, co sprawiało, że cieszył się u mamy i całego bliskiego otoczenia szczególnymi względami. Co roku, dziewiętnastego stycznia, stąd od zawsze wiedział, że właśnie w tym dniu się urodził, uroczyste obchodzono jego święto. Nakładano mu najlepsze, najbardziej przez niego lubiane ubrania, a po kolacji wokół stołu zastawionego przysmakami zbierali się nie tylko lokatorzy domu, ale i najbliżsi sąsiedzi. On był bohaterem wieczoru i wszystko kręciło się wokół niego. Po obowiązkowym odśpiewaniu

urodzinowej piosenki wszyscy składali mu życzenia i wręczali prezenty, na co, oczywiście, czekał najbardziej.

Był zbyt mały, by zadawać pewne pytania, ale mógł odnotować fakt, iż w jego domu nie mieszka żaden mężczyzna, a więc była mama, ale nie było taty. Gdzie ten tata? – zrodziło się w nim dręczące pytanie, na które znalazł odpowiedź, gdy miał około czterech lat. Zaobserwował bowiem, że mama w dosyć regularnych odstępach czasu przygotowuje do wysłania paczkę żywnościową. W duże tekturowe pudełko wkładała różne wędliny, najbardziej utkwił mu w pamięci kawał grubej kiełbasy i pieczone przez mamę ciasta. Opakowywała to wszystko bardzo starannie kilkoma warstwami papieru i przewiązywała solidnym sznurkiem. Ciekawość go zjadała i kiedyś nie wytrzymał:

– Dla kogo ta paczka?

– Dla ojca, on jest w obozie.

No tak, wreszcie się udało. Ma jednak ojca, ma mamę i ojca, tak, jak być powinno. W sercu chłopca zapanował spokój, ale tylko do czasu. Pewnego razu paczkę odesłano z powrotem, a gdy pytająco spojrzął na mamę, ona stwierdziła:

– Ojciec zmarł w obozie.

To krótkie zdanie wywołało w nim burzę uczuć. Już miał ojca i znowu nie ma. Biedny. Chłopiec zaczął wyobrażać sobie grób, ogromny dół, w którym ojca pochowano. Dopiero po latach, po wielu latach, bo list pisany do niego przez niemiecką matkę w 1946 roku dotarł do niego w roku 2018, okazało się, że prawdopodobnie nie chodziło o jego ojca, skoro przeczytał w nim: „Być może w Polsce znajdziesz ojca i dziadków [...]”. Często, gdy się o czymś marzy, luźna

wzmianka o tym staje się bodźcem dla wyobrażenia niemającego zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością. Realia w życiu dzieci niejednokrotnie zresztą mieszają się z wytworami nieposkromionej wyobraźni. Tak było i u Heinricha. Jedno z metafizycznych przeżyć zapamiętanych z jego niemieckiej egzystencji wiązało się ze świętami wielkanocnymi. Gdy na dzień przed Niedzielą Wielkanocną, zdziwiony i zachwycony chłopiec znalazł w pomieszczeniu gospodarczym kolorowe jajka, Fini, znakomicie spisująca się jako starsza siostra, wyjaśniła mu, że przyniósł je zajaczek, który zawsze w tym czasie chodzi wzdłuż ich drogi i w każdym gospodarstwie zostawia na sianku po kilka jajek.

– Pewnie chciałbyś go zobaczyć? – spytała.

Rzecz jasna, w tym momencie Heinrich o niczym innym nie marzył.

– To w przyszłym roku – mówiła z tajemniczą obietnicą w głosie dziewczynka – jeśli będziesz grzeczny, to zobaczysz go na własne oczy, i to w dodatku, jak będzie skakał przez płot.

Mimo że rok to dystans czasowy dla dziecka odległy, chłopiec nie zapomniał o tej rozmowie. W następną Wielką Sobotę od rana siedział na ławce w ogrodzie i bacznie obserwował płot. Tuż przed obiadem, gdy był już nieco zrezygnowany, zobaczył zajaca, i to tak, jak Fini mówiła, skaczącego przez płot. Nie szkodzi, że był znacznie większy niż normalny zajac, że miał na sobie spodnie, bluzę i czapkę, ale spod tej czapki wystawały najprawdziwsze zajęcze uszy. Gdy kolorowo ubrane zwierzę zniknęło za ogrodzeniem, Heinrich pobiegł do pomieszczenia

gospodarczego, a tam, tak jak poprzedniego roku, na sianku leżało sześć jajek, każde w innym kolorze. „Fini mówiła prawdę”, pomyślał, choć nigdy przecież o kłamstwo jej nie podejrzewał. Do tej pory Henryk nie jest przekonany, czy to wszystko mu się śniło, czy wydarzyło się rzeczywiście.

Te wszystkie wspomnienia kłębiły się w umyśle Henryka, gdy systematycznie, krok po kroku przygotowywał się do wyjazdu, podczas którego miał nadzieję podążać swoimi śladami sprzed pięćdziesięciu lat. Podejrzewał, iż nie będzie to trudne, bowiem ten etap swojego życia, oczywiście od momentu, kiedy mógł coś trwale zapamiętać, zajmuje do dziś stałe i wyraziste miejsce w jego świadomości. Dużo bardziej stabilne i klarowne niż czas po powrocie do Polski, kiedy był przecież starszy. Do dziś najmniej jasne są dla niego sprawy związane z jego pochodzeniem, rodzicami i ich sytuacją, która doprowadziła do tego, że ich synek znalazł się w niemieckim domu Magdaleny Mayr.

Gdy zabierano go z tego rodzinnego domu, tak wówczas o nim myślał, bo przez sześć lat właściwie nim był, wiedział tylko tyle, że urodził się 19 stycznia 1940 roku w Dachau, jego mamą jest owa Niemka, a tata zmarł w obozie. Zabrał ze sobą do Polski fotografię niemieckiej mamy (tak podpisała się na jej odwrocie Magdalena Mayr), którą mu ofiarowała tuż przed rozstaniem i dopiero kiedy jego żona, zobaczywszy zdjęcie, stwierdziła, że to mało prawdopodobne, by kobieta w tym wieku miała tak małe dziecko, ziarno niepewności zaczęło kiełkować w jego umyśle. Było ono tylko potwierdzeniem jego uczuć, a właściwie ich braku wobec pozostawionej tak nagle i tak daleko Niemki. Zdał sobie sprawę, że żadna biologiczna

matka tak łatwo, bez sprzeciwu, oporu, a chyba i wielkiego żalu nie oddałaby swego dziecka obcym ludziom. Próbowaliby o nie walczyć, utrzymywać kontakt, a było to możliwe, bo obóz przejściowy, w którym Heinrich przez jakiś czas przebywał, był blisko Dautenhofen, a potem robiłaby wszystko, by dziecko odszukać, nawet w innym kraju. Przez wszystkie te lata, blisko dwadzieścia od powrotu do kraju, jeśli myślał o kimś z „poprzedniego życia”, to o Fini, przybranej siostrze, z którą najbardziej kojarzył wczesne dzieciństwo. Dlatego 4 lipca 1989 roku był dla Henryka dniem niezwykle radosnym. Wtedy bowiem otrzymał z Bad Arlosen, niemieckiego miasta uzdrowiskowego, gdzie znajduje się największe na świecie międzynarodowe archiwum poświęcone ofiarom reżimu nazistowskiego, pismo przedstawiające wyniki poszukiwań w jego sprawie, o które zwrócił się tam dwa lata wcześniej. Oprócz innych informacji, z których część była mu znana i stanowiła tylko ich potwierdzenie, otrzymał aktualny adres Józefiny Mayr, czyli jego Fini.

Szybko nawiązał z nią korespondencję, która z obu stron była bardzo serdeczna. Dowiedział się z niej, że Magdalena, jej matka, a jego przymusowo przybrana, zmarła w roku 1978. Mile wspominając wspólnie spędzone lata, przybrane rodzeństwo postanowiło się spotkać i Henryk rozpoczął przygotowania do wyprawy. Nie spodziewał się, że dowie się tam czegoś więcej o swym pochodzeniu, bo Józefina zaznaczyła, że nie ma dla niego żadnych informacji w tym zakresie, ale ciekaw był, jak też po tylu latach wygląda dom, przed którym pewnego wiosennego poranka 1945 roku pojawił się amerykański czołg. Kierujący nim żołnierz miał prawdopodobnie problemy z oceną odległości, trudno go



bowiem podejrzewać o chęć zastraszenia obywateli państwa przegranego w dopiero co zakończonej wojnie, gdy po nagłym brzęku tłuczonego szkła w domowej kuchni pojawiła się tuż pod sufitem potężna lufa armatnia.

– Nie podchodź do okna, stań przy kredensie! – krzyknęła Magdalena Mayr do Heinricha, bo akurat obydwójce znajdowali się w tym pomieszczeniu i trudno powiedzieć, kto przeraził się bardziej.

Po chwilowej ciszy czołg znów uruchomiono. Zaczął się powoli wycofywać, co spowodowało, że przez rozbitą szybę lufa opuściła kuchnię. Gdy chłopiec zbliżył się do okna, zobaczył w dalszej perspektywie też inne czołgi, samochody i krzątających się wśród nich żołnierzy w hełmach i zielonkawych mundurach. Głośno rozmawiali, śmiali się, pokrzykiwali, ale w jakimś obcym języku, którego on nie rozumiał. Mama mocno przytuliła chłopca, by dodać mu odwagi, a potem powiedziała:

– Wyjdź na zewnątrz do żołnierzy.

To ryzykowne polecenie, byli to przecież obcy ludzie, a on miał dopiero pięć lat, wzięło się z bardzo praktycznego powodu, tak przynajmniej dziś tłumaczy je pan Henryk. Kobieta chciała zająć się sprzątaniem bałaganu narobionego przez przybyszów. Z parapetu pospadały doniczki z roślinami, które porozbijały się na podłodze, wokół rozsypała się ziemia, kawałki szkła okiennego też rozprysły się w różne miejsca. W zapanowaniu nad tym rozgardiaszem obecność chłopca na pewno by nie pomogła. A on dopiero gdy wszedł na podwórko, przekonał się, jak wielu żołnierzy wtargnęło na ich teren. W tym tłumie jego uwagę przyciągnął czarnoskóry mężczyzna o brązowo-

białych oczach. Bardzo nieśmiało zerknął na niego, bo nigdy jeszcze nie widział człowieka o innym kolorze skóry, ale tamten zauważywszy, że przyciągnął uwagę malca, uśmiechnął się do niego, jakby chciał go do czegoś zaprosić. Heinrich podszedł bliżej, a żołnierz zza pazuchy wyciągnął tabliczkę czekolady i chciał mu ją podać. Gdy onieśmielony chłopiec nie zareagował, żołnierz rozwinął opakowanie, odłamał kawałek i zaczął ze smakiem rozgryzać czekoladę, by zachęcić Heinricha do tego samego, a może pokazać dziecku, do czego słodka tabliczka służy.

Chłopiec zaczął jeść kawałek za kawałkiem, bo bardzo mu zasmakowało, a żołnierz w tym czasie posadził go sobie na kolanach. Gdy po czekoladzie zostało tylko opakowanie, wyjął z kieszeni następną. Po trzeciej tabliczce Fini zawołała chłopca na obiad, lecz po takiej dawce słodczy absolutnie nie był głodny i szybko wrócił do nowego znajomego. Znow wylądował na jego kolanach, tym razem dostał gumę do żucia. Żołnierz sporo do niego mówił, ale chłopiec niczego nie rozumiał, więc tylko od czasu do czasu wtrącał po niemiecku „dziękuję”.

O zmierzchu musiał paść jakiś rozkaz, bo wszyscy żołnierze zaczęli zbierać się do drogi. Znajomy chłopca wydobył z torby jeszcze jakąś czekoladę i gumę, pogłaskał go po głowie, pocałował w czoło i szybko znalazł się w szeregu razem ze swymi kolegami. Gdy oddział odmaszerował, chłopiec wybiegł na drogę i długo jeszcze patrzył w kierunku, w którym zniknął jego niezwykły przyjaciel. Ten dzień bardzo wyraziście i na stałe zapisał się w jego pamięci, ale dopiero po latach zaczął się być może kojarzyć z zakończeniem wojny. To wydarzenie powiązane jest również w jego pamięci z wyjazdem z domu obydwu

„przyszywanych” sióstr. Dziś sądzi, że udały się do szkół w pobliskim Monachium. Fini do domu przyjeżdżała, ale Ani już nigdy nie zobaczył.

On też od września poszedł do szkoły. Mieściła się w murowanym budynku, na tym samym wzgórzu, na którym znajdował się kościół. Radził sobie dobrze, ale żadnych szczególnych wspomnień z tego okresu nie zachował w pamięci. Dopiero w lipcu 1946 roku, kiedy miał już świadectwo ukończenia pierwszej klasy, zdarzyło się coś, co radykalnie zmieniło jego życie. Coś, czego nie mógł przewidzieć, ale czemu poddał się zaskakująco spokojnie, bez wahania, bez żadnych negatywnych emocji, tak płynnie, jakby w podświadomości tego oczekiwał, jakby intuicyjnie wyczuwał, że to krok we właściwą stronę. Kiedy był w ogrodzie (pełnia wyjątkowo pogodnego lata sprawiała, że często tam przebywał), przed ich domem zatrzymała się zielona furgonetka z wymalowanym wielkim czerwonym krzyżem. Strój młodej kobiety, która z niego wysiadła, kolorystycznie doskonale harmonizował z wyglądem samochodu – zielony mundur wojskowy, a na rękawie biała opaska z czerwonym krzyżem. Nie trwało długo, kiedy w drzwiach ukazała się Fini. Nie przyszła jednak się z nim bawić, tylko z mocno zasmuconą miną, trochę nieswoim głosem stwierdziła:

– Chodź do domu, musimy cię spakować, bo wyjeżdżasz.

Wzięła go za rękę i wprowadziła do domu. Heinrich był zaskoczony, nigdy dotąd nie słyszał, że dokądkolwiek ma jechać, choć niby czas temu sprzyjał i wielu kolegów ze szkoły mówiło o planowanych eskapadach. Magdalena Mayr siedziała z nieznaną przy stole i pokazywała jej różne zapisane kartki, będące pewnie urzędowymi dokumentami.

Pośrodku pokoju stała otwarta, pusta walizka i kartonowe pudło. Fini zaczęła wyciągać z szafy ubrania Heinricha, a jej matka podpowiadała tylko z daleka, co jeszcze powinna włożyć. Chłopiec stał bezradnie, obserwując, co się dzieje, i nie bardzo wiedział, co ma się z nim stać. Nikt mu nie powiedział, dlaczego ma wyjechać i dokąd? Po zamknięciu walizki i przewiązaniu pudła sznurkiem Fini chciała się zabrać do przygotowania wałówki na drogę, na co zareagowała kobieta, która okazała się Amerykanką:

– Nie ma potrzeby, droga nie będzie długa, a na miejscu chłopiec dostanie coś do zjedzenia.

Gdy bagaże zostały odniesione do samochodu, a chłopiec przebrany w najlepsze ubranka, by dobrze prezentował się podczas swej pierwszej w życiu podróży, nastąpiło ostateczne pożegnanie z niemiecką rodziną, o czym on, oczywiście, nie wiedział. Magdalena Mayr była poważna, miała wręcz, jak zapamiętał Henryk, uroczystą minę.

– Daję ci moją fotografię, pamiętaj zawsze, że byłam twoją matką – stwierdziła i odprowadziła chłopca do samochodu.

To właśnie na podstawie tej fotografii Magdaleny Mayr, która zresztą w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zaginęła, Henryk miał prawo sądzić, że jego biologiczną matką musiała być inna kobieta. Przypisywanie kartce papieru z wizerunkiem jakiejś osoby, nawet najdokładniejszym, możliwości wzbudzania uczuć, jest z pewnością nadużyciem, ale w historii pana Henryka i takie rzeczy się zdarzają. Gdy w 1989 roku nawiązał kontakt z Fini, ona w pierwszym z listów przysłała mu zdjęcie kobiety siedzącej w ogrodzie w Deutenhofen z dzieckiem na kolanach – twierdząc, że to jego biologiczna

matka i on, czyli jej syn. Zdjęcie zrobiło na nim piorunujące wrażenie. W sercu poczuł coś, czego wcześniej nigdy nie doświadczył, i do dziś jest przekonany, że kobieta ze zdjęcia jest jego najprawdziwszą matką. O tamto, Magdaleny Mayr, specjalnie nie dbał, skoro zaginęło, to drugie powiększył i do dziś traktuje niemal jak relikwię.

W historii pana Henryka niejasności, wątpliwości i znaków zapytania nie brakuje. Po zakończeniu wojny z Niemiec do Polski wracały przeważnie dzieci, których ktoś w kraju poszukiwał: rodzice, rodzina, przyjaciele rodziny, opiekunowie. Komuś zdeterminowanemu zależało na ich odnalezieniu, bo nie był to proces łatwy i szybki do przeprowadzenia, czego dowodem był fakt, iż zaledwie dziesięć procent germanizowanych nieletnich Polaków wróciło do ojczyzny. Wydaje się, iż Heinricha nikt nie szukał, a mimo to Czerwony Krzyż się o niego upomniał. Być może, tak przypuszcza sam bohater, rodziny, które brały na wychowanie dzieci z opieki społecznej, zobowiązano do zgłoszenia ich odpowiednim władzom okupacyjnym, w tym wypadku Amerykanom. Mogłoby na to wskazywać przeglądanie przez Amerykankę dokumentów pokazywanych jej przez Magdalenę Mayr.

To, co działo się po wyjeździe z niemieckiego domu, pan Henryk pamięta fragmentarycznie, niewyraźnie, jak przez mgłę. Nikt mu niczego nie wyjaśnił, nie wiedział właściwie, co się dzieje, po co zabrano go z bezpiecznego dla niego miejsca i jakie są wobec niego plany. Miał już sześć lat i taka rozmowa pewnie by mu jakoś pomogła. Zawieziono go prawdopodobnie do nieczynnego już obozu w Dachau, gdzie w jednym z baraków przez wiele dni nocował. Najpierw było tam niemal pusto, z czasem przybywało coraz więcej dzieci

z opiekunami. Codziennie widywał się z Amerykanką, która była jego opiekunką. Chodziła z nim na spacer, oprowadzała po mieście, zabierała do okolicznych miejscowości, gdzie odwiedzali przedszkola i domy dziecka. Odbyli też dalszą podróż, bo aż nad morze, które chłopiec widział po raz pierwszy w życiu i które zrobiło na nim ogromne wrażenie. Z tego bogatego w wydarzenia okresu najbardziej utkwilo mu w pamięci zdarzenie, które mogłoby wydawać się błaHOSTKĄ, lecz dla sześciolatka urosło do rangi tragedii.

Pewnego wieczoru, gdy wrócił do swego baraku, stwierdził, że spod poduszki zniknął jego ukochany, jasnobrązowy sweterek z czarnymi jelonkami. Dostał go na ostatnie obchodzone w Deutenhofen urodziny od swej niemieckiej mamy. Stanowił dla niego wartość najwyższą być może dlatego, że Magdalena Mayr zrobiła go własnoręcznie i że powstawał na jego oczach. Robiła go długo, w wolnych chwilach, kolejne gotowe fragmenty przymierzała na chłopcu, a on cierpliwie się temu poddawał, a niecierpliwie czekał, aż będzie gotowy. I wreszcie 19 stycznia 1946 roku stał się jego własnością, którą być może cenił tak również dlatego, iż była wykonana specjalnie dla niego. Gdy odkrył jej brak, wybuchnął histerycznym wręcz płaczem, był to szloch pełen żalu do losu, do siebie, że sweterek zostawił, nawet do niemieckiej matki, że nałożyła mu go na drogę. Cały świat winien był tej tragedii, która nie pozwoliła mu zasnąć, a gdy rano przyszła jego opiekunka, ledwie widział zapuchniętymi oczami.

Kolejny obraz utrwalony w pamięci sześciolatniego Heinricha-Henia to długi, złożony z wielu wagonów pociąg, co zaobserwował, gdy tory szczególnie ostro zakręcały,

szczelnie wypełniony ludźmi, z których większość stanowiły dzieci. Skład często się zatrzymywał, czasem nawet na wiele godzin, i dlatego podróż do Koźla koło Opola ciągle się wydłużała i trwała w sumie kilka dni. Na dworcu czekały na małych repatriantów siostry zakonne i zawiozły ich do domu dziecka, który prowadziły w Czechowicach. Dzieci nie mówiły po polsku, więc rozpoczęły swe „drugie” życie od nauki języka ojczystego. Henryk nie miał z tym problemu, jak i z funkcjonowaniem w szkole, choć przezywanie przez rówieśników „Niemcem” na pewno trochę bolało. Starał się skupić na nauce. W czechowickim domu dziecka przebywał aż do zdania matury. Nie czuł się nieszczęśliwy, będąc przekonany, a może tylko to sobie wmawiał, że jego życie nie różni się od tego, jakie wiodą rówieśnicy w swych rodzinnych domach. Po skończeniu studiów założył rodzinę i wydawało się, że lata wczesnego dzieciństwa spędzone w Niemczech zapadły w tak głębokiej niepamięci, że już nigdy nie będą dla niego ważne. A jednak..., kiedy otrzymał adres Fini i nawiązał z nią kontakt, obrazy przeszłości wróciły z wielką mocą i perspektywa spotkania i powrotu do miejsc z nią związanych okazała się nęcąca.

Wszystko było już więc gotowe, do wyjazdu pozostało kilka dni, gdy otrzymał z Niemiec telegram o treści, której w żadnym razie nie mógł się spodziewać: „Proszę nie przyjeżdżać”. Podpisany był Helmut Mayr. Wiedział od Józefiny, że to jej jedyny syn. Następnego dnia do zdezorientowanego Henryka, jakby siłą zatrzymanego w dołku startowym biegacza, dotarł list, który miał wyjaśnić to jedno krótkie polecenie. Jego sedno przytoczę za oryginałem:

„Moja matka mieszka teraz ze mną, a ja kategorycznie odmawiam przyjmowania w domu obcych osób. Poza tym jestem zdania, że chodzi Panu tylko o to, aby przyjechać do Niemiec, w przeciwnym razie już wcześniej mógłby Pan nawiązać kontakt z moją Matką lub Babcią [...]”.

Zszokowany Henryk natychmiast odpisał na list przypisujący mu nieprawdziwe intencje, ale, rzecz jasna, o podróży do kraju dzieciństwa nie mogło być już mowy. Ten przykry incydent nie od razu, ale jednak wpłynął na jego kontakty z Józefiną. Wymienili ze sobą jeszcze kilka listów, których ton był nieco mniej serdeczny, przesłali kilka paczek, ale korespondencja stawała się coraz rzadsza. W ostatnim liście, który otrzymał, Józefina donosiła, że zainspirowana jego tak efektywną nauką niemieckiego, zaczęła uczyć się angielskiego, gdyż marzy jej się podróż po całej Europie. Już wcześniej, zaraz po odwołaniu jego wyjazdu do Niemiec, zaprosił ją do siebie, do Kielc, lecz, choć niby zaproszenie przyjęła, nigdy już o nim nie wspomniała.

Nawiązanie kontaktu z Józefiną Mayr było tylko jednym z rezultatów rozpoczętych przez Henryka Kowalczyka poszukiwań swoich korzeni. Definitywnie przekonany, że pierwsze sześć lat swego życia spędził w rodzinie zastępczej, koniecznie chciał dowiedzieć się jak najwięcej na temat swych biologicznych rodziców. Kwerenda przeprowadzona przez archiwum w Arlosen i Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża, do których to instytucji zgłosił się z prośbą o pomoc, wraz z informacjami udzielonymi mu przez Józefinę Mayr złożyły się na taki, wielce prawdopodobny zestaw danych o jego rodzicach. Matka,



Anna z domu Pawlak, córka Andrzeja i Marianny z domu Nowak, urodziła się 10 sierpnia 1919 roku w Podgórzu, wsi w gminie Świnice Wareckie, w województwie łódzkim. Ojciec, Mieczysław, urodził się zaś w roku 1918 i był piekarzem w miejscowości Kolonia Zbylczyce znajdującej się w tej samej gminie co Podgórze. Do Niemiec zostali wywiezieni najprawdopodobniej jednym z pierwszych transportów pod koniec 1939 roku, dopiero w listopadzie tegoż roku podjęto bowiem decyzję o kierowaniu Polaków na przymusowe roboty do Rzeszy. Anna, w zaawansowanej ciąży, trafiła do Rudelshofen, gdzie pracowała u gospodarza o nazwisku Hörmann, który podobno dbał o swoich pracowników, na co dowodem może być fakt, iż płacił za nich ubezpieczenie zdrowotne. Dzięki temu Anna urodziła syna – Henryka (19 stycznia 1940 roku) w szpitalu w pobliskim Dachau. Większości polskich robotnic szybko zabierano nowo narodzone dzieci i tak też najpewniej stało się w tym przypadku. Chłopczyk trafił do opieki społecznej, a gdy miał osiem tygodni, przekazano go na wychowanie mieszkającej niedaleko Dachau Magdalenie Mayr.

Jest prawdopodobne, że matka wiedziała, gdzie znajduje się jej dziecko i co najmniej raz je odwiedziła, czego dowodem może być zdjęcie kilkumiesięcznego Henia z mamą w ogrodzie nieruchomości Mayrów, fotografia tak ważna do dziś dla pana Henryka. Co później działo się z Anną, dokładnie nie wiadomo. Według jednej z wersji dosyć szybko zmarła gdzieś w obozie. Według innej, bardziej udokumentowanej, zachorowała, leżała dosyć długo w szpitalu w Dachau, po czym w maju 1941 roku „odesłano ją do domu”. Czy chodziło o gospodarza, u którego pracowała, czy też o dom w Polsce, to też nie jest jasne.

O ojcu wiadomo jeszcze mniej, tylko tyle, że trafił do obozu jenieckiego i tam prawdopodobnie zmarł. Pan Henryk mimo podeszłego wieku nadal prowadzi poszukiwania i nie zamierza z nich rezygnować. Nie udało mu się znaleźć w Urzędzie Stanu Cywilnego w Świnicach Wareckich aktu małżeństwa rodziców, ale przeciwności go nie załamują. Już ma konkretny plan działania na najbliższy czas. Wie, do jakich instytucji musi się udać, by kultywowany w jego wyobraźni obraz rodziców stał się bardziej wyrazisty. Nie tylko chce zebrać jak najwięcej informacji na ich temat, ale być może odnaleźć jakichś dalszych krewnych. Ma nadzieję, że gdzieś w Polsce żyją jacyś jego kuzyni...

Pan Henryk często patrzy na starą, wyblakłą fotografię, jedyne zdjęcie jego rodzonej matki, jakie ma, czując z osobą na niej przedstawioną prawdziwą więź. Wpatruje się w jej twarz i za każdym razem nawiedza go podobna myśl:

– Serdecznie, z całego serca, współczuję tej kobiecie tego, co przeżyła. Współczuję, że urodzić mnie musiała właśnie tam, że potem musiała się ze mną rozstać, że nie mogła nawet pochwalić się synem mężowi, czyli mojemu ojcu.

Od czasu, kiedy otrzymał tę fotografię, jeszcze przed uzyskaniem wielu informacji o swej matce, co roku, 1 listopada, chodzi wraz z żoną na Cmentarz Stary w Kielcach, gdzie mieszkają, i pod Pomnikiem Ofiar Faszyzmu zapala świeczkę i modli się za Annę i Mieczysława.





Henio, z prawej strony, w niemieckiej rodzinie. Z lewej jego przybrana siostra Fini. Pośrodku jej starsza kuzynka Ani.





W Bad Arolsen znajduje się największe na świecie międzynarodowe archiwum poświęcone ofiarom reżimu nazistowskiego.

*Źródło: Wikimedia Commons*





Mały Henryk, prawdopodobnie z biologiczną matką, Anną Kowalczyk z domu Pawlak, w ogrodzie niemieckiej matki, Magdaleny Mayr, w Deutenhofen.





## **Opiekuj się Kazią**

W rodzinie nazywali ją „wicher”. Pogodna, ciekawska, energiczna, pomocna, towarzyska, wszędzie jej było pełno. Wojna sprawiła, że o przeżyciach, które stały się jej udziałem, stara się nie mówić, a jeśli już do tego dojdzie, do dziś robi to łamiącym się głosem. Negatywne emocje nie zniknęły, wspomnienia bolą nawet po tylu latach.

Przed wojną żyli jak tysiące innych górniczych rodzin. Ojciec pracował w kopalni węgla kamiennego Siersza. Matka zajmowała się domem i dwiema córkami – nią, w roku wybuchu wojny ośmioletnią Ireną – i sześć lat młodszą Kazimierą. Powodziło im się całkiem nieźle. Mieli nieduży, ale własny domek jednorodzinny i kawałek ziemi, który też przynosił jakiś dochód, a oprócz tego własne produkty, które mogli spożywać. Hodowali kury, gołębie, króliki, mieli nawet świnię i kozę. Przez pierwsze lata po napaści hitlerowców na Polskę w życiu Irenki niewiele się

zmieniło. Może tylko to, że do szkoły nie chodziła codziennie, a jedynie dwa razy w tygodniu, bo w pozostałe dni dzieci były zobowiązane zbierać zioła, liście brzoź, malin, bratków i podbiału dla niemieckiego wojska. Nowością były też wyprawy z tatą na rowerze. Wiózł ją na ramie, a potem stała przed domami z rowerem i pilnowała, czy nie nadchodzi jakiś Niemiec. W razie czego miała śpiewać umówioną piosenkę. I nadeszła ta noc z 11 na 12 sierpnia 1943 roku. Z dawien dawna, bo jeszcze przed wybuchem wojny, szczegółowo planowana przez Niemców zamieszkujących Śląsk akcja „Oderberg” stała się faktem. W tysiącach domów powiatów będzińskiego, sosnowieckiego i chrzanowskiego światło włączono na długo przed świtem. W Jaworznie, Chrzanowie, Sosnowcu, Trzebini, Czeladzi, Będzinie, Dąbrowie Górniczej i okalających je wsiach policjanci z lokalnych posterunków niemieckich brutalnie, jak zwykle, załomotali do drzwi tych, którzy znaleźli się w spisach proskrypcyjnych, obejmujących przede wszystkim inteligencję, duchownych i działaczy politycznych. Aresztowano nie tylko ich, ale całe rodziny.

Ojciec Irenki był PPS-owcem i należał do organizacji podziemnej. Dom Halembów obstawiono uzbrojonymi funkcjonariuszami ze wszystkich stron. Czasu na pakowanie nie było, więc zgodnie z zaleceniem mamy, która w pierwszej kolejności włożyła do torby zapas chleba, każdy nałożył na siebie jak największą ilość ubrań, mimo iż na dworze panowała letnia temperatura. Irenka pomogła ubrać się prawie śpiącej jeszcze Kazi. Przed domem stały dwie okratowane ciężarówky, do jednej kazano wsiąść ojcu, a one pojechały drugą. Duża sala siedziby gestapo w Sierszy stopniowo zapełniała się ludźmi. Kiedy one weszły, ojciec już

tam był. Stał wśród mężczyzn po przeciwnej stronie pomieszczenia, zwrócony twarzą do ściany i z rękami wyciągniętymi do góry. Robiło się coraz tłoczniej. Z ogólnego szumu co rusz to wydobywał się płacz dziecka, czasem całej grupy dzieci, bo ich było tam najwięcej. Irenka nie pamiętała, jak długo byli tam przetrzymywani, na pewno kilka godzin. Wreszcie zaczęto wyczytywać kolejne nazwiska i spisywać dane, po czym znów znaleźli się w tych samych ciężarówkach, z tą różnicą, iż ze względu na znacznie powiększoną liczbę osób o zmianę pozycji przyjętej na początku było trudno.

Irenka przez całą drogę drżała ze strachu. Nie raz słyszała, jak dorośli opowiadali, co dzieje się w obozie w Oświęcimiu, który przecież znajdował się niedaleko nich. Najbardziej utkwił w jej pamięci fakt, iż tam w łaźniach z kranów nie leci woda, a uśmiercający gaz. Na szczęście droga nie była daleka i mniej więcej po godzinie wysiedli w Mysłowicach, gdzie znajdowało się niemieckie więzienie policyjne. Od razu, ku przerażeniu Irenki, zagonili ich do łaźni. Wepchnięto ją do pomieszczenia, a ona stała jak sparaliżowana i wlepiła wzrok w krany. Dopiero, gdy z kilku znajdujących się najbliżej zaczęła lecieć woda, otrząsnęła się i nieco uspokoiła. Gdy we trójkę wyszły z łaźni, nagle stanął przed nimi ojciec. Uśmiechnął się i powiedział do mamy:

– Głowa do góry, pamiętaj, masz dzieci do wychowania.

Cała trójka zaczęła płakać, a mama łamiącym się głosem stwierdziła:

– Zawsze mówiłeś, że dłuższe mam włosy niż rozum, a do czego nas doprowadziłeś...

Na dalszą rozmowę nie mieli już czasu. To była chwila, którą Irenka zapamiętała na całe życie i do dziś nie jest w stanie mówić o niej bez emocji. Ojcu kazano iść w inną stronę i nigdy go już nie zobaczyła. One musiały przejść przez stanowisko, w którym trzeba było oddać wszystkie złote rzeczy. Mama miała obrączkę, pierścionek, kolczyki i łańcuszek, z którymi się nie rozstawała. Po pewnym czasie zaczęto wyczytywać nazwiska kobiet, które kolejno przechodzić miały na drugi koniec sali, a dzieci pozostawały na miejscu. Gdy przyszła kolej na mamę, szepnęła Irence:

– Opiekuj się Kazią.

Matki zawieziono do obozu w Oświęcimiu, a dzieci do Pogrzebienia. W tej miejscowości o malowniczym położeniu, swego rodzaju punkcie widokowym pozwalającym objąć wzrokiem panoramę doliny Odry, znajdował się, i do dziś tam stoi, neorenesansowy pałac, który od chwili powstania na początku XIX wieku dosyć często zmieniał swych właścicieli. Najpierw należał do śląskiej rodziny Larischów, której przodkowie przywędrowali z Tyrolu, potem osiedlili się w nim Baidenowie, przemysłowcy i ziemscy posiadacze przybyli ze Szkocji, a w 1930 roku posiadłość stała się własnością zakonu salezjanów. Hitlerowcy oczywiście ją zarekwirowali, czyniąc z niej na początku obóz przejściowy dla reemigrantów niemieckich z Besarabii i Bukowiny, potem Polenlager 82 dla ludności polskiej i w końcu Kinderlager, obóz dla dzieci.

O tym, jak traktowano tam małych Polaków świadczy fakt, iż gdy w 1946 roku powróciły do pałacu salezjanki, na wielu ścianach widoczne były plamy krwi, a w niektórych pomieszczeniach z sufitu wystawały metalowe haki. Te niezbite dowody rozgrywających się tam dramatów tak

silnie podziały na wyobraźnię sióstr zakonnych, że jeszcze w latach 70. cierpiały tam na bezsenność, gdyż nocami słyszały drobne kroczki biegających po pałacowych parkietach dzieci, ich krzyki i jęki. Piękno wewnątrz kontrastowało z tym, co się w nich działo, a co było szczególnie bezecne, bowiem dotyczyło istot bezbronych. Wedle relacji Irenki akty maltretowania dzieci najróżniejszymi metodami odbywały się najczęściej w podziemiach. Te słabsze, które tego nie wytrzymały, pozostały tam na zawsze. Pełna lista ofiar do dziś nie jest znana. Wiadomo tylko, iż ośmioro z nich zmarło na pewno, gdyż odnotowano to w dokumentach znajdujących się w parafii pogrzebieńskiej, i pochowano je na tamtejszym cmentarzu. Ile ciał zagrzebano na terenie obozu – ten proceder poświadczany jest przez dzieci, które przeżyły – pokażą badania tego terenu, które jeszcze trwają.

W jednym z pomieszczeń piwnicznych znajdowała się skrzyneczka ze zwłokami dziecka. Ustawiona była tak, by można ją było zobaczyć przez okienko, bo służyła za niezwykle skuteczny środek wychowawczy. Straszono dzieci, że jeśli dopuszczą się jakiegoś przewinienia, jakiegoś czynu niezgodnego z regulaminem obozu, zostaną tam zamknięte na całą noc. Irena do dziś pamięta strach, który jej towarzyszył, gdy przypadkiem spojrzała na to okienko. Wspomina też o niezwykle prymitywnych warunkach sanitarnych. Ubikacje znajdowały się na zewnątrz, łazienek nie było, umyć się można było tylko w niewielkiej ilości wody w misce, a więziono tam około dwustu dwudziestu dzieci w wieku od urodzenia do szesnastego roku życia. Tych najmłodszych, niemowląt, było kilkanaścioro. Panował straszliwy głód, tak dojmujący, że dzieci wciąż nękanie

boleściami gotowe były zjeść wszystko, a przysmakiem stawały się obierki ziemniaczane. Irenka, należąca do grupy starszej, pracowała w ogrodzie przy uprawie buraków, brukwi, ziemniaków. Były tam też drzewa owocowe. Każde dziecko, które wychodziło z ogrodu, dokładnie rewidowano, by przypadkiem czegoś nie wyniosło, były też cały czas obserwowane, czy nie zjadają czegoś podczas pracy.

Pewnego razu Irenka postanowiła przynieść coś dla coraz słabszej Kazi. Dwa jabłka schowała pod pachami i starała się iść tak, by nie było tego widać. Przy bramie utykający na nogę i chodzący o lasce nadzorca kazał jej podnieść ręce do góry. Jabłka wypadły na ziemię, a dziewczynka została tak dotkliwie zbita kijem, że przez dłuższy czas nie mogła dojść do siebie. Głód był też powodem innego, dla niej niesłychanie przykrego zdarzenia. Zaobserwowała, że tenże nadzorca w misce za kotarą trzyma dla siebie chleb, oczywiście racje miał znacznie większe niż dziecięce. Żołądek już tak ją bolał, że postanowiła ukraść choćby kromkę. Którejś nocy wstała po cichutku, na palcach podeszła do kotary. Było zupełnie ciemno. Dotknęła materiału, lekko uniosła go ręką i nic nie widząc, włożyła ją do najbliższej stojącej miski. Nie zastanawiała się, co złapała, bo chciała, by jak najszybciej znalazło się to w jej buzi. Poczowała straszliwy smród i smak, którego dotąd nie знаła. Nie wiadomo dlaczego, w misce znajdował się ludzki kał. Błyskawicznie wybiegła z baraku i przestała wymiotować dopiero wtedy, gdy chyba już nic nie zalegało w jej żołądku. Psychiki nie była w stanie tak łatwo oczyścić. Długi czas tkwiło w niej przekonanie, że doznała kary za chęć kradzieży i to swoiste memento stało się dla niej wskazówką na całe dalsze życie.

Pewnego dnia do obozu przyjechała komisja składająca się z ludzi w białych kitlach. Rozsiedli się przy długim stole w owalnej sali, znajdującej się na pierwszym piętrze pałacu, a wszystkim więźniom – oprócz jednej kobiety ciężarnej były tam same dzieci – kazano zgromadzić się w korytarzu i rozebrać do naga. Wywoływano pojedyncze osoby, po czym następowało ważenie, mierzenie wzrostu, ale i poszczególnych części ciała, zagłądanie do ust, nosa i uszu oraz spisywanie rodzinnych danych, co w przypadku młodszych dzieci raczej się nie udawało. Irenkę zakwalifikowano do pierwszej grupy, a więc dzieci wykazujących „dobre”, zgodne z hitlerowskimi kanonami cechy rasowe. Takie dzieci zamierzano poddać germanizacji.

Jej siostra znalazła się w innej grupie, która nie miała być poddana temu procederowi. To sprawiło, że Irence przybył kolejny powód do lęku. Wciąż obawiała się, że zostaną rozdzielone, a ona przecież, tak jak nakazała mama, starała się jak najlepiej opiekować Kazią. Nic więc dziwnego, że wpadła w panikę, gdy dowiedziała się, że będą je wywozić do innego obozu. Czyżby już teraz miał nastąpić ten moment? Zaczęła zastanawiać się, czy jest jakiś sposób, by siostra mogła z nią pojechać. Na szczęście czarny scenariusz się nie spełnił. Wszystkie dzieci przetrzymywane w pałacu miały zostać wywiezione, bowiem obóz w Pogrzebieniu likwidowano. Irena z Kazią znalazły się w Polenlagrze w Boguminie, miasteczku położonym w Kotlinie Ostrawskiej, tej części Śląska Cieszyńskiego, która jest najbardziej wysunięta na północny-zachód, w miejscu, gdzie wody Olzy wpływają do Odry. Miasteczko przed wojną przyłączone było do województwa śląskiego, po jej wybuchu włączono je do III Rzeszy.



W obozie większość stanowili dorośli, którym nakazano zaopiekowanie się przybyłymi dziećmi. Po pobycie w ładnym pałacu olbrzymi teren szczelnie wypełniony prymitywnymi barakami zrobił na dziewczynkach jak najgorsze wrażenie, tym bardziej, iż w różnych miejscach zalegały zwłoki ludzkie, choć do przetrzymywania ich przeznaczono dawną stajnię. Wszędzie było zimno, apele przedłużały się w nieskończoność i dzieci wciąż były głodne. Podobnie jak w Pogrzebieniu, Irenka musiała pracować. Przeważnie były to roboty ogrodniczo-rolnicze w ogródkach niemieckich funkcjonariuszy albo w polu, na które wyprowadzano dzieci poza obóz. Najgorzej wspomina udział w żniwach. Był wówczas wyjątkowy upał, pracować musieli przez cały dzień, niemal bez chwili na odpoczynek, a w dodatku bez możliwości napicia się czegokolwiek.

Raz wysłano ją do kapo, który mieszkał w miasteczku, a nie w obozie, by zaniósł mu obiad. Menu tego posiłku zdecydowanie musiało się różnić od tego, który dostawali więźniowie. Z menażek unosił się zapach prawdziwego obiadu, przywodzący na myśl dom i posiłki, które spożywali we czwórkę. „Czy kiedyś jeszcze tak będzie?“, zamyśliła się. W takich warunkach dwunastolatka stawała się z dnia na dzień dorosła i z nadzwyczajną trzeźwością oceniała sytuację, w której się znalazła. Była jak zwykle głodna, a miła woń wzmagała jeszcze to bolesne, jakże prawdziwe odczucie. Cel wędrówki nie znajdował się blisko obozu, więc pewnie gdyby stanęła w jakimś ustronnym miejscu i popróbowowała smakowitego posiłku, nikt by tego nie zauważył, tym bardziej, że zważywszy na ciężar naczyń, porcja musiała być solidna. Mniej więcej w połowie drogi, gdy była już bliska popełnienia przestępstwa, przypomniła

sobie próbę nocnej kradzieży chleba w Pogrzebieniu i natychmiast porzuciła ten zamiar.

To przykre wspomnienie kazało jej też wycofać się z innego kłamstwa. Dzieci do trzech lat dostawały w obozie szklanek mleka. Kazia była sześciolatką, ale Irenka widząc, jak nędznie wygląda i obserwując, że jest coraz słabsza, postanowiła, że choć raz poda inny jej wiek, by mogła napić się czegoś bardziej wartościowego niż czarna niby-kawa serwowana wszystkim codziennie. Stała w kolejce, ale gdy były przed nią już tylko trzy osoby, zrezygnowała. Obóz w Boguminie miał tę przewagę nad innymi, w których przebywała, że starsze dzieci wychodziły poza jego obręb, przeważnie prowadzone przez funkcjonariuszy w jakimś konkretnym, wspólnym dla nich celu. Irenka miała do załatwienia własną, prywatną sprawę, dlatego raz wymknęła się z niego sama. Jej najbliższa koleżanka podczas pracy doznała urazu kolana, w którym bez leczenia po jakimś czasie pojawiła się woda. Dopiero wtedy zawieziono ją do szpitala w miasteczku, gdzie Irenka postanowiła ją odwiedzić. Najpierw musiała przedostać się pod dwoma rzędami drutów kolczastych, odgradzających teren obozu od przestrzeni miejskiej. Na szczęście nie były one podłączone do prądu. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się szpital. Gdy od przechodzącej ulicą kobiety dowiedziała się, że dosyć daleko, doszła do wniosku, że na piechotę nie zdąży dotrzeć z powrotem przed nocą. Miała szczęście, bo inna zagadnięta osoba pożyczyła jej pieniądze na tramwaj, a potem bez przeszkód, przez nikogo niezatrzymywana odnalazła salę, w której leżała koleżanka, i mogła z nią trochę porozmawiać. Tuż przed zmierzchem, niezauważona przez nikogo, tą samą drogą wróciła do obozu. Podczas tej

eskapady zastanawiała się nad możliwością ucieczki; jednej z dziewczynek się to udało, ale wtedy przed jej oczami stanęła wymizerowana postać siostry i już więcej o tym nie myślała.

Chwila ponownego zagrożenia nadeszła, gdy rozeszła się wieść, że będą ich przewozić do kolejnego obozu. „Czyżby to teraz, czy rozstanie z Kazią musi jednak nastąpić?”, myślała z trwogą Irenka. Jak ona sama da sobie radę? Pomijając fakt, że razem zawsze było im różnie, nawet na tle innych dzieci w tym samym wieku, które wyglądały bardzo nędznie, siostra wydawała się Irencie szczególnie blada, wychudzona, pozbawiona normalnej, dziecięcej energii. Starła się dbać o nią, jak tylko mogła, i obawiała się, że bez takiej ochrony dziewczynka nie przetrwa. Na szczęście i tym razem nieistotna była kwalifikacja dzieci do różnych grup pod względem przydatności do germanizacji, bo wszystkie przewieziono do obozu w Potulicach.

Ta miejscowość, o pierwotnej nazwie Kantowo, położona na Pojezierzu Kujawsko-Pomorskim, koło Nakła nad Notecią, swą nową nazwę zawdzięcza arystokratycznemu rodowi Potulickich herbu Grzymała, który uczynił zeń swą wieś folwarczną, gdy dla jednego z jego członków wybudowano tam pałac w stylu neogotyckim. Po śmierci hrabiny Anieli Potulickiej cały majątek o obszarze sześciu tysięcy hektarów został przekazany jako fundacja Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu.

Po wybuchu wojny miejscowość włączono w granice III Rzeszy i hitlerowcy, mający widoczną słabość do historycznych zabytków, założyli tu w 1941 roku obóz przesiedleńczy i pracy „Lebrechtsdorf”, początkowo administracyjnie podporządkowany obozowi

koncentracijnemu Stutthof. Najpierw wykorzystywano dla więźniów zabudowania folwarczne, ale z czasem zaczęto go rozbudowywać, by mógł pomieścić około dwadzieścia pięć tysięcy więźniów, z których ponad tysiąc dwustu straciło życie. Tym razem podróż była długa, bo by dostać się ze Śląska Cieszyńskiego na Pojezierze Kujawsko-Pomorskie, trzeba pokonać ponad 500 kilometrów. Zaraz po przyjeździe zagnano dzieci do łaźni, gdzie Irenka znów przeżyła chwile napięcia, obserwując, czy z kranów na pewno płynie woda. Zabrano im ubrania, a w zamian dostali obozowe pasiaki i drewniaki. Golenie głów też nie należało do przyjemności. Zamieszkali w bloku 23, jednym z dwóch przeznaczonych wyłącznie dla dzieci.

Obóz ogrodzony był podwójnymi drutami kolczastymi, w których płynął prąd. Porządku pilnowali uzbrojeni strażnicy z wysokości gęsto rozstawionych wieżyczek. Tak jak i w poprzednich miejscach uwięzienia, panował tu potworny głód. Rano kromka chleba z trocin i ciemna woda zwana kawą, a na obiad też woda nazywana zupą, być może dlatego, że pływało w niej sporo gąsienic. Spali na piętrowych łózkach, z których w nocy młodsze dzieci często spadały na podłogę. Na apelach czasem stać trzeba było na baczność na mrozie przez kilka godzin, a nieobecność była surowo karana. Gdy Kazia zachorowała na ciężką anginę, Irenka na krótko przed apelem pobiegła do ambulatorium, by uzyskać dla niej jakąś pomoc. Wróciła kilka minut po rozpoczęciu apelu i na nieszczęście zobaczyła to kobieta nadzorująca ich salę. Wydawało się, że razem zadawanym dziewczynce w głowę nigdy nie będzie końca. Były tak silne, że każdy mógł doprowadzić co najmniej do utraty przytomności. Bliska tego stanu Irenka jakoś to jednak

przetrwała, ale ogłuchła na jedno ucho i przez długi czas miała zawroty głowy utrudniające normalne poruszanie się.

Chorobą Kazi nikt się nie zainteresował. Mimo iż na jednym z baraków widniała tabliczka „Ambulatorium”, panująca w obozie zasada była prosta: albo organizm sam zwalczy chorobę, albo się podda i przestanie w ogóle funkcjonować. Salowa, ta sama, która tak lubiła bić dzieci, pomniejszała im racje chleba i nie dawała przeznaczonych dla nich, i tak symbolicznych, porcji cukru. Zaobserwowali, że te skarby chowa w skrytce pod łóżkiem. Pewnego razu chłopcy tak zaczęli trząść meblem, że zgromadzone kosztem podopiecznych zapasy wypadły na podłogę. Wściekła kobieta przystąpiła do swego ulubionego zajęcia. Wyżywała się, bijąc, gdzie popadnie, kolejne dzieci. Ich donośne, przeraźliwe krzyki sprowadziły do sali blokową. Mali więźniowie, zgodnie, choć przecież się nie umawiali, naskarżyli na swą opiekunkę, przywołując metody wychowawcze przez nią stosowane. Tego samego dnia wymieniono ją na inną, która okazała się znacznie lepsza. Potem ta poprzednia często siedziała przed ich barakiem i obierała kilogramy ziemniaków, co z pewnością było dla niej zajęciem daleko lepszym, bo nie stanowiło dla nikogo zagrożenia. Gdy starsze dzieci wychodziły do pracy, wszystkie, bez wyjątku, z dużą satysfakcją pluły na swą prześladowczynię.

Irenka pracowała w majątku przy wrywaniu ostów, pokrzyw, lebiody, plewieniu ziemniaków. Wszystko robiło się gołymi rękami, których pokaleczona, spierzchnięta, popękana skóra bolała nocami, a najbardziej podczas kontaktu z wodą. Dzień pracy trwał dwanaście godzin z minimalnymi przerwami. Podobnie jak w Boguminie, tu

też małe więźniarki brały udział w żniwach, pracując w największym słońcu, bez możliwości napicia się czegokolwiek. Od tego czasu Irena nie lubi słońca, bo podczas upalnych letnich dni przypominają się jej koszmarne prace polowe w obozach. Zdecydowanie woli chłodniejszą, pochmurną pogodę.

Kiedy starsze dzieci pracowały, młodszym, takim jak Kazia, nie wolno było wychodzić z baraków, zabronione było także leżenie na pryczach. Nie miały czym się bawić, więc czas spędzały, siedząc na taboretach i czekając na wieczór, który był daleko bardziej atrakcyjny, bo wracały starszaki i można było coś zjeść. Z tygodnia na tydzień wszystkie dzieci, a szczególnie te młodsze, coraz bardziej stawały się chodzącymi kościotrupami. Miały duże głowy z nieco wybałuszonymi oczami, szarą cerę bez rumieńców i kości powleczone cienką warstwą suchej, często łuszczącej się skóry. Ich wygląd przywoływał na myśl zdjęcia dzieci z Trzeciego Świata. Dorosła już Irena twierdziła, że gdyby wojna trwała nieco dłużej, co najmniej połowa z nich nie doczekałaby jej końca.

Na szczęście pewnego styczniowego ranka 1945 roku ze strażniczych wież zniknęli uzbrojeni funkcjonariusze, nie było słyhać krzyków ani nawoływań do natychmiastowego stawiania się na apel, a dzieci mogły swobodnie poruszać się po całym terenie obozu, którego sporej części nie znały. Obozowa brama była otwarta na oścież i płynął przez nią potok kiepsko się poruszających ludzkich istot. Na zewnątrz wychodzili dorośli, a zdezorientowane dzieci, w większości przywiezione z odległych rejonów Polski, nie bardzo wiedziały, co mają robić. Kilka osób ulitowało się nad nimi, mimo że pewnie aż wrywali się do opuszczenia

znieawidzonego miejsca, i wzięło je pod swoją opiekę. To był wyjątkowo mroźny styczeń, w barakach zamarzała woda, więc postarano się o węgiel i żelazne piecyki, których rury, by nie doszło do zaczadzenia, wysuwano przez okna. Prawdopodobnie ktoś z dorosłych zawiadomił jednostkę Armii Czerwonej stacjonującą niedaleko, że w obozie są jeszcze ludzie i żołnierze zaczęli przynosić im jedzenie.

Na obiad pojawiła się prawdziwa zupa, a nie woda z gąsienicami, dużo zupy i dużo chleba do niej. Zagłodzone dzieci nie mogły jeść tyle, ile by chciały, nie pozwalały im na to skurczone żołądki, ale do dziś Irena wspomina te smakowite dania. Raz był nawet deser – budyń na wodzie. Dzieci na zmianę, zgodnie z wyznaczonymi dyżurami, chodziły do majątku po mleko i przynosiły go całe wiadro. Przesiedziały tam jeszcze mroźny i śnieżny luty, bo prawdopodobnie rodziny nie wiedziały, dokąd dzieci zostały zabrane, ani gdzie się znajdują. Ponadto część rodziców wracała dopiero z obozów czy wychodziła z ukrycia. Wreszcie na początku marca po część dzieci przyjechała pierwsza grupa rodziców, wujków, znajomych. Niestety, Irenka nie znalazła się wśród nich, ale już sam fakt, że coś się w tej sprawie ruszyło, dawał nadzieję, że i po nią ktoś się zgłosi. Do domu miała daleko, normalnej komunikacji jeszcze nie uruchomiono, a nawet gdyby już działała, nie miała pieniędzy na bilety.

I znów nastały długie dni wyczekiwania. Niby koniec wojny, wolność, ale nie można było sobie pójść, dokąd się chciało, bo opiekunowie wciąż ostrzegali, by z obozu nie wychodzić, gdyż tu i ówdzie zdarzały się incydenty, w których ginęli ludzie – jakiś zabłąkany Niemiec z karabinem albo ktoś przebrany w mundur wroga, kto nie

zdążył wystarczająco szybko tego wykrzyknąć. Taka przygoda spotkała starszych chłopców z ich obozu. W jednym z baraków jakiś czas przebywali Ukraińcy wspomagający niemieckie wojsko, zostawili tam mundury i broń. Ciekawskie dzieciaki, korzystając ze swobody poruszania się po całym terenie, odkryły to. Wciąż panował duży mróz, więc chłopcy nałożyli na swe nędzne ubrania mundury, do rąk z dumą, pewnie po raz pierwszy, wzięli broń i wyszli za bramę, by znaleźć gdzieś ustronne miejsce na naukę strzelania. Od razu z pobliskiego lasu wybiegli rosyjscy żołnierze i o mało nie doszło do tragedii. Prawdopodobnie zapobiegł jej fakt, iż na czele zbrojnej bandy przebierańców szedł jedyny wśród nich mały i wzrostem, i wiekiem były więzień, co powstrzymało czerwonoarmistów od natychmiastowego strzelania.

I wreszcie przyjechali kolejni oswobodziciele, bo tak tam traktowano dorosłych, którzy zechcieli zabrać dzieci z obozu. Tym razem Irenka i Kazia znalazły się w grupie szczęśliwców. Załadowano ich na drabiniaste wozy zaprzężone w woły i zawieziono do Nakła. Okazało się, że w najbliższym czasie nie ruszy stamtąd żaden pociąg, więc wystarano się o jakiś pokój, gdzie dzieci mogły nocować. Posiłki zapewnił im Polski Czerwony Krzyż. Po kilku dniach uruchomiono specjalnie dla nich pociąg złożony z wagonów towarowych, gdyż inne chwilowo nie były dostępne. Miały nim dojechać do Będzina. Podróż trwała kilka dni. Spały na podłodze wyściełanej słomą. Nie marzły, bo w każdym wagonie znajdował się żelazny piecyk.

Na miejscu najpierw zabrano ich do szpitala, by sprawdzić, czy ktoś potrzebuje pomocy medycznej i okazało się, że większość dzieci wymaga różnego rodzaju leczenia,



a wszystkie nadają się do odwszenia. Mimo krótkich włosów, odrastających po ogoleniu, robactwo spacerowało po nich bezczelnie, zadomowione było też w ubraniach. W kolejnych dniach zaczęto rozwozić dzieci po okolicy, do miejscowości, gdzie mieszkały przed wywiezieniem. Irenka z Kazią trafiły na posterunek milicji w Sierszy, tam, gdzie podczas wojny rezydowało gestapo i skąd zabrano ich rodzinę. Gdy przyszła po nie babcia, dziewczynka od razu się domyśliła, że rodzice nie wrócili.

Zamieszkały w domku babci razem z dziadkiem i trzema ciotkami. Ciasnota i bieda nie sprzyjały regeneracji organizmów dziewczynek. Obydwie bardzo kaszłały, a w nocy pociły się tak, że rano poduszki trzeba było wyżymać. Wciąż wypatrywały rodziców. Każde stukanie do drzwi przyjmowały z radością, po czym przeżywały rozczarowanie. By choć trochę pomóc finansowo babci, Irenka za drobny grosz wypasała krowy sąsiadom. Pewnego dnia w trakcie tej pracy, gdy krowy spokojnie skubały trawę, a ona siedziała zamyślona na drewnianym pieńku, obciosanej pozostałości drzewa, w które trafił piorun, przybiegł kuzyn, już z daleka wołając:

- Irka, idź szybko do domu! Ja cię zastąpię.
- Do babci? – spytała zdziwiona.
- Nie, do was.

Szła szybko, coraz szybciej, aż energiczny marsz przeszedł w bieg, i myślała, co też mogło się w ich domu stać. Może ktoś okno wybił albo jakieś drzewo zwaliło się na dach...? A tu czekała niespodzianka, której nie brała pod uwagę. Na małym ganku siedziała mama. Właściwie pół dawnej mamy, bo była tak wychudzona, z podkrążonymi oczyma, ale

jednak najprawdziwsza mama. Przetrwiała nie tylko pobyt w Oświęcimiu, gdzie poddawana była eksperymentom medycznym (wszczepiono jej między innymi bakterie tyfusu), ale i marsz do Dachau, co udało się niewielu kobietom.

Życie od razu się zmieniło, choć nie wróciło do przedwojennej normy. Wszystkie trzy wciąż wypatrywały ojca. Nie tylko z utęsknieniem na niego czekały, mama pisała także listy do różnych organizacji zajmujących się poszukiwaniem ludzi po wojnie. Żadne wiadomości jednak nie nadchodziły, a one musiały zajmować się swą codziennością. W ich domu stały puste ściany, nie było żadnych mebli ani sprzętów. Część zabrali gestapowcy, resztę pewnie wyszabrowali okoliczni mieszkańcy. Musiały powoli gromadzić wszystko od nowa, a na to potrzebne były pieniądze. Mama rozpoczęła pracę w kopalni. Irena widziała, że po obozowych przejściach ma znacznie mniej siły niż wcześniej, więc zatrudniła się w sklepie. Zapłatę dostawała w naturze. Codziennie jeden chleb i obiad dla niej, a raz na tydzień pięć deka kiełbasy i pięć deka masła.

By zarabiać pieniądze, po jakimś czasie została gońcem w Zakładach Przemysłu Skórzanego „Chełmek”. Równocześnie wróciła do szkoły i w trybie wieczorowym uzyskała średnie wykształcenie. To przyniosło jej w pracy awans na kierownika Kancelarii Głównej. Prowadziła też archiwum i magazyn, a do pomocy dano jej jedną pracownicę i gońca. Powoli zaczęło im się powodzić coraz lepiej, co okupione było dużym wysiłkiem, najpierw mamy i Ireny, a potem także Kazi. Ich wspólnym, bolesnym brzemieniem był brak ojca. Czekały na niego każdego dnia, a już szczególnie przed każdymi świętami. Mama się nie

doczekała. Odeszła z tą nieustannie tłącą się w sercu nadzieją, że jeszcze go zobaczy.

Dopiero po jej śmierci Irena otrzymała z archiwum w Arolsen konkretne wiadomości o losach ojca. Z więzienia w Mysłowicach przewieziono go do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, a później do obozu Buchenwald, gdzie zmarł. Choć od dłuższego czasu zdawała sobie sprawę z faktu, iż nie ma już szans na powrót ojca, ta informacja mocno nią wstrząsnęła i właściwie była zadowolona, że do mamy nie dotarła. Poruszyła ją tym bardziej, że wracając myślami do swego pobytu w obozach, wczuwając się niejako w psychikę ówczesnej dwunasto-, trzynastoletniej dziewczynki, zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Często bowiem wtedy modliła się o szczęśliwy powrót rodziców, ale już pod koniec pobytu w Potulicach, gdy więzienna rzeczywistość zaczynała jej coraz bardziej doskwierać, a nadzieja na odrodzenie się normalnego życia malała z dnia na dzień, zaczęła z dziecięcą ufnością prosić: „Panie Boże, proszę Cię, żeby chociaż mama wróciła”. Po nadejściu zawiadomienia z Arolsen pomyślała: „Wysłuchał mnie Pan Bóg, taki los ojcu wymodliłam”.

Dla Ireny dopiero przygnębiająca prawda, która dotarła do niej tak późno, zakończyła wojenny etap jej życia. Oprócz śmierci ojca bilans tego czasu był właściwie pozytywny. Mama przeżyła, one też, a dwie rzeczy, przed którymi paraliżował ją lęk, nie wydarzyły się. Z kranów nie wydobył się gaz, a ona, mimo iż zakwalifikowana do procesu germanizacji, nie została mu poddana i dzięki temu nie rozdzielono jej z siostrą. Dziś twierdzi, że los wynagrodził jej w jakiś sposób dramat, który wcześniej zgotował. Wyszła szczęśliwie za mąż za człowieka, który otoczył ją miłością

i troskliwą opieką, bowiem zdawał sobie sprawę z tego, co przeszła. Ale mimo że nastał teraz dla niej czas spokoju i dostatku, pogłosy przeszłości nie umilkły całkowicie. W spiżarni zawsze ma żelazny zapas podstawowych produktów spożywczych.

„Mam tylko jedną córkę, choć były warunki, by mieć więcej dzieci, ale bałam się, odczuwałam podświadomy lęk, że gdyby, nie daj Boże, taki kataklizm znów na nas przyszedł, to istnieje większa szansa, by uchronić przed nim jedno dziecko” (z wywiadu przeprowadzonego dla Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią).



4.

## **Jestem stąd, jestem Niemką**

### ***Wrzesień 1941***

To była trudna decyzja, tym bardziej że trzeba ją było podjąć szybko.

Szarym jeszcze świtem, kiedy noc niechętnie, szczególnie w pochmurne dni, usuwa się w cień, a jasność nieśmiało daje o sobie znać, jakby nie była pewna, czy już nastał czas jej panowania, na okazałym podwórku jednego z podczęstochowskich gospodarstw pojawiła się grupka przybyszów. Obdarci, wychudzeni, brudni, trzęsący się, czy to z emocji, czy z jesiennego zimna, rozglądali się wokół w nadziei, że zdobędą coś do jedzenia, a może i dach nad głową, choćby na jedną noc. Najpierw stali razem pod stodołą. Jednak, nie chcąc zakłócać absolutnej niemal ciszy, której nie mącił nawet pies, zwykle donośnie

reagujący na pojawianie się obcych w obejściu, a może i aby rozgrzać zziębnięte ciała, zaczęli kolejno zaszywać się w słomie, bacznie obserwując okna parterowego domostwa. Niebawem, jako że pora już była odpowiednia do oporządzania zwierząt, pojawiły się w nich dwie sylwetki. Franciszka i Józef zaraz po przebudzeniu spostrzegli niespodziewanych gości. Dotąd byli niemal jednomyślni, zgadzali się ze sobą co do większości spraw życia codziennego, teraz toczyli między sobą spór, który był początkiem poważnego konfliktu, trwającego od tego pamiętnego ranka przez najbliższe dwa lata, boleśnie odczuwanego przez starsze z piątki ich dzieci.

– Widziałeś te plakaty w mieście? Za pomoc Żydom natychmiastowa egzekucja. Rozstrzelają i ciebie, i wszystkich nas – przekonywała z trwogą w głosie Franciszka.

To była decyzja życia, zwiastująca śmierć.

Wychodząc w końcu z domu, Józef był rozdarty, ale kiedy cała piątka przybyszów uklękła przed nim z prośbą o cokolwiek do zjedzenia, a potem o nocleg, mimo oporów żony pozwolił im zostać. Po jednej nocy przystał na trzy miesiące, choć Franciszka nie mogła spać, cierpiała na bóle głowy i brzucha z obawy o los dużej, a mającej się niedługo jeszcze powiększyć rodziny.

Najpierw mieszkali w stodole. Kolejnej decyzji Józef już z nikim nie konsultował. Wraz z najstarszym synem, wówczas dwunastoletnim Gienkiem, rozpoczął niełatwe przedsięwzięcie. Nocami, by nikt z zewnątrz tego nie zauważył, zaczęli w sporej odległości od domu kopać łopatami otwór. Dzięki sile i zaangażowaniu obydwu

powiększał się on dosyć szybko, aż przybrał rozmiary 2 na 3 metry. Kilkanaście metrów dalej zainstalowali kominek wentylacyjny, dzięki któremu do prowizorycznego bunkra docierało powietrze. Było to z oczywistych względów konieczne, ale równocześnie niosło ze sobą ryzyko, w chłodniejsze dni bowiem nad urządzeniem unosiła się, niestety nie całkiem przezroczysta, mgiełka pary wodnej, której pojawianie się w tym samym miejscu pola bynajmniej nie oznaczało, iż na jego części zagościły mokradła. Ostatni etap budowy odbywał się bezpieczniej, bo w zaciszu obory. Pod drewnianym korytem przeznaczonym dla jedyne go w gospodarstwie konia wykopali otwór, przez który można było wyjść na zewnątrz z miniaturowego schronu. Jego rozmiary dalekie były od norm M-5, ale pięć dorosłych osób jakoś się tam zmieściło, choć co wyżsi całkiem rozprostować się nie mogli. Z czasem dwie kobiety i trójkę mężczyzn przestano traktować jak przybłądy czy nieproszonych gości. Nie byli już obcy, ale swoi. Na początku, by zaczerpnąć powietrza i rozprostować kości, ze swej kryjówki wychodzili tylko w nocy. Później, aby choć w niewielkim stopniu odwdziżyć się za wymagające odwagi przygarnięcie ich, z czego doskonale zdawali sobie sprawę, zaczęli opiekować się młodszymi dziećmi w czasie, gdy gospodarze zajęci byli pracą, a zarówno Franciszka, jak i Józef obowiązków mieli tyle, że często z ostatnimi uporać się mogli już tylko przy mdłym świetle świec.

Gospodarstwo rodziny Sowów, położone około siedmiu kilometrów od Częstochowy, na uboczu dużej wsi Wierzchowiska, nie odbiegało od przedwojennych, wiejskich standardów. Wokół urokliwego domu z potężnych, góralszczyzną przypominających bali zwieńczonych



niezwykle spadzistym dachem ze słomianego gontu, rozciągały się ogród, sad i sześć hektarów pól uprawnych. Od wiosny po jesień zabudowania mieniły się różnymi odcieniami zieleni i innymi kolorami; najpierw dzięki kwiatom, a potem najrozmaitszym gatunkom owoców. Franciszka oprócz wychowywania dzieci, które od najmłodszych lat przyzwyczajane były do gospodarskich obowiązków i, chodząc jak gęsi za swą przewodniczką, uczyły się od niej konkretnych czynności, opiekowała się zwierzętami, ogrodem i sadem, gotowała dla wszystkich posiłki, uprawiała len, zarówno na olej, którego nadmiar udawało się sprzedawać, jak i na przędze, z których na krosnach wytwarzała płótno, a z niego szyła ubrania dla całej rodziny. Józef nie tylko pracował na roli, ale był również stolarzem i kołodziejem. W zimie, albo gdy pogoda nie sprzyjała wychodzeniu w pole, wyrabiał w swym warsztacie stoły, stołki i wozy, w czym pomagali mu dwaj starsi synowie. Dodatkowy zarobek przydawał się w dosyć szczupłym budżecie rodzinnym, szczególnie, gdy od owego pamiętnego poranka wyżywić trzeba było jeszcze pięć osób. Mieszkańcy bunkra jedli to samo, co cała rodzina, a więc najczęściej zalewajkę na szczawiu, a od czasu do czasu rarytas – ziemniaki.

Wydawało się, że w swej ucieczce z częstochowskiego getta, gdzie w 41 roku zamknięto około czterdzieści tysięcy ludzi, nie mogli lepiej trafić. Na desperacki exodus zdecydowało się wtedy wielu Żydów pod wpływem informacji od mieszkańców miasta, iż transporty, którymi zaczęto ich wywozić, kończą swój bieg w obozach koncentracyjnych, a nie w ościennych krajach, do czego Niemcy starali się ich przekonać. Widmo komór gazowych

determinowało podejmowanie radykalnych kroków, czasem karkołomnych, absolutnie niezapowiadających powodzenia, ale dających iskierkę nadziei i poczucie pozytywnego działania, niepoddawania się bez oporu.

Czy piątka uciekinierów, która miała szczęście na dłużej zadomowić się u Sowów, trafiła tam przypadkiem, czy celowo wybrała właśnie ich zagrodę? To pytanie, na które odpowiedzi raczej już nie da się znaleźć, skoro nie są jej pewne nawet żyjące do dziś dzieci gospodarzy. Istnieje prawdopodobieństwo, iż zbiedzy znali, choćby z widzenia, Józefa Sowę. Od kiedy do częstochowskiego getta zaczęto przywozić transporty z gett funkcjonujących w innych miastach, stało się ono przeludnione ponad wszelką miarę. Wielu jego mieszkańców spało na gołej ziemi albo co najwyżej na cienkich siennikach zawierających niewielką warstwę pociętej słomy. Nie mieli też co jeść i coraz więcej spośród nich umierało z głodu. Zaczęły pojawiać się osoby chcące wykorzystać tę sytuację, proponując sprzedaż różnych produktów za zdecydowanie zawyżone, nieprzyzwoicie wyśrubowane ceny. Wtedy Józef wystarał się o przepustkę i dwa razy w tygodniu z najstarszym synem za darmo dowoził do getta żywność ze swego gospodarstwa. Mimo iż miał pozwolenie, kosztowało go to sporo nerwów. Szczególnie, gdy przejeżdżał obok tablic z czarnymi napisami na żółtym tle, ostrzegającymi przed niebezpieczeństwem zarazy, a także innymi zawierającymi przestrogi, iż za wyjście Żydów bez zezwolenia grozi kara śmierci i także sama może dotknąć Polaków samowolnie wchodzących na teren getta. By pokonać podświadomie mu towarzyszącą w tych wyprawach obawę, iż może z którejś nie wrócić, często oddawał lejce synowi, a sam popijał

z flaszki wódkę, dzięki czemu dojeżdżał do domu w niezłym humorze. Choć stawał wozem u wjazdu do dzielnicy, niejeden z jej mieszkańców widział go pewnie i znał nie tylko z widzenia, ale i wiedział, co dla nich robił.

Józef już taki był, lubił pomagać.

### ***Pierwszy września 1939***

W połowie sierpnia 1939 roku Sowa otrzymał kartę mobilizacyjną. Pierwszego września, jak co dzień, pracował w polu. Szedł za pługiem, luźno trzymając lejce, kiedy zobaczył biegnącego w jego stronę żołnierza. Za chwilę trzymał już w rękach powiadomienie, iż natychmiast ma się stawić w koszarach swej macierzystej 30 Dywizji Piechoty, której wierny był od czasów marszałka Piłsudskiego. Rzucił lejce na ziemię, krzycząc do Gienka, by dokończył orki, i tak jak stał, w ubraniu roboczym i trepach, pobiegł przez pole. Pośpiech okazał się uzasadniony, gdyż jego jednostka po błyskawicznych przygotowaniach wzięła udział w jednej z pierwszych bitew polskich żołnierzy podczas II wojny światowej, która rozegrała się w okolicach wsi Mokra. Choć trzymali się długo i Niemcy nie osiągnęli swoich celów, wieczorny odwrót kosztował Polaków wielu zabitych i rannych. Józef dostał się do niewoli. Czas w obozie jenieckim dłużył się nie tylko jemu, więc gdy koledzy zaczęli myśleć o ucieczce, postanowił pomóc. Był saperem i minerem, co mogło ułatwić realizację planu. Poprzecinał druty kolczaste odgradzające obóz od zaminowanego pola, rozbroił, co się dało, i nocą grupa około dwudziestu

polskich żołnierzy (ilu poszło w ich ślady, nie wiedział), niezauważona, opuściła obóz. Po sześciu tygodniach od wyruszenia na wojnę brudny, zarośnięty, w cywilnych łachmanach, które musiał zdobyć, by zastąpić mundur, wrócił do domu. W pierwszej chwili nie poznała go ani żona, ani dzieci, potem jednak w rodzinie Sowów zapanowała radość i względny spokój, aż do dramatycznego dnia, którego skutki ich dzieci odczuwają do dziś.

### ***Pierwszy września 1943***

Padł zaraz za progiem. Niespodziewane, silne uderzenie kolbą karabinu. Już leżącego inny Niemiec kopnął w twarz, której rysy rozmyła krew. Rzucili go pod stodołę jak worek kartofli. Na podwórzu stały cztery niemieckie samochody, psy, a pod płotem w różnych miejscach karabiny gotowe do strzału. Franciszka wyszła następna. Zaawansowana ciąża była widoczna na odległość. Skopali ją z wyraźną przyjemnością. Po chwili zamroczenia oprzytomniała i krzyknęła do leżącego niedaleko, ale raczej nieprzytomnego męża:

– Józek, powiedz im, bo nas wszystkich wymordują.

Część przybyłych wtargnęła do domu i zaczęła go przeszukiwać centymetr po centymetrze. Na zewnątrz wyrzucono piątkę rozespanych – była 4:30 rano – prawie gołych dzieci. Najmłodszy, Piotruś, płakał. Rodzice już nie mogli mówić, więc zaczęło przesłuchiwać dzieci.

– Gdzie są Żydzi i polscy bandyci? – krzyczał jeden z funkcjonariuszy z wściekłością, przesuwając pistolet od pępka po gardło po gołym ciele Józka.

– Jak nie powiesz, to zaraz cię zastrzelę – dodał dla postrachu.

– Nie mówimy – szepnął do Józka stojący obok Gienek. – Niech nas zabiją razem z rodzicami, bo co to za życie bez rodziców.

Nagle któryś z prześladowców złapał za nogi dwulatka i wymachując nim jak świeżo upolowaną zwierzyną, ruszył pod palącą się od jakiegoś czasu ścianę. Zdawało się, że albo chce go o nią roztrzaskać, albo wrzucić do ognia, być może jedno i drugie. Gienek podbiegł do Niemca, ukląkł przed nim.

– Oddaj mojego braciszka.

Niemiec popatrzył na chłopca i z rezygnacją rzucił malca na ziemię. Rozległ się żałosny płacz, który próbowano opanować, przyduszając dziecko nogą.

Gniew Niemców przybierał na sile. Rozeźleni biegali jak psy gończe po całym gospodarstwie. Widać było, że nie zajrzeli tu przypadkiem, ale mieli do wykonania konkretne zadanie.

„Czyżby informacja była nieprawdziwa? Gdzież ukryli te zawszone indywidua?”, można było wyczytać z rozjuszonych twarzy. Po domu, którego już coraz większą część pochłaniały jęzory ognia, spenetrowali niezwykle dokładnie studnię, badając jej głębokość i miejsce wpływania wody, wyobrażając sobie może, że gdzieś tam kryją się poszukiwani. Wszędzie nic. Potem przyszła kolej na

zabudowania gospodarskie. Wszystko nie tylko wywracali do góry nogami, wysypywali i wyrzucali, ale jeszcze dźgali szpicrutami, rozszarpywali widłami, a często z sadystyczną satysfakcją deptali, jakby mało im było wyżywania się na ludziach. W pewnym momencie skatowana Franciszka odzyskała przytomność i unosząc niepostrzeżenie głowę, trzeźwo rozejrzała się wokół. Przerażeni chłopcy stali po przeciwnej stronie podwórza, oprawcy rozpierzchli się w poszukiwaniu zdobyczy, a Irenka i Jasia podbiegły i uklękły koło niej.

– Czołgajmy się za stodołę – wyszeptała słabym głosem matka, złapała dziewczynki za ręce i po kartoflisku, brzegiem skoszonego zboża, wszystkie zaczęły uciekać. Niezauważone dopadły do stodoły, gdy jednak podniosły się, by biec dalej, rozległy się strzały, dużo strzałów, kanonada. Chłopcy widzieli, jak pada na ziemię mama, a potem siostry.

– Józiu, nie mamy już ani mamy, ani sióstr – trzeźwo stwierdził Gienek.

Po chwili jednak trzy postaci podniosły się znowu i wbiegły na teren gospodarstwa sąsiada, a tam do piwnicy z kartoflami.

– Uciekajcie dalej – wymamrotała łamiącym się głosem Franciszka. – Ja już nie mogę.

Była w zaawansowanej ciąży, a w dodatku chorowała na serce. Organizm odmówił dalszej walki. Irencie i Jasi udało się dobiec do pobliskiego lasu, gdzie Niemcy rzadko się zapuszczali. Franciszkę wytropiły psy, które wpadły do piwnicy tuż po opuszczeniu jej przez dziewczynki. Miała grube, czarne, lśniące warkocze i właśnie za nie ciągnęli ją

Niemcy przez zaorane pole, a potem przez ściernisko. Chłopcy stali zmartwiali i nie mogli się ruszyć, nie tylko dlatego, że ręce mieli skute kajdankami. Rzucili kobietę koło męża, a potem wbili w jej brzuch widły, których ciągle używali. Z tymi samymi widłami jeden z katów wszedł do obory i choć byli tam już nie raz, zaczął uderzać narzędziem metodycznie, miejsce przy miejscu. Nagle krzyknął do swych towarzyszy:

– Chodźcie tu wszyscy! Tu coś jest – stwierdził z dumą i reszta z entuzjazmem zaczęła odgarniać obornik. Szybko odsłonili otwór, którym przechodziło się do bunkra.

– Wychodzić! Szybko! – krzyczeli, wszystkie lufy kierując na właz.

Najpierw wyszły dwie kobiety. W tym momencie rozległ się huk, rozdzierająca uszy detonacja. Prąd powietrza był tak silny, że rozdzielił chłopców i przesunął w różne strony podwórza. Buchnął słup ognia. Dom płonął już od jakiegoś czasu, ale któremuś z hitlerowców zamarzył się fajerwerk, być może z radości, że bunkier w końcu został odkryty, i wrzucił doń granaty. W czasie, kiedy w otworze pojawiali się kolejno trzej mężczyźni, z dna kryjówki dobiegł strzał. Niemcy z kilku stron jeszcze bardziej zbliżyli się do tajemnego wyjścia, w napięciu śledząc, kiedy wyjdzie ktoś uzbrojony. Odbezpieczone karabiny trzymali gotowe do strzału. Ale po trzech Żydach nikt więcej się nie pojawiał. Czekali w skupieniu, nie mając ochoty na zejście pod ziemię. W końcu wyznaczono dwóch esesmanów do wykonania tego zadania. Okazało się, że to zastrzelił się partyzant, który wracając z akcji poprzedniego wieczora, nie zdążył na noc do domu i za zgodą gospodarzy nocował w bunkrze.

Piątka Żydów, mrużąc oczy, wyszła z obory i natychmiast rozpoczął się proces jej katowania. Teraz już wszyscy Niemcy przybyli do Sowów cepami, widłami, haczkami do kopania ziemniaków, nie mówiąc o kolbach karabinów, bez opamiętania, na wyścigi walili we wszystkie części ciała zbiegów, czyniąc z nich bolesną, bo wciąż żyjącą miazgę. Widać trudno im było pohamować tę wyczerpującą czynność, bowiem kontynuowali ją nawet wtedy, gdy ofiary leżały bez przytomności, a potem i bez życia. Gdy po blisko pięciogodzinnym spektaklu nienawiści nieco ochłonęli, wydawało się, że zaczynają się zbierać. Wszystko wokół płonęło. Nad oborą znajdowało się otwarte pomieszczenie, w którym latem trzymano gołębie i króliki. Do niego też dotarł ogień, ale jeszcze nie strawił go w całości. Zwierzęta, czując rosnącą temperaturę powietrza i nadciągający żywioł, wylatywały i wyskakiwały, ale nie na podwórze, lecz, przemyślnie, w stronę przeciwną. Jeden z oprawców podszedł do Józka, zdjął mu z rąk kajdanki i rozkazał, aby chłopiec wspiął się po drabinie i wyrzucał zwierzęta na podwórze, bo przyda im się coś do jedzenia. Podsadził nawet Józka, wręcz wepchnął go na wyższe szczeble drabiny, by rozkaz wykonał szybciej. Gdy chłopiec zaczął łapać przerażone sytuacją zwierzęta, ogień zajął już całe pomieszczenie, w którym się znajdował, i pojawił się na jego spodenkach. Niemiec, cały czas stojący koło drabiny w oczekiwaniu na jakiegoś królika, widząc, że chłopiec za moment zacznie się palić, wszedł na pierwsze szczeble i zrzucił go na ziemię. Jednak zrezygnował z przekąski.

Teraz nastąpił ostatni, spieszenie odegrany akt tragedii. Skutych chłopców przywiązano do siedzenia jednego z samochodów. Zmasakrowanych rodziców, być może



wykazujących jeszcze jakieś oznaki życia, zaciągnięto do sadu i zakończono ich gehennę oddaniem dwóch strzałów do każdego, potem oprawcy zaczęli się rozglądać, gdzie mogliby pozbyć się ośmiu ciał. Mniej więcej dwadzieścia metrów od zabudowań znajdował się dół z lasowanym wapnem, przygotowanym do budowy większego domu. Dzieci rosły, pojawiały się nowe i w starym robiło się ciasno. Odgłos plusku przy wrzucaniu kolejnych ciał docierał do samochodu, w którym uwięzieni byli bracia i z którego niestety doskonale widzieli wszystko, co się działo. Pluskowi towarzyszył specyficzny dymek unoszący się nad dołem, znak błyskawicznego spalania zwłok. Powidoki tych obrazów, strasznych jak wizja apokalipsy, prześladowały trójkę braci przez całe życie, aż po sędziwy wiek. To był przecież nagły, radykalny koniec ich świata.

O ile trudno o jednoznaczną odpowiedź na pytanie, czy piątka Żydów znalazła się w zagrodzie Sowów przypadkiem, czy też przybyła tam rozmyślnie, w pełni świadomie, o tyle fakt przybycia tam równo po dwóch latach hitlerowców niezaprzeczalnie jest dowodem na złożenie na rodzinę donosu.

– Za butelkę wódki, a już na pewno za krowę czy konia, mógł tu donieść każdy – mówi z przekonaniem blisko dziewięćdziesięcioletni Józef Sowa, trzecie w kolejności dziecko państwa Sowów, który pamiętnego pierwszego września 1943 roku miał dziesięć lat. – Tu w imię Pana Boga i wiary nie lubiło się Żydów i panował taki pogląd, że właśnie tu, tak blisko Częstochowy, a więc szczególnego miejsca kultu katolicyzmu, nie godzi się chronić Żydów,

najlepiej ich ukrzyżować. Powiem więcej i ostro: nie oszukujmy się, do dziś Polacy Żydów nie kochają.

Jest oprócz tego inny, konkretny, acz nieudowodniony trop. Miejscowi partyzanci, z których nie tylko ten jeden, nadzwyczajny pechowiec, nocował w bunkrze wybudowanym w zagrodzie Józefa Sowy, napadali na posterunki niemieckie, których w okolicy, ze względu na bliskość granicy z Rzeszą, było dużo. By przeżyć, rabowali też często polskich gospodarzy, głównie jedzenie. Trafili kiedyś do obejścia rodziców alumna, kleryka uczącego się na drugim roku Seminarium Duchownego na księdza, który stanął w obronie rodziny i jej zasobów, więc został zastrzelony. To jego bliscy, najprawdopodobniej z poparciem większości wsi, donieśli na gestapo, że oprócz Żydów rodzina Sowy ukrywa partyzantów.

– Co wy tu, dzieci, robicie? – pytało wielu osadzonych w podziemiach częstochowskiego więzienia, kiedy wrzucono tam czternastoletniego Gienka, dziesięcioletniego Józka i dwuletniego Piotrusia. Na gestapo zabrano ich zaraz po rzezi dokonanej w zagrodzie ich rodziców. Byli przerażeni, trzęśli się, w oczach wciąż powracały obrazy katowanych rodziców i płonącego domu, a kazano im odpowiadać na jakieś pytania. Na szczęście oprócz kilku ciosów w głowę i kuksańców w żebra obyło się bez przemocy fizycznej. I tak byli na tyle wstrząśnięci, zalęknieni i zmęczeni, że niewiele zostało w ich pamięci z tych przesłuchań. Hitlerowcy natomiast mieli czas, by im się przyjrzeć i bracia musieli się im „spodobać”, skoro nie zakwalifikowano ich do wywozu do obozu koncentracyjnego, ale na roboty do Niemiec. Po dwóch dniach przywieziono ich z powrotem do

Wierzchowiska, by czasowo, do odejścia transportu, oddać pod opiekę zaprzyjaźnionych z rodziną sąsiadów.

– Te dzieci jadą do Niemiec, macie się nimi opiekować, jeśliby coś im się stało, będziecie rozstrzelani – padła jednoznaczna groźba, jakby chodziło o kogoś ważnego dla gestapowców.

Jakaż była radość, gdy chłopcy spotkali tam siostry – Irenkę i Jasię. Mieli duże wątpliwości, czy dziewczynki żyją, bo od chwili, kiedy uciekały z mamą, nie widzieli ich. Okazało się, że najgorszy czas przeczekały w lesie, a potem znalazły schronienie w przyjaznym domu.

Przygotowania do transportu trwały kilka dni, z nadgranicznej strefy chciano bowiem wywieźć jak najwięcej okolicznych mieszkańców – a były ich tysiące – żeby przygotować miejsce, najlepsze domy, dla niemieckich osadników. W tym trudnym do opisania dramacie dzieci Sowów miały jednak trochę szczęścia. Wysyłano ich w nieznaną, ale w otoczeniu wielu znajomych, razem z licznymi przedstawicielami społeczności, w której dotąd wzrastały. W dodatku transportem jechał stryj dzieci, rodzony brat ich ojca, który był na przymusowych robotach w Niemczech już trzy lata. Dlaczego akurat wtedy znalazł się w Częstochowie i wracał do Niemiec, nie wiadomo, ale takich nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, cudów niemal, w okupacyjnym życiu rodzeństwa było więcej. Stryj Stasiek, jak go nazywano, od razu zaopiekował się dziećmi. Przede wszystkim zdobył dla nich ubrania, bo wszystkie spłonęły, a feralnego dnia wyrzucono je na podwórze niemal nagie.

Późnym wieczorem tłumny korowód przemierzał miasto, pędzony przez uzbrojonych żandarmów z psami. Co prawda podstawiono pociąg osobowy, rzadko używany przez Niemców do takich celów, ale panował w nim taki ścisk, że często trzeba było długo trwać w raz przyjętej pozycji. W Opolu, gdzie zatrzymali się na boczniczy, napadła na wywożonych bojówka Hitlerjugend. Młodzi, rośli chłopcy, choć niemal dzieci, wyrzucali wszystkich z wagonów i bili na oślep czym się dało i gdzie popadło, jakby wreszcie przyszedł czas zemsty za krzywdy, których doznali od po raz pierwszy widzianych ludzi. Spontaniczny wykwit hitlerowskiej edukacji. Nawet funkcjonariusze Wehrmachtu nie bardzo mogli sobie z nimi dać rady. Dopiero policja uspokoiła nabuzowaną młodzież, podróżnych zapędzono do pociągu, i ruszyli dalej. Skład co rusz się zatrzymywał, aby przepuszczać transporty zdążające na front, więc, mimo że odległość nie była duża, podróż trwała ponad siedem godzin.

Kazano im wsiąść w Grottkau, Grodkowie, chociaż większość przymusowych robotników jechała dalej, w głąb Rzeszy. Do wsi Guhlau, Gola Grodkowska, szli na piechotę około pięć kilometrów. Piotruś nie nadażał, więc stryjek Stasiek wziął go na ręce. Centrum miejscowości stanowił majątek należący do kolejnego pokolenia rodziny prusko-niemieckich hrabiów Francken-Sierstorpff, a zarządzany wówczas przez dalekiego krewnego właściciela, który podczas wojennej służby wojskowej stracił rękę, za co skierowano go do spokojnej pracy w luksusie. Potężny pałac z czerwonej cegły, z którego okien widoczny był urokliwy staw, a teren przed wejściem zdobił kolorowy klomb,

otaczały liczne zabudowania folwarczne. Tam właśnie zakwaterowano nowo przybyłych robotników.

Rodzeństwo nie musiało się martwić o miejsce dla siebie, gdyż przebywała już tam narzeczona stryja ze swoją mamą. Obydwoje postanowili przygarnąć piątkę sierot i opiekowali się nimi sumiennie i z sercem aż do ich dorosłości, mimo że z czasem na świat przyszła dwójka ich własnych dzieci. Pokój z kuchnią musiał wystarczyć dla ośmio-, a później dziewięcioosobowej rodziny. Stryjostwo ciężko pracowali, tak jak i trójka najstarszych dzieci: czternastoletni Gienek, dwunastoletnia Irena i dziesięcioletni Józek. Gienek był oborowym i dostawał kartki żywnościowe, a Józek pomagał mu w stajni, ale nie otrzymywał pełnego ich przydziału, a jedynie jakąś część. Irenkę zabrała do siebie polskoniemiecka rodzina mieszkająca w Helensdorfie, leżącym około dziesięciu kilometrów od Grodkowa. Była tam służącą. Całymi dniami ciężko pracowała, musiała bowiem wykonywać wszelkie czynności związane z prowadzeniem domu oraz opiekować się trójką dzieci gospodarzy, choć jeszcze przecież sama nie była całkiem dorosła. Traktowano ją źle, bito, poniewierano, wymagano, by posługiwała się wyłącznie językiem niemieckim, mimo że nigdy wcześniej się go nie uczyła. Odprowadzała dzieci do szkoły, ale jej nie pozwolono się uczyć. Umiejętności mówienia po niemiecku wymagano zresztą od wszystkich. Józek musiał obowiązkowo chodzić na lekcje tego języka, a przy okazji wyrabiania niemieckich papierów, bez których nie można było ani pracować, ani poruszać się po okolicy, mierzono go, wazono i dokładnie oglądano. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że gdyby nie

troskliwa opieka przybranych rodziców prędzej czy później znalazłby się w jednym z ośrodków germanizacyjnych.

Dziś osiemdziesięcioośmioletni pan Józef w pełni docenia rolę, jaką w życiu rodzeństwa odegrali wspaniali rodzice zastępczy. Często też podkreśla, że i wśród Niemców byli „ludzie”. Ze łzami w oczach i łamiącym się głosem opowiada, jak to kiedyś dostał od sprzedawczyni w sklepie czekoladę, mimo iż jej nie było na kartkach dla Polaków, innych, uboższych niż dla Niemców. Całą drogę wiózł ją z wielkim zachwytem, nie zjadł ani kawałka, by potem triumfalnie móc rozdzielić między rodzeństwo. Do dziś pamięta jej smak.

Było ciasno, często głodno, ale, oprócz Irenki, byli razem, co stanowiło w takiej sytuacji wartość najważniejszą.

Mniej więcej pół roku od przyjazdu do majątku otrzymali wiadomość, że jakaś Niemka, potem okazało się, że była volksdeutschką, a w dodatku ich daleką krewną, chce wziąć na wychowanie młodszą siostrę, wówczas ośmioletnią Jasię. Niebawem po tej informacji nadszedł telegram, iż owa osoba, Maria Anna Pich, zamierza do nich przyjechać. Rodzina zachodziła w głowę, skąd dowiedziała się o miejscu ich pobytu, jaką drogą informacja o dramacie Sowów wydostała się poza lokalną społeczność. Pewności co do tego nie ma do dziś, ale jednym z kanałów tego typu informacji mogła być niemiecka prasa, która lubiła nagłaśniać takie historie. Czyniono to ku przestrodze, celem zastraszania, by Polacy bali się pomagać innym. Nadszedł ten dzień, o którym Józef nie może mówić ze spokojem w głosie. Do ich ciasnego, nędznego mieszkania w folwarcznych zabudowaniach, kobieta weszła pewnym krokiem królowej, której pojawienie się wszędzie powinno

w jej mniemaniu wzbudzać poruszenie. Była po czterdziestce, więc dzieciom wydała się starszą panią. Kapelusz i girlandy biżuterii – śmiało mogła uchodzić za agentkę jubilera – dopełniały modnego jak z żurnala stroju. Z niesmakiem rozejrzała się po pomieszczeniu, przelotnie zlustrowała wszystkie twarze i wyciągając w powitalnym geście rękę, właściwie nie wiadomo do kogo, odezwała się pojednawczym tonem, mimo iż wcześniej z ust gospodarzy nie padły żadne słowa:

– Myślicie, że jestem obca, ale nie. Choć jestem Niemką, jestem waszą daleką krewną.

Mówiła oczywiście po niemiecku, więc dzieci, które dopiero od niedawna stykały się z tym językiem, mogły wszystkiego nie zrozumieć, ale opiekunowie, ciocia Zosia i stryj Stasiek posługiwali się niemieckim tak jak polskim. W pokoju nastąpiła niezręczna cisza. Wszyscy patrzyli na siebie nawzajem z niewypowiedzianym pytaniem – co robić? Konsternacja. Tylko gość nie wydawał się zażenowany albo po mistrzowsku konfuzję ukrywał. A może przekonanie o wyższości swego narodu nad innymi obdarzało wówczas ludzi takimi umiejętnościami? Trzymając się sztywno, Maria Pich zdjęła wierzchnie okrycie i rzuciła gdzie popadnie, jak generał, który wie, że stoi za nim ordynans. Usiadła przez nikogo nie zapraszana. Struchlała ciocia Zosia wzięła się za przygotowywanie herbaty, a Niemka zaczęła wyjmować z torby prezenty dla dzieci i je rozdawać. Kiedy przy tej okazji pogłaskała Jasię po głowie, dziewczynka uciekła od niej z płaczem. Wizyta, pełna niezręcznych niedomówień, trwała przeszło cztery godziny, po których kobieta nagle stwierdziła, że bardzo się spieszy, bo zbliża się godzina odjazdu pociągu do Hannoveru, gdzie mieszkała, na który

miała wykupione bilety dla siebie i dziecka. Gdy stryjostwo zabrali się do szykowania rzeczy Jasi, przerwała czynność tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie trzeba. Mam pieniądze. Pojedziemy pierwszą klasą. Te wasze rzeczy śmierdzą. Mała po kąpieli dostanie wszystko nowe. Już czeka na nią pościelone łóżko. Niczego jej nie zabraknie.

Jasia, ciągnięta silną ręką nieznajomej, wyszła z domu, szlochając. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, chłopcy też zaczęli płakać. Byli zżyłym rodzeństwem, może bardziej niż to zwykle bywa, ze względu na wspólne tragiczne przejścia i sieroctwo. Rozstanie bardzo bolało, tym bardziej, że starszej siostry też już w domu nie było. Smutek udzielił się również opiekunom, choć oni odczuwali też pewnego rodzaju ulgę. Racje żywnościowe podzielić będzie można na mniejszą ilość osób, a poza tym lepiej, że dziecko wzrastać będzie w dobrobycie, a nie w siermiężnych warunkach.

W połowie kwietnia 1945 roku okolice Grotkau (Grodkowa) znalazły się w zasięgu potężnych bombardowań Armii Radzieckiej. Niemieccy gospodarze zamieszkujący tamte tereny już od jakiegoś czasu szykowali się do ewakuacji. Kolumny wozów obładowanych wszelakimi dostępnymi dobrami stały po wsiach, a ich właściciele czekali tylko na sygnał wyjazdu na zachód. W związku z zaistniałą sytuacją co niektórzy zaczęli agitować Polaków do działań, które rzekomo miały im przynieść korzyść. Jednych, znanych wcześniej, a więc takich, którym mogli zaufać, namawiali, by pozostali w niemieckich majątkach i strzegli ich, opiekowali się nimi do czasu, kiedy właściciele wrócą, w co



większość wierzyła. Innych przekonywano, iż powinni uciekać razem z nimi, bo dopadnie ich czerwona zaraza, a w rzeczywistości chodziło o dalszą służbę zarówno w drodze, jak i gdzieś w głębi kraju oraz o ewentualną obronę przed Rosjanami, między innymi dzięki możliwości dogadania się z nimi. To podstępne, interesowne mamienie Polaków odnosiło mizerny skutek, bo większość z nich, a byli to wszystko przymusowi robotnicy, chciała jak najszybciej wracać do kraju, często, by urządzać się całkiem na nowo, bo ich domy, tak jak w przypadku rodziny Sowów, już nie istniały.

Oni też intensywnie szykowali się do podróży. Ważniejsze od zabrania jakiegoś dobytku było dla nich odzyskanie przebywających w rodzinach niemieckich obydwu sióstr, do których bracia bardzo tęsknili. Do Irenki mieli tylko dziesięć kilometrów, więc wydelegowano dwunastoletniego Józka, by ją przywiózł. Misja nie była łatwa, Polakom nie wolno było bowiem oddalać się od majątku, poza tym istniały uzasadnione i poparte licznymi przykładami z życia obawy, że będą trudności z jej odzyskaniem. Od czegoż jednak polska pomysłowość. Chłopiec przez dwa lata na tyle poznał mieszkających w okolicy rówieśników, że od jednego z nich wypożyczył mundur noszony przez członków Hitlerjugend. To zadziałało. Ani razu go nie zatrzymano, a pracodawcy siostry nie starali się nawet jej zatrzymać. Najbardziej zdziwiona i zalękniona była ona sama, widząc tak ubranego brata.

W domu zapanowała radość. Do wspólnego powrotu do Polski brakowało już tylko Jasi, ale z nią sprawa okazała się bardziej skomplikowana. Od chwili, kiedy ośmioletnia blondyneczka, szlochając, zniknęła za drzwiami mieszkania

w folwarcznych zabudowaniach majątku Guhlau, słuch o niej zaginął. Energicznie ciągnięta przez Marię Pich, która od tej chwili miała jej matkować, fizycznie wyrwana została z rodziny Sowów, ale w myślach i odczuciach jej członków nadal żyła i nie wyobrażali sobie powrotu do kraju bez niej. Niemka zostawiła dokładny adres, a nawet numer telefonu, ale cóż z tego, skoro na wysyłane listy nie nadchodziła żadna odpowiedź, a telefonu nikt nie odbierał. Najbardziej tęsknili bracia, których wspomnienie siostry przeważnie doprowadzało do płaczu. Dlatego ich opiekunowie, też zatroskani o los dziewczynki, podejrzewając najgorszy scenariusz, zakładający nawet, że nie ma jej już wśród żywych, zakazali rozmów na jej temat, choć sami, gdy im się wydawało, że dzieci nie słyszą, często ją wspominali, zastanawiając się, co też mogło się z nią stać. Wiadomo, wojna, o sytuacji niebezpieczne, zagrażające życiu, nietrudno. Może cała rodzina Pichów zginęła albo, w najlepszym razie, zmieniła miejsce zamieszkania? Ale wtedy listy chyba by wracały? W normalnych warunkach tak, lecz podczas wojny... niekoniecznie. Wieczorami w kuchni Zofia i Stanisław szeptem prowadzili takie rozmowy, w których roiło się od różnych przypuszczeń, a jako że nie były optymistyczne, chcieli oszczędzić dodatkowych trosk, i tak przez los poszkodowanym dzieciom. Wypadek, choroba, bombardowanie..., dobrze, że chociaż Irenkę udało się odzyskać. Chcieli wracać do kraju jak najszybciej, więc gdy tylko pojawiła się armia radziecka, zaczęli z zapałem przygotowywać się do drogi, niestety w zmniejszonym składzie. Mieli nadzieję, że to radosne wydarzenie – wszyscy cieszyli się, że wreszcie będą u siebie – złagodzi ból dzieci po stracie siostry. Nikt nie oczekiwał cudu.

Zorganizowanie wyjazdu wymagało wielu działań, tym bardziej, że w tym czasie na owych terenach nie odtworzono jeszcze komunikacji publicznej. Trzeba było zdobyć konia, wóz, co nie było łatwe, gdyż większość przymusowych robotników tam wywiezionych również miała takie zamiary. Jakoś się jednak udało i po załadowaniu całego dobytku, wraz z tłumem krajan, wyruszyli w drogę powrotną. Z kilometra na kilometr wozy stawały się coraz cięższe, majątek podróżnych rozrastał się w szybkim tempie, a to za sprawą trasy, którą podążali. Długi czas jechali bowiem wzdłuż linii frontu, na której już ustały walki, mijali zbombardowane wsie i miasteczka, a w nich zniszczone sklepy. Mnóstwo znajdujących się w nich wcześniej towarów leżało na ulicy – od żywności i odzieży przez meble po biżuterię i instrumenty muzyczne. Józek przywiózł stamtąd między innymi skrzypce, które jako cenną pamiątkę przechowuje do dziś i na których przez czas jakiś, będąc gimnazjalistą, uczył się grać.

Ta wędrówka ludów, a były to tysiące ludzi, nie tylko Polaków, ale Czechów, Ukraińców, Rosjan, odbywała się przy nieustannym akompaniamencie odgłosów bitewnych, dudnienia wybuchających bomb i grzmotów wydawanych przez kanonady artyleryjskich pocisków. Gdy dotarli do Odry, w okolicach Brzegu znaleźli się na obszarze regularnej bitwy pomiędzy wciąż broniącymi się Niemcami, a nacierającymi na nich od wschodu Rosjanami. Sytuacja była o tyle groźna, że mosty na rzece, płynącej wartko, jak to po wiosennych roztopach, zostały zniszczone, a na otwartych terenach do niej przyległych nie było się gdzie skryć. Pozostawały rowy, nieliczne drzewa, a gdy nadlatywały większe eskadry i tumult detonacji był

trudniejszy do zniesienia, pielgrzymi rzucali się pod wozy, gdzie czuli się bezpieczniejsi.

Po kilku godzinach, gdy bitwa zaczęła przycichać, a sytuacja wśród podróżujących stawała się coraz trudniejsza, gdyż ludzie byli przerażeni, głodni, a niektórzy ranni, dzieci płakały, kobiety szlochały, do akcji wkroczyli żołnierze radzieccy. Na rozkaz dowódców ręcznymi piłami zaczęli ścinać drzewa i budować z nich mosty wedle flisackich wzorców, drucianymi klamrami spinając rzucane na wodę kłody. Operacja była trudna przede wszystkim ze względu na zimną i głęboką wodę. Nasiąkające nią żołnierskie mundury jeszcze silniej wciągały w głębię nawet dobrych pływaków. Często widać było na powierzchni tylko dłonie próbujące łączyć bale, po czym znikwały one pod wodą na zawsze wraz z ich właścicielem. Nie pomagało kurczowe łapanie się za belki, bo nurt rzeki był wówczas wyjątkowo bezlitosny. Choć walki zelżały, nie ustały całkowicie, więc zdarzało się i tak, że w niemal gotową już tratwę, stanowiącą fragment przyszłego mostu, trafiała bomba i trzeba było zaczynać pracę od nowa. W takiej sytuacji najczęściej robili to już żołnierze kolejnej kompanii, bo poprzednia była zdziesiątkowana.

Operacja kosztowała życie wielu czerwonoarmistów, więc nic dziwnego, że po jej pomyślnym zakończeniu, gdy kawalkadzie wozów udało się przeprowadzić na drugą stronę rzeki, podróżni odczuwali wobec nich ogromną wdzięczność. Kobiety rzucały im się na szyje i zapraszano ich do wspólnej uczy. Teraz bowiem, gdy zagrożenie minęło – tak się przynajmniej wydawało – gdy nastał czas szczęścia związany z faktycznym odzyskaniem wolności, gdy ostatnia przeszkoda w powrocie do domu została sforsowana,

przyszła pora na odreagowanie. Zaczęto wyciągać jaja, kiełbasy, chleby, zapasy żywności wzięte na drogę i spontanicznie wspólnie je spożywano. Wśród głośnych rozmów, śmiechów, podśpiewywania wymieniano się nawzajem produktami, na wyścigi częstując wybawców niedysponujących takimi przysmakami, a mających jedynie oszczędne racje żywnościowe. Niestety, beztroskę biesiady można było liczyć w minutach. Nagle, bez wcześniejszych sygnałów akustycznych, które przeważnie alarmowały co czujniejszych – ich uwagę pochłaniała pewnie wówczas inna aktywność – pojawiło się kilka samolotów, z których poleciały bomby wprost na świętujących. Trafiały w ludzi, konie, wozy, rozrywały na strzępy bagaże, a niektóre z produktów przygotowanych do spożycia przemieszczały tak znacznie, jakby zamierzały je wysłać w przestrzeń kosmiczną. Gdy maszyny zniknęły, a wraz z nimi rozdzierające tumult, zgiełk, jazgot i świsty, zapanowała absolutna, wszechogarniająca cisza. Cisza wypełniona pustką i przerażeniem, niedowierzaniem i bezsilnością. Stopniowo jednak, nie tak, jak to bywa na znak dyrygenta wznawiającego utwór po pauzie generalnej, martwą ciszę przerywać zaczęły pojedyncze, najpierw ledwie słyszalne, nieśmiałe dźwięki, jakby z innego świata, które w niemal niezauważalnym crescendo napełniły nadbrzeże symfonią płaczu, żałosnych szlochów i jęków.

Zginęło dużo ludzi zarówno spośród przymusowych robotników, jak i żołnierzy radzieckich. Bomby nie wybierały. Nie wszyscy zginęli na miejscu. Ci, którzy znajdowali się najbliżej rzeki, chwilę walczyli jeszcze z niemocą, po czym donośny plusk sygnalizował rezygnację organizmu. Spadali w wartki nurt, by podążać śladem

budowniczych mostu ku morzu wieczności. Najbardziej przejmująco brzmiały jęki tych, którzy nie zostali jeszcze skazani, ale nie było jak ani czym udzielić im pomocy.

Józek nie pamięta, jak długo przebywali w miejscu tej tragedii ani jak udało im się pokonać szok, któremu zostali zbiorowo poddani. Miał wtedy dwanaście lat, a to wiek, kiedy chętniej i bardziej naturalnie zachowuje się w pamięci chwile radosne. O dziwo, takie niebawem nadeszły. Po drugiej stronie rzeki podróż była już o wiele spokojniejsza, za sobą zostawili linię frontu, a wokół przeważali przychylnie nastawieni rodacy. Nastroje uległy więc radykalnej poprawie, do czego przyczyniały się też częste postoje, podczas których bez skrupułów i ograniczeń wiekowych popijano bimbler. Niemal pod każdym wozem zawieszane były dwudziesto-, a nawet pięćdziesięciolitrowe beczki po mleku, napełnione tym napojem alkoholowym wytwarzanym w większości niemieckich majątków. Zabrano go w drogę, by wykupywać się patrolom żołnierskim.

Sprytne umieszczenie pojemników sprawiło, że większość przetrwała bombardowanie. Znów zapanował więc nastrój radosnego podniecenia i nadziei, że wojna naprawdę się skończyła i nic złego ich już nie spotka. Taki stan pobudza do spektakularnych manifestacji, publicznego demonstrowania samopoczucia, tak jakby miało to zapobiec wszelkim perturbacjom w przyszłości. Nic dziwnego więc, że podczas tych częstych popijaw z satysfakcją rozpalali małe ogniska, by palić w nich niemieckie dokumenty i z dziką rozkoszą wrzucali w nie hitlerowskie emblematy. W trakcie siedmiodniowej wędrówki do Częstochowy miało miejsce jeszcze jedno, tym razem radosne wydarzenie. Jedna z powracających kobiet, będąca w zaawansowanej ciąży,

zaczęła rodzić. Początkowo zapanował popłoch, ale znalazły się zaprawione w boju pomocnice i akcja zakończyła się pełnym sukcesem. Gdy już było wiadomo, że matka i syn, żyjący do dziś, są zdrowi, zaczęto wykrzykiwać hasła, z których największy aplauz zdobyła zrozumiała w tych warunkach sentencja: „Narodziła się nowa Polska”. Nie trzeba dodawać, iż ilość samogonu spożytego wówczas na głowę wzrosła wielokrotnie.

W Częstochowie życie rodziny Sowów zaczęło stopniowo wracać do normy. Dosyć szybko znaleźli sobie kwaterę, która mogła pomieścić osiem osób. Nie było już domu ani gospodarstwa w Wierzchowisku. To, co zostało po wrześniowym dramacie, rozkradli okoliczni mieszkańcy. Połasił się nawet na kamienie po spalonym budynku i te ze zbudowanego dla Żydów bunkra. Powycinali również drzewa, a pole podzielili między czterech gospodarzy.

– Byli zaskoczeni – mówi pan Józef. – Myśleli pewnie, że sieroty już nigdy nie wrócą, że zabrali nas do obozu koncentracyjnego, a nie na roboty. Nie patrzyli nam w oczy.

Dopiero gdy Józek skończył szkoły (a równolegle przez cały czas pracował, więc jego dzienna aktywność trwała od piątej rano do dwudziestej drugiej wieczorem) i został oficerem Wojska Polskiego, z bronią w ręku odebrał ojcowiznę. Wiodło mu się pod wieloma względami najlepiej z całej rodziny, ale i najbardziej z ich czwórki wciąż odczuwał brak młodszej siostry – Jasi. Po zakończeniu wojny i powrocie do Polski nadal nie mieli od niej ani o niej żadnych wieści. Ileż to razy wysyłali listy pod znany już na pamięć adres, ileż razy wykręcali podany przez Niemkę numer telefonu. Nic.

Choć wszyscy właściwie już pogodzili się z faktem, że mała Jasia, jak ją w rodzinie nazywano, nie żyje, Józef czuł w sobie wewnętrzny bunt, wręcz pielęgnował przekonanie, że to nieprawda. Dlatego też był czujny i starał się wychwytywać wszelkie informacje, które pomogłyby mu coś jeszcze w tej sprawie zrobić.

Kiedyś usłyszał w radiu, że oddziały Czerwonego Krzyża ze Szwecji i Danii zajmują się między innymi poszukiwaniem dzieci i młodzieży zaginionych podczas wojny. Znał niemiecki nie tylko z okresu pracy w Niemczech, ale szlifował go również podczas studiów i na kursach. Napisał więc szybko dwa listy, nie mając specjalnej nadziei na jakąkolwiek odpowiedź, gdyż zdawał sobie sprawę z faktu, że takich próśb są tysiące. Po dłuższym czasie, kiedy zajęty pracą i nauką nie oczekiwał już zupełnie, że jego listy spotkają się z jakąś reakcją, odpowiedź jednak nadeszła. Była zaskakująca. Ani on, ani nikt w domu takiej się nie spodziewał. Donoszono bowiem, że pod wskazanym adresem mieszka dziewczynka o imieniu Anita, która jest córką małżeństwa Pichów. Dodano, iż dziecko uczęszcza do szkoły.

W rodzinie zapanowała radość, a Józek mógł mieć satysfakcję, że jego uporczywe zabiegi i podświadoma wiara, że siostra żyje, odniosły pozytywny skutek. Z dalszymi działaniami postanowili trochę poczekać, gdyż mieli nadzieję, że wysłannicy Czerwonego Krzyża dotrą do dziewczynki. Nic się jednak nie działo, więc po pół roku Józek wysłał kolejne listy, tym razem do małżeństwa Pichów i do obydwu oddziałów Czerwonego Krzyża. Niemcy poinformowani o tym, że w sprawie dziewczynki napisano nie tylko do nich, ale i do międzynarodowej organizacji,



musieli się przestraszyć, odpowiedź bowiem nadeszła dosyć szybko. Ktoś pisał, oczywiście po niemiecku, w imieniu Anity, które to imię nadano dziewczynce przy niemieckiej adopcji, że dziecko aktualnie kończy szkołę podstawową, nie zna polskiego, nie chce znać byłej rodziny i nigdy nie zamierza przyjechać do Polski. Choć rodzina Sowów nie miała pewności, czy treść listu zgodna jest z przekonaniami ich Jasi, była ona dla wszystkich bardzo bolesna i trudno im było przełknąć tę gorzką pigułkę po zaskakująco radosnej informacji o tym, że dziewczynka żyje.

Koperta z zagranicznymi znaczkami długo leżała w widocznym dla wszystkich miejscu. Była jak drzazga, która niewyjęta od razu otorbia się i kłuje przy każdym dotknięciu. Wreszcie Józek nie wytrzymał, podarł ją na małe kawałki i wyrzucił. Głos rozsądku, którym przemawiali przybrani rodzice, mówił, że mimo wielu tragedii, które spotkały zarówno rodzeństwo Sowów, jak i miliony innych ludzi, powinni czuć się szczęśliwi, bo cała piątka przetrwała, żyje i to można nazwać cudem. Z tego trzeba się cieszyć i dać spokój Jasi. Sprowadzanie jej do Polski na siłę nie ma sensu, tym bardziej, że tu jest bieda, a ona pewnie żyje w znacznie lepszych warunkach. Trudno było się nie zgodzić z argumentacją opiekunów, ale uczucia chodzą własnymi, często trudno wytłumaczalnymi drogami. Byli zżyci, może w następstwie dramatu, który przeszli, bardziej, niż to zwykle bywa. Józek długo się powstrzymywał, aż w końcu znów napisał list, tym razem adresowany bezpośrednio do siostry. Odpowiedziała, oczywiście po niemiecku: „Nie wiem, czy mam jakąś rodzinę w Polsce. Ja jestem stąd, jestem Niemką”.

Był to kolejny cios. Józek jednak nie dał za wygraną. Życie nauczyło go, że nie można się poddawać. Po jakimś czasie wysłał kolejny list. Tym razem odpowiedź nadeszła zaskakująco szybko. Zdawało mu się, że siostra już nie pisze na odczepnego, ale cieszy się z nawiązania kontaktu. Od tego momentu korespondencja między nimi stała się dosyć ożywiona. Dzięki niej dowiedzieli się o losach „ich Jasi”. Rodzina, która ją zabrała, bo trudno w tym przypadku mówić o adopcji dobrowolnej, popierała swego wodza, o czym świadczy fakt, iż obydwójce małżonkowie należeli do nazistowskiej partii NSDAP. Ona była opiekunką paramilitarnej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend, on produkował buty dla niemieckiego wojska. Przeżyli rodzinną tragedię, w 1936 roku w wypadku samochodowym zginęła bowiem ich córka, najstarsza z trójki dzieci. Zdarzenie miało miejsce, kiedy wraz ze swym narzeczonym jechała do ślubu. Obydwójce przyszli małżonkowie zginęli na miejscu.

W chwili, kiedy ośmioletnia Jasia trafiła do ich domu, dwaj synowie też byli już dorośli. Jeden z nich brał udział w nalotach na Polskę. Wydawać by się mogło, że chęć adoptowania dziewczynki podyktowana była stratą własnej córki, chęcią zapewnienia innemu dziecku szczęśliwego dzieciństwa. Nic bardziej mylnego. Maria Pich bez cienia zażenowania otwarcie twierdziła, że to dziecko zostało jej darowane przez rząd, przez samego wodza, więc powinno dla niej pracować. Tak też było. Jasia, teraz Anita, musiała podołać obowiązkowi całodobowej służącej. Na jej głowie był cały dom: sprzątanie, gotowanie, zakupy, pranie, a przypomnijmy, że nie miała wówczas nawet dziesięciu lat. W chwilach wolnych, których właściwie nie było, musiała pomagać panu domu w szyciu butów. Przeważnie

zajmowała się ich kołkowaniem, czyli łączeniem drewnianymi szpilami (kołkami) poszczególnych elementów cholewki. Najczęściej robiła to w nocy, bo dnia nie starczało.

Od pierwszych chwil w hanowerskim domu nie wolno jej było mówić po polsku. Za każde słowo w ojczystym języku była karana mokrym ręcznikiem, a czasem nawet batem. O skuteczności tej metody dydaktycznej, stosowanej głównie przez opiekunkę, świadczy fakt, iż wystarczyły trzy lata, by Anita całkowicie zapomniała język polski. Marię trudno nazwać przybraną matką, bo jej stosunek do dziewczynki nie wykraczał poza relację pani i służącej. Była zimna jak gład i z oporami przychodziło jej wykrzesanie z siebie dobrego słowa, które mogłoby osłodzić ciężką codzienność Anity. O tym, jaki był stosunek niemieckich opiekunów do polskiej dziewczynki, świadczy fakt, iż oficjalnie została adoptowana, ale bez prawa dziedziczenia. Nie posyłano jej też do szkoły, mimo iż była w odpowiednim do tego wieku.

W Niemczech przywiązywano wagę do obowiązku szkolnego, sąsiedzi donieśli w końcu na Marię, że jej przybrana córka się nie uczy. Dziewczynkę zabrano więc na jakiś czas do domu dziecka i wróciła do Pichów dopiero po ich pisemnej deklaracji, że pójdzie do szkoły. Tak też się stało i od czasu, kiedy zaczęła się uczyć, jej los uległ poprawie, bo przypisana jej była tylko pewna część obowiązków. W szkole miała zaległości, ale dosyć szybko udało jej się je nadrobić. Po skończeniu szkoły podstawowej uczyła się w trzyklasowym technikum handlowym. To dało jej zawód i możliwość usamodzielnienia się. Wyszła za mąż i przeprowadziła się do Hamburga, gdzie pracowała jako kierownik sprzedawców w jednym z domów mody, a mąż,

Rolf, był wicedyrektorem Poczty. Z bratem Józkiem korespondowała, ale wciąż odmawiała przyjazdu do Polski, a on uparcie wierzył, że uda mu się ją mimo wszystko ściągnąć. Wreszcie postanowił do niej pojechać, choć wizyta w kraju, do którego go wywieziono i w którym musiał ciężko pracować, a przede wszystkim w kraju, którego przedstawiciele bestialsko zamordowali jego rodziców, a całe rodzeństwo skazali na sieroctwo, do dziś wpisane w ich psychikę, napawała go niechęcią, wręcz odrazą. Był jednak twardy, nieustępliwy i postępował tak, jakby za punkt swego honoru przyjął odzyskanie młodszej siostry.

Były wczesna lata siedemdziesiąte, a on pracował w wojskowej służbie medycznej. Zważywszy na panujący w ówczesnej Polsce system polityczny, nic dziwnego, że nie otrzymał pozwolenia na wyjazd do wrogiego, kapitalistycznego państwa. Ale i to nie ostudziło jego zapału. Zbiegiem okoliczności zaprzyjaźnił się z Polką mieszkającą na stałe w Australii, która podczas pobytu w ojczyźnie doznała udaru, a on z sukcesem ją rehabilitował. Mąż pacjentki przysłał dla Józefa zaproszenie do Sydney, by towarzyszył żonie w podróży i, o dziwo, otrzymał na ten wyjazd pozwolenie. Józef nie marzył jednak o półkuli południowej, ale o spotkaniu z siostrą dużo bliżej, bo około dziewięciuset kilometrów od Warszawy. Postanowił wykorzystać otrzymane zezwolenie do załatwienia sprawy dla niego priorytetowej. Wysłał dokument do najrozmaitszych wojskowych i cywilnych urzędów, z placówkami dyplomatycznymi włącznie, i otrzymał upragnione pozwolenie na wyjazd do RFN po blisko dwuletnich staraniach.

Ta podróż, której efektem, jak opowiadał wokół, miało być przywiezienie siostry do ojczyzny, była dla niego ogromnym rozczarowaniem. Zdawał sobie sprawę, że na dworcu nie spotka cichej, skromnej, małej dziewczynki, jak zapamiętał Jasię, ale dorosłą, trzydziestoletnią kobietę. Nie spodziewał się jednak, mimo tonu niektórych listów, że na peronie oczekiwać go będzie nie rodzona siostra, wydana na świat przez tę samą matkę, co on, ale Niemka z krwi i kości.

Był zawiedziony, a gorycz osobistej porażki stała się uczuciem najczęściej towarzyszącym mu podczas tej podróży. Nie mógł uwierzyć, że Janka, która w dniu najtragiczniejszym dla całej piątki rodzeństwa miała osiem lat, nie pamiętała, a może nie chciała pamiętać, tego wydarzenia. Nie widziała wszystkiego, czyli rozstrzelania rodziców i wrzucenia ich ciał do dołu z wapnem, uciekła bowiem do lasu z Ireną, ale ten dramat trwał kilka godzin i ona, niestety, też była jego świadkiem.

Kiedy po latach ustawicznych namów Józefa Janka przyjechała do Polski i zobaczyła grób rodziców, który wybudowany został nad dołem, do którego zostali wrzuceni, zbladła, popłakała się, wydawało się, że coś zrozumiała, że poczuła jakąś więź z tym miejscem. To była jednak tylko chwila, po której wróciła do narzuconej jej kiedyś przez niemieckich opiekunów, a teraz przez nią samą rzeczywistości. Ze sprzeciwu wobec losu? Z wygody? Z konformizmu? A w tym jej świecie, w którym się okopała i boi się wychodzić poza jego granice, nie ma miejsca dla niemieckich obozów koncentracyjnych, w których ginęli Polacy, ani dla dzieci polskich przez Niemców germanizowanych. Według jej historii, wyuczonej na wiarę i przez nią przyjętej, to Polacy, jacyś tam Polacy, nie jej

krajanie, podbijali Europę i mordowali ludzi. Józef przeżył kolejny szok, kiedy zorientował się, że mąż siostry nic nie wie o jej pochodzeniu i tak jak całe jej otoczenie jest przekonany, że ożenił się z rodowitą Niemką. Miała zresztą duże pretensje, że podczas kolejnych odwiedzin u niej ujawnił historię życia jej i całej rodziny. Józef wciąż nie może się pogodzić z postawą swej siostry, ale jest niesłychanie rodzinny i utrzymuje z nią kontakt, o który tak długo walczył. Każde spotkanie, a nie ma ich wiele, jest inicjowane i finansowane przez stronę polską, a Janka-Anita łaskawie na nie przystaje. Jej syn, Jorg, bardziej niż matka interesuje się historią Polski, może jest więc szansa na to, że kolejne pokolenia odbudują więź z krajem przodków?





Grób Franciszki i Józefa Sowów w Wierzchowiskach, w miejscu, gdzie 1 września 1943 roku zostali zamordowani przez hitlerowców za pomoc udzielaną Żydom.







Cała piątka dzieci Sowów przetrwała wojnę. Młodsza córka poddana procesowi germanizacji, stała się Niemką. Od lewej: Eugeniusz, Józef opowiadający historię rodziny, Irena, Janina w Niemczech nosząca imię Anita, Piotr.



## **Bez prawa wyboru**

Siedział w dużej białej wannie z przyjemnie ciepłą wodą. Było mu wesoło, dobrze. Jak to czterolatek, nie siedział beczynnie, przecież każda rzecz nadaje się do zabawy. Tu zapraszało go do niej pięknie pachnące, błyszczące, zielonkawe mydło. Swobodnie pływało sobie w wodzie, a on nie mógł go złapać. Naprawdę bardzo się starał i nic. Gdy udawało mu się w odpowiednim momencie z góry nakryć je rączką, wyślizgiwało się pod spodem. Kiedy próbował dopaść je od dołu, najmniejsze poruszenie wody, drobne jej zmarszczenie, sprawiało, że błyskawicznie odpływało. Chłopca to nie martwiło. Może trochę się złościł, ale po nieudanej próbie wybuchał perlistym śmiechem i nie dawał za wygraną. Zabawa ku jego uciesze trwała dalej, aż do wystygnięcia wody. Stanowiła urozmaicenie w jego codziennym życiu. Domowe warunki na nią nie pozwalały. Wraz z rodzicami mieszkał wówczas, w latach

sześćdziesiątych XX wieku, na obrzeżach Poznania. Tam, by mógł się wykapać, zimną wodę podgrzewano w garnku na gazie i wlewano do małej, cynowej wanienki. Tak pachnącego mydła też tam nie było, nie mówiąc o tym, że nie starczyłoby miejsca na jego swobodne pływanie. Co tu ukrywać, lubił ten luksus, którego mógł doświadczać podczas wizyt u babci. A po kąpielu jak miło było się wtulać w również pachnący, choć inaczej niż mydło, miękki i puchaty ręcznik frotte, też rzadkość w siermiężnym PRL-u. Wszystko było tu zresztą jakieś przyjemniejsze, bardziej kolorowe i porządniej wykonane. Również zabawki, które zawsze tu na niego czekały. Miał ich trochę też u siebie w domu, bo babcia przysyłała je w paczkach i przywoziła, kiedy przyjeżdżała do nich w odwiedzinach.

Lubił przebywać w jej towarzystwie, choć nieco go onieśmiałała. Był dumny, że może mówić do tej postawnej, zawsze elegancko ubranej pani „babciu”. Stanowiła i do dziś stanowi dla niego przykład kobiety z klasą, miała w sobie coś z arystokratki. Była wykształcona i interesowała się sztuką. Kiedy przyjeżdżała do Polski, lubiła zwiedzać muzea. Darkowi imponowało, że może się z nią bawić, czasem pograć w piłkę. Nie każdy chłopak mógł pochwalić się taką babcią. Jedynym problemem w kontaktach między nimi była bariera językowa. On nie znał niemieckiego, nie raz prosił mamę, by zaczęła go uczyć, ale nie chciała, była nieprzejednana. Babcia nie znała polskiego, ale starała się go uczyć z polskiego elementarza. Wkładała w to dużo wysiłku, by móc lepiej porozumiewać się z wnukiem.

Mieszkała w Eisleben, a właściwie w Lutherstadt Eisleben, jak brzmi oficjalna nazwa miasta, w którym w 1483 roku urodził się Marcin Luter. Usytuowane w środkowej części

Niemiec, należało do października 1990 roku do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Gdy mały Darek zaczął odwiedzać babcię, mieszkała już pod miastem, w nowo wybudowanym domu. Choć wystrój wnętrza stanowił dla chłopca synonim komfortu, z zewnątrz dom niczym się nie różnił od popularnych socjalistycznych pudełkowców. Nie wytrzymywał porównania z willą, w której, Ernestyna Mauer z domu Lengersdorff, mieszkała w czasie wojny. Potężny, zwalisty, piętrowy budynek, na którego eklektyczny styl składały się przede wszystkim detale przypisywane secesji, przykuwał uwagę znajdującą się od frontu okrągłą wieżą, wysuniętą na przód w stosunku do całości, jak to najczęściej bywało w przypadku wież obronnych. Wieża zwieńczona była dachem przypominającym pikielhaubę, skórzany hełm zakończony szpikulcem, który w połowie XIX wieku wprowadził do użytku Fryderyk Wilhelm IV jako ochronne nakrycie głowy dla pruskich żołnierzy. Czy Ernestyna mieszkała tam jeszcze przed wojną – nie wiadomo. Nie ma również informacji o tym, czy była to posiadłość rodowa, należąca do jej rodziny, czy do rodziny jej męża, Richarda Mauera. Niewiadomych, pytań i wątpliwości jest w tej historii wiele, a na większość z nich prawdopodobnie odpowiedzi się już nie znajdzie.

Biorąc pod uwagę system polityczny panujący po wojnie w NRD, można się jedynie domyślać, iż rezydencję Ernestynie odebrano, przeznaczając ją być może na placówkę użyteczności publicznej. Mniej prawdopodobne wydaje się, by jako jedyna mieszkanka tak olbrzymiej willi sama ją sprzedała, przeznaczając pieniądze na wybudowanie znacznie mniejszego domu poza granicami miasta. Nie ma natomiast żadnych wątpliwości co do tego,

że pewnego styczniowego dnia 1944 roku w dużym ponurym domu pojawiła się dziewięcioletnia Polka – Halina Czeszak, którą bezdzietne małżeństwo Mauarów adoptowało, nie mając raczej świadomości, że przyjmują pod swój dach dziecko z podbitego przez Niemcy narodu.

Zastanawiające jest, dlaczego jechali po dziewczynkę przeszło pięćset kilometrów do austriackiego Oberweis, skoro bliżej nie brakowało innych ośrodków Lebensborn-Kinderheim. Być może Mauarowie „zamówili” dziecko o konkretnych „parametrach” i właśnie tam takie się znalazło? W świetle skąpych relacji dziewczynki i danych do dziś niepotwierdzonych wydaje się, że Richard był oficerem SS. Halinka kojarzyła go z mundurem w szarym kolorze, a pierwszeństwo w adopcji mieli wysokiej rangi przedstawiciele tej formacji, bo wierzono, iż tylko oni byli zdolni do wychowania dzieci wedle narodowosocjalistycznych wzorców. Pan domu, zapewne aktywny na różnych frontach, rzadko przyjeżdżał do powiększonej rodziny, więc wychowaniem dziewczynki zajmowała się wyłącznie Ernestyna. Była dobrą matką. Choć przybrana, nie skąpiła troski i czułości swej podopiecznej, która miała za sobą dramatyczne przeżycia, więc przypuszczać można, iż przybyła do Eisleben w stanie kiepskim pod każdym względem. W Oberweis była około trzech miesięcy. Często działo się tak, że ośrodki, do których wysyłano kradzione z podbitych państw dzieci, znajdowały się w niezwykle urokliwych miejscowościach turystyczno-wypoczynkowych.

Zamek Oberweis, wybudowany w swej pierwotnej wersji pod koniec XIV wieku, przechodząc z rąk do rąk, zmieniał swój wygląd zarówno wewnętrzny, jak i zewnętrzny, ale jego

malownicze otoczenie trwało nieustępliwie przez wieki. I tak jest do dziś w pobliżu miejscowości Gmunden, usytuowanej tuż nad jeziorem Traunsee, które ze wszystkich stron okalają dumnie piętrzące się góry należące do pasma Alp Wschodnich. Ponad rok przed wybuchem drugiej wojny światowej nazistowska organizacja Lebensborn odkupiła zamek od ówczesnych jego właścicieli – rodziny Wellerów. Gdy okazało się, że budynek jest w bardzo złym stanie, chciano go odsprzedać. Transakcja jednak się nie powiodła, kondycja zamku musiała być rzeczywiście opłakana, więc założono w nim w 1943 roku dom dziecka o zachęcającej nazwie „Alpenland”, którego kierownictwo powierzono Marii Knipp-Merkel, mającej już doświadczenie w tego typu pracy, bo pełniła tę samą funkcję w domu Lebensbornu w Krakowie. Zrezygnowano z remontu, a potrzebny sprzęt, pochodzący ze zrabowanego mienia żydowskiego, dostarczyło Gestapo.

Trafiały tu dzieci „wartościowe rasowo”, po pobycie w innych ośrodkach germanizacyjnych, a więc w pewnym stopniu z zaawansowaną znajomością niemieckiego. Kilka godzin dziennie mali więźniowie tego obozu, bo trudno nazwać to miejsce domem dziecka, uczyli się pisać, czytać i mówić w języku okupanta, a od postępów w nauce często zależały racje żywnościowe, które otrzymywali. Właściwie po zajęciach nauka trwała dalej, bo nie wolno im było porozumiewać się w języku ojczystym. Za użycie każdego polskiego słowa karano biciem albo ćwiczeniami fizycznymi mocno przekraczającymi możliwości dzieci. W skrajnych przypadkach, być może dotyczyło to recydywistów, zamykano „przestępcę” na trzy dni w izolatce bez możliwości zjedzenia czegokolwiek, czasem nie pozwalając



mu również na sen. Chłopców obarczano dodatkowymi obowiązkami. W mundurkach Hitlerjugend z krótkimi spodniami nawet w mroźne dni musieli uczestniczyć w marszach, musztrze i nauce strzelania, gdyż przygotowywano ich do pójścia na front.

Halince to nie groziło, ale i tak rygor i niedożywienie musiały negatywnie wpłynąć na jej organizm, już bardzo nadwyrężony wcześniejszymi przejściami. Do Oberweis przywieziono ją bowiem po pięciomiesięcznym pobycie w Kaliszu. Tam, w klasztorze sióstr nazaretanek, funkcjonował Okręgowy Dom Dziecka, jeden z większych obozów dla dzieci uprowadzanych z okupowanych terenów. Dokonywano w nim przede wszystkim segregacji dzieci pod względem przydatności do zgermanizowania. Nadawały się do tego procesu tylko te, które odznaczały się zewnętrznymi cechami rasy nordyckiej. Baczna obserwacja i testy psychologiczne miały zaś wykazać stopień ich inteligencji oraz zdiagnozować, czy posiadają takie cechy charakteru, jak karność czy posłuszeństwo, które byłyby pomocne w „konstruowaniu” niemieckiego „nadczłowieka”. Halinka pozytywnie przeszła badania, więc zakwalifikowano ją do germanizacji. W Kaliszu zorganizowano też tajne biuro meldunkowe – poza biurem miejskim – którym zarządzał dyrektor Okręgowego Domu Dziecka, rejestrujące wyłącznie przetrzymywane dzieci, których w oficjalnym urzędzie nie odnotowywano, a więc nie istniały. Co ciekawe, personel domu meldowany był w urzędzie miejskim, a to oznaczało, że zatrudniał ludzi, którzy nie wykonywali żadnej pracy.

W tym iluzorycznym biurze rejestrowano dzieci pod zmienionymi nazwiskami, modyfikując daty urodzin, co miało utrudnić ich odnalezienie. Halina Czeszak stała się

Helena Keller, urodzoną dwa dni później niż w rzeczywistości. W Kaliszu panował rygor podobny do tego w Oberweis, z dotkliwymi karami cielesnymi, wymierzonymi w specjalnie do tego przystosowanym pokoiku na piętrze, z okna którego okoliczni mieszkańcy nieraz słyszeli przeraźliwe krzyki i szlochy maltretowanych. Gdy dodać do tego ustawiczne znęcanie się psychiczne, nie dziwi fakt, iż w kilku przypadkach ów patologiczny system wychowawczy doprowadził do śmierci podopiecznych.

Podstawą wszelkich zajęć była nauka niemieckiego, również niemieckich pieśni patriotycznych i wierszy. Dzieciom codziennie wpajano, iż od chwili, gdy znalazły się w klasztorze, nie powinny niczego się obawiać, gdyż w każdej sytuacji ochroni ich Adolf Hitler, ich najprawdziwszy ojciec. Halinka miała osiem lat, więc za dużo, by w to wszystko całkiem bezkrytycznie wierzyć, ale za mało, by chociaż wewnętrznie się temu przeciwstawiać. Wydaje się więc, że to właśnie dzieciom w jej wieku można było wyrządzić największe szkody w psychice. W jej przypadku wpływ na spustoszenie osobowości miała także przeszłość przedobozowa i przedwojenna.

Rodzina jej matki, Cecylii, należała do drobnych przedsiębiorców poznańskich. Cecylia, mająca jedenaścioro rodzeństwa, wyróżniała się na ich tle negatywnie, była przysłowiową „czarną owcą”. Prawdopodobnie nie zdobyła żadnego zawodu, była alkoholiczką i źle się prowadziła. Pięć lat przed Halinką urodziła pierwsze dziecko, też córkę, i oddała je do przytułku. Zapomniała o nim, nigdy o nim nie wspominała, druga córka nie miała zatem świadomości, że nie jest jedynaczką. Nie wiadomo dokładnie kiedy Cecylia postanowiła pozbyć się również Halinki. W jej

nieunormowanym życiu dziecko pewnie zawadzało. Trudno powiedzieć, czy w domach dziecka nie było miejsca, czy też matka chciała lepszego losu dla swej drugiej córki, niż ten, który był udziałem pierwszej, w każdym razie Halinkę przygarnęła Teodora Begier, wychowująca wraz ze swym mężem, krawcem, jedenaścioro swoich dzieci. I właśnie z mieszkania Begierów, znajdującego się w Poznaniu przy ulicy Zagrodniczej, w maju 1943 roku Niemcy zabrali Halinkę. Szczegóły tego zdarzenia nie są znane. Wydaje się, że w tym przypadku raczej nie było to uprowadzenie, o czym świadczy dokument, który przetrwał, a w którym Niemcy „kwitowali” odbiór dziewczynki. Z Poznania do Kalisza jest około stu czterdziestu kilometrów.

Przez jakiś czas w okazałej, otoczonej rozległym parkiem willi mieszkali tylko we dwie, bo Richard przyjeżdżał do Eisleben z rzadka i na bardzo krótko. Dlatego Halinka, w dokumencie adopcyjnym wymieniona jako Helena Mauer, prawie nie знаła przybranego ojca. Za to można powiedzieć, że przez siedem lat wspólnego życia pokochała swoją zastępczą matkę i zżyła się z nią, tym bardziej, że swej rodzonej mogła nie pamiętać, nie wiadomo bowiem, kiedy Cecylia przekazała ją Teodorze Begier. Niczego jej nie brakowało, żyła w luksusie i atmosferze serdeczności, chodziła do szkoły, skończyła podstawówkę i gimnazjum, miała szansę zapomnieć o dramacie, który ją spotkał. Prawdopodobnie po krótkim czasie, w którym była jedynaczką, w rezydencji z wieżą obronną pojawił się trochę młodszy od niej chłopiec. Był Norwegiem, również adoptowanym przez Ernestynę. Musiało to nastąpić w niedługim czasie po przyjeździe Halinki z Oberweis, bowiem w niecałe półtora roku od tego momentu zakończyła

się wojna, a ponownej adopcji dokonano z pewnością jeszcze w czasie jej trwania. Przyszywany brat był w innej sytuacji niż Halinka. W Norwegii żyli jego rodzice, do czasu uprowadzenia normalnie się nim opiekowali, więc gdy tylko wojna się skończyła, został przez nich odnaleziony i wrócił do swojego kraju, nie mając ochoty podtrzymywać później kontaktów ani z Ernestyną, ani z „chwilową” siostrą.

Tak więc po 1945 roku znów przez czas jakiś mieszkały w rezydencji tylko we dwie. W tym właśnie roku Richard pewnego dnia wyszedł z domu i już nigdy nie wrócił. Znacznie później Ernestyna otrzymała informację, iż zmarł w Torgau, Wojskowym Więzieniu Wehrmachtu, które po wojnie przejęło NKWD.

Wydawało się, że Halinki nie czekają już radykalne zmiany w od kilku lat spokojnym, ustabilizowanym życiu. Polska upominała się o swe dzieci, ale przeważnie następowało to na skutek interwencji rodziców lub bliskiej rodziny. W tym przypadku ojciec dziewczynki był nieznany, matka jej nie chciała, więc trudno było się spodziewać, że ktoś będzie się dopominać o jej powrót do kraju. Tymczasem prawdopodobnie sama Cecylia Czeszak zgłosiła się do Polskiego Czerwonego Krzyża z prośbą o odnalezienie córki. Można by było podejrzewać o to jeszcze Teodorę Begier, ale ona zmarła przed zakończeniem wojny. Cecylia musiała pozostawać w kontakcie z opiekunką jej córki, skoro wiedziała, że dziewczynkę wywieziono do Niemiec. Dla siebie wiadomych celów chciała jej powrotu.

Nie wiadomo, jak wyglądały i jak długo trwały poszukiwania Halinki. Czy chętnie wracała do kraju oraz czy Ernestyna starała się to uniemożliwić, co zdarzało się nieraz w takich sytuacjach. W każdym razie trzydziestego

sierpnia 1951 roku, po ośmiu latach i trzech miesiącach, znów zawitała do Poznania. Miała szesnaście lat, na karku potężny bagaż dramatycznych doświadczeń, ale również przeszło siedem lat dostatniego, stabilnego życia i nie wiedziała, co ze sobą zrobić w niemal nieznanym jej mieście. Trudno powiedzieć, jak szybko i w jaki sposób odnalazła rodzoną matkę. Kobieta mieszkała w ciemnej, zapuszczonej suterenie i w chwili pojawienia się córki była pijana. Zszokowana Halina wybiegła stamtąd, mówiąc do siebie na głos:

– Nie, to nie może być ona, to nie jest moja matka!

W pierwszej chwili pomyślała o tym, by jak najszybciej wrócić do Niemiec, co było odruchem zrozumiałym, bo przecież w Poznaniu nikogo więcej nie miała. Nie było to jednak wówczas proste, bo po wjeździe na teren Polski zabierano paszport. Musiała się gdzieś podziać. Pomyślała o Teodorze Begier, co świadczy o tym, że nie było jej tam najgorzej, i pojechała na Zagrodniczą. Tam dowiedziała się, że jej dawna opiekunka nie żyje już od wielu lat. Za to jej córka, która poznała Halinę, zaopiekowała się dziewczyną.

Na pewno było jej ciężko i nieraz wzdychała do lat spędzonych w Eisleben. Teraz całkiem sama musiała się wziąć za bary z życiem. Choć na razie miała zapewnione jakieś lokum, nie mogła wymagać, by obca jej osoba zbyt długo ją finansowała. Zaczęła więc gorączkowo myśleć o tym, by jak najszybciej się usamodzielić. Nie miała zawodu, ale w takiej sytuacji powrotu do szkoły nie brała w rachubę, zaczęła szukać pracy. Udało się. Dostała pracę w dziale kontroli jakości „Centry”, znanej fabryki baterii. Pracowała tam wiele lat i tam też poznała Stanisława, swojego przyszłego męża. Po ślubie zamieszkali na

obrzeżach miasta. Wreszcie jakaś stabilizacja! Nie odcięła się jednak od swego poprzedniego życia. Cały czas była w listownym kontakcie z Ernestyną, która często z nią korespondowała.

Wydaje się, że obydwu kobietom było to potrzebne. Niemka musiała z sentymentem wspominać ich wspólne lata, skoro przesyłała różne zdjęcia dziewczynki, jej szkoły i koleżanek z tamtego okresu z melancholijnymi podpisami. Widać było, że żyła wspomnieniami, choć nie z powodu samotnego siedzenia w domu. Była aktywna na forum publicznym, przez jakiś czas sprawowała urząd burmistrza Eisleben.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Halina z mężem odwiedziła Ernestynę i od tego czasu, w miarę możliwości, kobiety widywały się albo w Polsce, albo w Niemczech. Po przyjeździe na świat jedyne go syna Haliny – Darka – kontakty się nie urwały, a wręcz przeciwnie, chyba zacieśniły, nabierając jeszcze bardziej rodzinnego charakteru. Chłopiec, mimo że od początku swego świadomego istnienia wiedział, że to nie jest jego prawdziwa, ale „przyszywana” babcia, kochał ją i lubił ogrzewać się w ciepłe, które rozstaczała wokół siebie. Wiedział także, że jego babcia rodzona – Cecylia – żyje w Polsce, ale mama nie chciała utrzymywać z nią żadnych kontaktów, dlatego też i jego do niej nie ciągnęło.

Halina była świetną, przepysznie gotującą gospodynią, utrzymującą mieszkanie w sterylnej czystości, co być może wyniosła z niemieckiego domu. Mówiła po polsku bez obcego akcentu, ale miała kłopoty z prawidłowym pisaniem w ojczystym języku, dlatego zawsze zabierała się do tego ze słownikiem w pogotowiu. Była dobrą, troskliwą i czułą matką, ale jej nerwowość, niewykluczone, że spowodowana dramatycznymi przeżyciami, sprawiała, iż często

wybuchiała. Dlatego syn, psotny jak to chłopak, o wiele częściej lanie dostawał od niej niż od ojca. Złość na dziecko szybko jej jednak przechodziła. Do dziś Dariusz, stateczny biznesmen, ma w oczach jedną ze scen towarzyszących jego karceniu. Mama, goniła go wokół stołu, by dać mu klapsa, a on wciąż nie dawał się złapać. W końcu obydwójce tak zatracili się w tym biegu, że zaczęli się śmiać i już o laniu nie było mowy.

Halina nie cieszyła się rodziną i życiową stabilizacją zbyt długo. Zachorowała i w wieku czterdziestu lat zmarła. Darek miał wtedy trzynaście lat i rozpoczął się dla niego najtrudniejszy w życiu czas. Samotnie musiał walczyć z każdym dniem i o każdy dzień. Jego ojciec ponownie się ożenił, ale macocha nie zaakceptowała pasierba. W tym ciężkim, ponurym okresie chłopiec nadal utrzymywał kontakt z niemiecką babcią. Sprawiało mu to kłopot ze względu na nieznajomość języka, ale zawsze znalazł kogoś, kto pomógł mu w napisaniu listu. Ernestyna przysyłała mu paczki, które były tym wartościowsze, że w Polsce brakowało wówczas właściwie wszystkiego. Nie mógł jej odwiedzać, bo po skończeniu technikum łączności był zatrudniony w wojsku jako pracownik cywilny, co uniemożliwiało wszelkie wyjazdy zagraniczne, nawet w obrębie bloku socjalistycznego. Z listów wnosił, że babcia stopniowo podupadała na zdrowiu. Miała kłopoty ze wzrokiem, więc starał się, by litery były duże i pogrubione. Pod koniec życia zamieszkała u jednej z sióstr w Halle. Nie wiedział, kiedy dokładnie zmarła, domyślił się tego, gdy przestał otrzymywać listy. Będąc w Niemczech, odszukał jej grób. Pochowana została na cmentarzu protestanckim

w Halle, a po jakimś czasie przeniesiona do Finsterwalde, gdzie znajduje się rodzinny grób Lengendorffów.

Halina Czeszak, mimo tak wielu dramatycznych przeżyć spowodowanych przede wszystkim zabraniami jej przez Niemców od rodziny zastępczej, miała w życiu trochę szczęścia, którym okazała się dla niej Ernestyna Mauer. W jej przepastnym domu spędziła siedem dostatnich, spokojnych lat, być może dzięki którym jakoś poradziła sobie na kolejnym, również ciernistym i pełnym przeszkód etapie życia. Szczególnie na jego początku pewnie myślami wracała do malowniczego Eisleben. Można domniemywać, że nawiedzały ją również te mniej przyjemne wspomnienia, z ośrodków w Kaliszu i Oberweis, za sprawą których najbardziej ucierpiała jej psychika, w pewien sposób rozdwojona. Chyba nigdzie nie czuła się do końca u siebie. W Niemczech tęskniła za Polską, w Polsce myślami była za Odrą.

Nie tylko w jej przypadku nasuwa się pytanie o słuszność zasad „rewindykacji dzieci”, jak nazywano akcję odzyskiwania skradzionych nieletnich Polaków. Kategoryczny nakaz powrotu do ojczyzny nie zawsze zgodny był z dobrem dziecka. Kiedy przyjeżdżało ono do sierocińca czy, jak Halinka, do matki, która nie była w stanie się nim zaopiekować, powodowało to często traumę równą, a może jeszcze większą od tej, którą przeżyło, gdy z kraju je wywożono. Halinka z jednej strony chciała wrócić do Niemiec, i to nie tylko wtedy, gdy przekonała się, że nie może liczyć na pomoc swej rodzonej matki, z drugiej strony nie lubiła opowiadać o tym, co tam przeżyła. Jej syn Dariusz dziś bardzo żałuje, że nie próbował jej do tego nakłaniać, nie był bardziej ciekawy i dociekliwy, choć



zważywszy na wiek, w którym ją stracił, nie powinno to specjalnie dziwić. Nie potrafi też sam zrozumieć, dlaczego już po śmierci mamy, gdy dorósł, nie zainteresował się tym tematem wcześniej, kiedy żyli jeszcze ludzie, od których można było się sporo dowiedzieć. Gdyby tak się stało, z pewnością opowieść ta niosłaby ze sobą mniej znaków zapytania.





Halina Czeszak, w wieku sześciu lat wywieziona z Poznania do Niemiec, w maju 1943 roku. Do dziś zachował się dokument „kwitujący” odbiór dziewczynki z rodziny zastępczej.





Halinka ze swoją niemiecką matką, Ernestyną Mauer.





Halinka ze swoją przybraną matką, Ernestyną Mauer, w Niemczech.







Halinka i jej przybrany brat. Chłopiec z Norwegii również adoptowany przez Ernestynę Mauer.





Ernestyna Mauer z Dariuszem, synkiem swej polskiej, adoptowanej córki.





Halina Czeszak po powrocie od kraju.



6.

## **Tato!**

– Tato! Dzisiaj cię poznałem i tego samego dnia się z tobą żegnam.

Jesienią 1939 roku, po wkroczeniu na obszar województwa pomorskiego, które po blisko dwudziestu latach funkcjonowania w II Rzeczypospolitej przyłączono do III Rzeszy, nowi panowie tej ziemi rozpoczęli energiczne i bezwzględne działania zmierzające do wyeliminowania z niej Polaków. Szczególnie zależało im na unicestwieniu inteligencji, ludzi będących autorytetami w swoich społecznościach oraz tych, którzy byli zasłużeni w umacnianiu na tych terenach polskości. Bilans akcji przeprowadzonej w blisko czterystu miejscowościach był dla jej realizatorów powodem do dumy: około trzydzieści tysięcy ofiar. Dane te zresztą są tylko orientacyjne, wszystkie dokumenty zostały bowiem zniszczone. Na początku 1940

roku wysłano je do Gdańska specjalnym samochodem, który mniej więcej w połowie drogi został ostrzelany przez „nieznanych sprawców”, w wyniku czego akta spłonęły.

Bez żadnego śledztwa winą za to zdarzenie obarczono polskie podziemie, a karą były ostre represje wobec okolicznych mieszkańców. Pozostały jeszcze dowody w postaci ciał pomordowanych, których też należało się pozbyć. Na kilka miesięcy przed niekorzystnym dla sprawców finałem, ekshumowano je i spalono. Listy wyznaczonych do egzekucji powstały jeszcze przed atakiem na Polskę, a perfidii temu procesowi dodaje fakt, iż był przeprowadzany siłami członków organizacji „Selbstschutz Westpreussen”, niemieckiej „Samoobrony”, do której należeli volksdeutsche zdolni do służby wojskowej.

„Volksdeutsche znają ten kraj, jest on wszakże ich ojczyzną. Znane im są wszystkie zakamarki, pomagają więc policji odnaleźć każdego ukrytego polskiego przestępcę. Znają polski język, mają otwarte oczy i uszy na wszystko...” – z dumą donosił dziennikarz „Ostdeutscher Beobachter”.

W społeczności żyjącej dotychczas w poprawnych stosunkach zawrzało. Dawni znajomi przestali się znać, przyjaciele przestali się przyjaźnić, sąsiedzi donosili na sąsiadów, często osobiście wykonując na nich wyroki. Po wojnie udało się ustalić nazwiska prawie dwóch tysięcy sprawców tej dywersji wymierzonej w ludzkie istnienia. Co z tego, skoro niemiecka prokuratura z 258 śledztw umorzyła 233, a z tych 25 przeprowadzonych do końca tylko 12 skończyło się procesami, których rezultatem było dziesięć, przypuszczalnie łagodnych, wyroków, nie wiadomo czy wyegzekwowanych.



Guntram to imię męskie o germańskim pochodzeniu, którego patronem jest uznany za świętego dzielnicowy król Franków (561-592), a w języku starogermańskim oznaczało kruka wojny. Chłopiec o tym imieniu ciepło wspomina dzieciństwo spędzone na wsi, w niedużym gospodarstwie usytuowanym w pobliżu miasta Heilbronn. Do dziś ma przed oczami krajobrazy rejonów Badenii-Wirtembergii, lekko pagórkowatych ze względu na bliskość górskiego pasma Schwarzwald, poprzecinanych licznymi rzekami, z których najbliższa – Neckar – jest prawym dopływem Renu. Bardzo lubił nad nią spacerować i tam się bawić. To właśnie miejsce tak bardzo przypadło mu do gustu, że mimo zakazu opiekunów wymykał się tam, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Do pierwszej klasy uczęszczał do szkoły wiejskiej. Trochę różnił się od swych rówieśników, gdyż mówił nie tak jak oni, dialektem szwabskim, ale czystym niemieckim. To mu nawet odpowiadało, bo był najlepszy, był pupilkiem nauczycieli. Nie był stamtąd, wiedział, że jest z rodziny uchodźców.

Mieszkał z mamą, ojczymem i przyrodnim bratem. Ojczym był dla niego dobry, Guntram nazywał go tatą, ale przyszedł czas, kiedy zaczął pytać o biologicznego ojca. Usłyszał wtedy, że ten zginął na wojnie, a kiedy chciał dowiedzieć się czegoś więcej, mama dawała mu do zrozumienia, że nie powinien wypytywać. Doszedł do wniosku, że wspomnienia mogą sprawiać jej przykrość i na jakiś czas przestał pytać. Rodzice żyli terażniejszością, przeszłość nie była tematem żadnych rozmów, jakby nie istniała, albo celowo ją omijano. W większości rodzin opowieści o losach dziadków czy pradziadków nie należą do rzadkości, podobnie rodzice

wracają czasem pamięcią do swych młodszych lat. W domu Guntrama było inaczej. Tajemnica przeszłości była tak strzeżona, że odkrycie jej chłopiec traktował jako stawiane sobie wyzwanie, jako sprawdzian swej asertywności, więc tylko czasem zbierał się na odwagę i pytał:

– Tato, jak było na wojnie?

Odpowiedź nigdy nie padła, więc kiedyś zapytał bardziej wprost, o konkretną sprawę:

– Tato, zabiłeś kogoś na wojnie?

– Wiesz, kiedy leży się w okopach i nadchodzą Rosjanie z karabinami maszynowymi, wołając w dodatku: Hura, hura, hura, to wtedy trzeba do nich strzelać.

Chłopiec, zaskoczony rozmownością ojczyma, już o nic więcej nie pytał, a może był jeszcze zbyt mały, by podrażnić temat, by dowiedzieć się na przykład, dlaczego ojczym znalazł się wówczas w Rosji? Niemniej i tak był zadowolony, że w ogóle skłonił go do jakiejś wypowiedzi. Na jakiś czas zapomniał o tych sprawach, nawet o podstawowej zagadce swego dzieciństwa, tajemniczej postaci ojca, o którym tak bardzo chciał się czegoś dowiedzieć. Czegokolwiek. Jak wyglądał, jaki był, czy bawił się ze swoim małym synkiem, zanim poszedł na tę straszną wojnę? Na razie przejęty był szkołą, bo z wiejskiej przeniósł się do jednej z tych znajdujących się w Heilbronn i już nie był jedynym uczniem, który ładnie czytał. Tamtejsi nauczyciele dziwnie reagowali, kiedy mówił, że nazywa się Weber. Jego ojczym miał na nazwisko Müller, więc coś się nie zgadzało. Pewnie przypuszczali, że jest nieślubnym dzieckiem, on oczywiście był za mały, by w ten sposób rozumować, ale czuł, że coś jest nie tak, czegoś nie wie, wciąż coś się przed nim ukrywa.

Kiedyś, gdy pojechał w odwiedziny do babci, która mieszkała pięćdziesiąt kilometrów od nich, i akurat byli tylko we dwójkę, zapytał:

– Wiesz coś o moim ojcu?

– To skomplikowana sprawa – zaczęła starsza pani. – Wtedy były wojenne zawirowania, prawie nic nie wiedzieliśmy o sobie nawzajem. Rodzina była rozproszona. Twój wujek był na froncie, twoja matka jeszcze gdzieś indziej. My byliśmy na wsi, w domu, i mało co słyszeliśmy. Właściwie nic nie wiedzieliśmy. Najlepiej zapytaj mamę.

Guntram jak to Guntram, był chłopcem delikatnym, dał więc babci spokój, ale przy jakiejś okazji to samo pytanie zadał cioci. Miał przy tym wyrzuty sumienia, bo swoje śledztwo ukrywał przed mamą. Odpowiedź była niemal identyczna, tylko trochę krótsza:

– Wtedy były zawirowania wojenne i nic nie wiedzieliśmy. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć, zapytaj matkę.

Dopiero po latach chłopiec zdał sobie sprawę, że wszystkie odpowiedzi były uzgodnione, narzucone przez matkę całej rodzinie.

Z roku na rok miał coraz większą wiedzę na temat historii najnowszej, w tym historii Niemiec i II wojny światowej, czego z domu nie mógł wynieść, ale to dawała mu szkoła. Trafił na wyjątkowo dobrych, bo obiektywnych nauczycieli historii, którzy nie przemilczali faktów z czasów panowania narodowego socjalizmu, mówili prawdę o działalności Hitlera, Himmlera, o SS i gestapo, a więc o niezbyt chlubnych wydarzeniach z dziejów Niemiec. To go poruszało, często bulwersowało i kiedy w domu przekazywał nową dla niego wiedzę, chwalił się, jak to

dziecko, że tyle z lekcji zapamiętuje, że coraz więcej wie, mógł tylko usłyszeć:

– Nie było cię wtedy jeszcze na świecie, więc nie jesteś w stanie tego wszystkiego zrozumieć.

Gdy skończył dziesięć lat, tęsknota za ojcem przybrała na sile. To nie była już tylko ciekawość, jaki był, ale marzenie, żeby był. Wiedział, że fizycznie najprawdopodobniej go jednak nie będzie, choć domysłów w jego młodej głowie pewnie nie brakowało. Chciał mieć chociaż trochę danych, by móc go sobie wyobrazić, by przed snem pod powiekami pojawiał się jego niewyraźny, zamglony wizerunek, któremu mógłby powierzyć problemy chłopca szykującego się do przeobrażenia się w mężczyznę. Był oczywiście ojczym, dobry ojczym, zawsze to podkreślał, i pewnie on by mu wystarczył, gdyby Guntram nie wiedział, że jego prawdziwym ojcem jest ktoś inny. Ten był ojcem przyrodniego brata, nie jego, co wywoływało zazdrość. Dlaczego nie jego? Buntował się. A może to dobrze, bo ten jego wyśniony ojciec będzie przewyższać ojczyma pod każdym względem?

Burza w głowie i sercu doprowadziła chłopca do czynu, którego w innej sytuacji nigdy by się nie dopuścił, a wcześniej uważałby za karygodny. To była odpowiedź na wieloletnie zwodzenie go, rebelia wobec zмовy milczenia. Wiedział, że w szafie na ubrania, na dole, po prawej stronie za płaszczami, znajduje się kasetka, stalowa kasetka zamknięta na klucz, do której dostęp miała tylko mama, bo tam ukryte były jej dokumenty. Kiedyś, gdy był sam w domu, z ogromnym poczuciem winy otworzył szafę, odchylił płaszcze i gdy mocno się schylił, zobaczył ją w ciemnym rogu. Gdyby była zamknięta, przypuszczalnie

dałby spokój. Nie był przecież włamywaczem i nie miał wytrychów. Była zamknięta, ale na wieczku leżał klucz. Druga taka okazja mogła się nie powtórzyć.

W pudełku było dużo papierów, większość stanowiły dokumenty urzędowe. Zaczął je przerzucać, przeglądać, niektóre czytać, lecz nigdzie nie było mowy o nim, choć mógł coś przeoczyć, bo działał w stresie i pośpiechu. Nagle dotknął czegoś twardego w samym środku i wyjął... kubek. Leżał do góry dnem. Cóż naczynie mogło robić w stosie papierów? Czego mogło być dowodem? Był srebrny. To był srebrny kubek. Nie mieli takich, bo gdy kogoś wypędzają z domu, zabiera tylko rzeczy najpotrzebniejsze, jeśli w ogóle coś może zabrać. Po jednej stronie kubka było wygrawerowane jego imię, ale nie tylko. Cały napis był dla niego dziwny: „Guntram – Heinrich”. „Może to jakiś inny Guntram, który miał na nazwisko Heinrich?” – gorączkowo analizował chłopiec. Druga strona naczynia była nie mniej dziwna: „Od ojca chrzestnego” i podpis „Heinrich Himmler”. To już zaczął kojarzyć. Nauczyciel historii opowiadał im o zbrodniarzu wojennym, który właśnie tak się nazywał. „Ale co on ma wspólnego ze mną?”, pomyślał. Już nie przeglądał papierów, kubek położył dokładnie tak, jak go zastał, pozamykał wszystko i zaczął żałować, że dopuścił się takiego przestępstwa, bo o tym, co zobaczył, nie mógł przestać myśleć.

Codziennosc ma jednak swoje prawa, wciąga i każe zapomnieć. U niego również to silne przeżycie straciło na wyrazistości. Wspomnienie ożyło dopiero po kilku latach, gdy zbliżały się jego szesnaste urodziny. W tym wieku wyrobić trzeba było pierwszy dowód osobisty, więc

potrzebne były dane ojca. Mama oczywiście o tym wiedziała, więc sama rozpoczęła rozmowę:

– Chłopcze – zawsze tak się do niego zwracała, nigdy nie używając imienia, co go dziwiło, bo nie zaobserwował takiego zwyczaju u żadnego ze swych kolegów. – Teraz jesteś wystarczająco duży, by dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu.

Guntram z wrażenia wstrzymał oddech, po czym dowiedział się, że jego ojcem jest Hermann Weber, rolnik z Wrocławia urodzony w Halle. W czasie wojny był sierżantem Luftwaffe i walczył w Chorwacji. Kiedyś najechał ciężarówką na minę i wyleciał w powietrze. Mama, jak mówiła, nie miała po nim żadnych pamiątek, prócz zawiadomienia o tym, że zginął. Mówiła trochę tak, jak przekazuje się na dworcu informacje o odjeździe kolejnego pociągu, mechanicznie, bez jakichkolwiek emocji, szybko, by prędko mieć to za sobą. Dodała również, że Guntram urodził się w Poznaniu 3 października 1943 roku. Chłopiec milczał i być może miał tak zdziwioną minę, że doszła do wniosku, iż jest to potrzebne, więc po krótkiej przerwie, jakby dla uwiarygodnienia wypowiedzi, wyrecytowała jeszcze dwie daty – urodzin Hermanna Webera i ich ślubu.

To wszystko zapisała na kartce, nie mając pewności, czy chłopiec zapamięta, a musiał przecież udać się do urzędu, by wyrobić sobie dowód. Tak też się stało, dane były wystarczające i bez przeszkód otrzymał dokument. „Wreszcie wiem, że miałem jakiegoś ojca”, myślał Guntram, „nawet znam jego imię, wiem, co robił i jak zginął”. Poczul ulgę. Chciał jeszcze wtedy zapytać, jak ojciec wyglądał, bo przecież żadne zdjęcie się nie zachowało, dowiedzieć się, jaki był tak na co dzień, poważny czy wesoły, powolny czy szybki, ale mama przekazywała informacje w taki sposób,

a on był tak zaszokowany samym faktem, że w końcu się na to zdecydowała, iż dał spokój. Rozpoczął studia we Fryburgu. Mieszkali tam przyjaciele mamy z dawnych czasów, jeszcze z okresu poznańskiego. Odwiedzał ich czasem, bo w nowym dla niego otoczeniu, przeszło dwieście kilometrów od domu, nikogo innego znajomego nie miał, szczególnie na początku. Kiedyś podczas rozmowy związanej z przeszłością ich i mamy, Guntram zapytał:

– A znaliście mojego ojca? – Miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej o Hermannie Weberze.

Na chwilę zapadła cisza, a potem usłyszeli:

– Skoro twoja matka nic ci nie powiedziała, my też nie możemy nic powiedzieć.

Poczuł się dziwnie. Znów jakieś tajemnice? Przecież znał już imię i nazwisko swego ojca, wiedział, jak zginął... Chciał powiedzieć w dalszej rozmowie, że mama już sporo mu przekazała, a może oni dorzucą coś jeszcze dla pełniejszego obrazu..., lecz gdy spojrział na zafrasowane twarze rozmówców, odpuścił. Próbował poruszyć temat przy okazji kolejnej wizyty, rozpoczynając od stwierdzenia, że już sporo wie, ale skończyło się na tym samym. Wewnętrzny spokój znów przysł.

Studia kontynuował w Berlinie w czasie, gdy odbywały się tam protesty studenckie przeciwko wojnie w Wietnamie, w których uczestniczył. Marsze i demonstracje były ostro tłumione przez policję i pewnego dnia jeden ze studentów został zastrzelony przez policjanta w cywilu. Oczywiście zrobił się szum, było o tym głośno, ale sprawę dosyć szybko wyciszono. Guntram, poruszony tym, co się wydarzyło, przyjechawszy na weekend do domu, zaczął relacjonować

rodzicom zajście. Był wzburzony, opowiadał o wszystkim emocjonalnie. Wydawało się, że i ich wciągnął w tok wydarzeń, kiedy odezwał się ojczym, kierując swe słowa do matki:

– Gdyby generał to słyszał...

Chłopak zamilkł. To zdanie zupełnie zbiło go z tropu. Było dla niego absolutnie niezwiązane z tym, o czym mówił.

– Opowiadam o demonstracjach w Berlinie i nagle, tato, wspominasz jakiegoś generała... O co chodzi, jaki to ma związek z karygodnymi działaniami policji?

– No przecież w policji też są generałowie, nie wiedziałeś o tym?

Kiedy Guntram próbował dalej prowadzić rozmowę, ojczym wyszedł, a mama zajęła się czymś w kuchni. Znowu był świadkiem jakiejś dziwnej dla niego wypowiedzi i znowu pozbawiono go możliwości wyjaśnienia, o co chodzi. Nie znosił tych niedopowiedzeń, aluzji, podtekstów, przemilczeń... Tak często miał z nimi do czynienia w swojej rodzinie, że był na nie szczególnie wyczulony. Od razu zasiewały w nim niepokój, powodowały napięcie, ale również, co niewytłumaczalne, poczucie winy. Czuł się odpowiedzialny za to, że inni nie mogli mówić wprost.

Na prostej i dosyć szybkiej ścieżce swej kariery osiągnął szczyty. Był generałem zarówno w SS, jak i w Waffen-SS, czyli bojowej części tej nazistowskiej organizacji paramilitarnej. Działał więc, jak przystało na generała do kwadratu. Energicznie, bezwzględnie, chwając się przed przełożonymi swymi osiągnięciami, bo wiedział, że



lizusostwo, służalczość wobec Hitlera i jego popleczników są zawsze mile widziane i w odpowiednim momencie doceniane.

„Melduję, że udało nam się unieszkodliwić ponad siedemnaście tysięcy osób, z czego zlikwidowaliśmy ponad cztery tysiące. Melduję, iż zlikwidowaliśmy najbardziej niebezpieczne elementy, mogące zaszkodzić nam w przyszłości” – z dumą donosił z Bydgoszczy, gdzie stał na czele pomorskiej akcji eksterminacyjnej. Miał powody do samozadowolenia, bo zadanie unicestwienia elity tamtych terenów wykonał perfekcyjnie. Najbardziej spektakularnym jego dziełem w tej materii było zamordowanie czterech tysięcy osób w Fordońskiej Dolinie Śmierci. Sama organizacja tego typu spektakli mu nie wystarczała, nie wystarczała również obserwacja realizacji nakreślonych przez niego planów. Najlepiej się czuł, gdy mógł w nich uczestniczyć jako współwykonawca. Dopiero to dawało mu pełnię satysfakcji. Miał wówczas 38 lat i spełniał się jego sen o potędze.

W Berlinie Guntram studiował amerykańistykę. Zakochał się w studentce z USA i pojechał do jej kraju, by kontynuować studia. Tam również studenci protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie, więc znów uczestniczył w demonstracjach. W czasie jednej z nich przekonał się, jak działa gaz łzawiący. Wziął ślub z ukochaną, na świat przyszło dziecko, tyle się działo, że niezbyt często powracał myślami do zagadki swego dzieciństwa. W USA zresztą nie mógł prowadzić żadnych poszukiwań, tym bardziej, że już nie był pewien, czy Weber to prawdziwe nazwisko jego ojca, bo nieco wcześniej przypadkiem dowiedział się, że to

panieńskie nazwisko matki. Z tego względu oraz ze względu na informacje zaczerpnięte z różnych lektur, powoli rozpadała się cała konstrukcja powstała z danych przekazanych mu po to, by mógł wyrobić sobie dowód osobisty. Podczas jednego z krótkich pobytów w kraju, dokąd wybrał się wraz z żoną, postanowił jeszcze raz porozmawiać z matką. Okazja nadarzyła się, kiedy jechali tylko we dwójkę samochodem. Doszedł do wniosku, że w takich warunkach trudno jej będzie wyjść, by przerwać rozmowę, co najczęściej czyniła. Niespodziewanie zaparkował.

– Mamo, kocham cię i zawsze będę kochał – zaczął z młodzieńczą żarliwością. – Jesteś najważniejszą osobą w moim życiu. Ale muszę cię o coś zapytać, mimo że wiem, iż nie będzie to dla ciebie przyjemne.

Była całkiem spokojna, nie było widać po niej zdenerwowania.

– Słyszałem o Lebensborn – kontynuował.

Zmieniła się na twarzy, zbladła.

– Opowiedz mi o moim prawdziwym ojcu.

– Nie chcę o tym mówić. – Cała drżała. – To wciąż kontrowersyjna sprawa. – Zamilkła na chwilę, jakby nad czymś się zastanawiała. – Wszystko ci napiszę – powiedziała to tonem, który wskazywał, że z jej ust nie padnie już żadne słowo.

Guntram, jak to Guntram, nie nalegał, nie chciał jej dłużej męczyć. Tym bardziej, że ucieszył się z efektu rozmowy. Ufnie wierzył w to, co obiecała. Będzie miał informacje, wszystko mu napisze. Jest dobrze, czego chcieć więcej. Tyle

czasu wytrzymał, da radę jeszcze trochę. Następnego dnia odlatywali do USA. Gdy się żegnali, mama niespodzianie, tak, by tylko on to słyszał, powiedziała:

– Chłopcze, może jeszcze kiedyś mnie przeklniesz.

Już nigdy więcej nie rozmawiali bezpośrednio, nie przysłała mu też obiecanych informacji. Zachorowała. Nie chciała, by ją odwiedził, być może między innymi dlatego, że obawiała się kolejnych pytań. Nie odwołała swych kłamstw. Po dwóch latach od rozmowy w samochodzie zmarła.

W powodzi codziennych zdarzeń stwierdził z rezygnacją: „Przestaję szukać, i tak nie ma szans, bym się czegokolwiek dowiedział, mam teraz ważniejsze sprawy na głowie”. A na tę jego biedną, skołataną głowę rzeczywiście wciąż coś się waliło. Żona zginęła w wypadku. Został sam z dzieckiem i musiał zająć się jego wychowaniem. Po trzynastu latach pobytu w USA wrócił do Niemiec i zamieszkał w Berlinie. Próbował odnaleźć się w tym miejscu, po takim czasie zupełnie dla niego nowym. Znalazł dobrą pracę, która go pochłaniała. Został tłumaczem, a oprócz tego zaangażował się w organizację warsztatów pisarskich dla dzieci uchodźców i imigrantów. Mimo tego zagadka dzieciństwa nadal tkwiła w jego świadomości, choć już stracił nadzieję, że kiedykolwiek ją rozwikła. Jednak kiedy nadarzała się jakaś sposobność, wciąż szukał. Kiedyś, gdy znalazł się w Schöneberg, jednej z dzielnic Berlina, poszedł do tamtejszego urzędu stanu cywilnego, bo przypomniało mu się, że to tam pierwszego sierpnia 1938 roku mama brała ślub. Tak przynajmniej mówiła. „Nie zaszkodzi sprawdzić”, pomyślał, „może przy okazji, dowiem się czegoś prawdziwego o ojcu?” Gdy urzędniczka wróciła, jakoś

osobliwie na niego spojrziała. Choć może mu się tylko wydawało.

– Bardzo mi przykro. Dokładnie przejrzałam wszystkie dokumenty, nie tylko z tego jednego dnia, o którym pan mówił, ale z całego miesiąca, i nie znalazłam zapisu dotyczącego ślubu Edyty i Hermanna Weber.

Był też w Koblencji, gdzie znajduje się Archiwum Federalne, które gromadzi dokumenty na temat każdego, kto kiedykolwiek służył w niemieckim wojsku.

– Na temat Hermanna Webera niczego nie mamy, przykro nam – usłyszał.

Wracając do Berlina, zadumał się:

„Czyżby mama wymyśliła tego człowieka na użytek mojego dowodu osobistego i mojego chwilowego uspokojenia? W każdym razie nie mógł być niemieckim żołnierzem, skoro w tym archiwum go nie ma. Może nigdzie nie służył i zupełnie przypadkiem wjechał samochodem na minę. Ale przecież i tę minę mogła wymyślić”. Znow zaczął się miotać w płątaniu różnych możliwości i po raz kolejny zagadka dzieciństwa wyplątała się na powierzchnię. Dołączyła do tragicznych przeżyć ostatnich lat, co zaowocowało nienajlepszym stanem psychicznym Guntrama. Sam przed sobą się do tego nie przyznawał, lecz zauważyła to Anja, jego nowa partnerka. To ona autorytatywnie zawyrokowała:

– Musisz wreszcie znaleźć swego ojca.

Skłoniła go także do spisywania wspomnień, uważając to być może za środek terapeutyczny. Zapalił się do tego i pochłaniało mu to coraz więcej czasu. Rozpoczął od opisywania gospodarstwa, w którym jako maluch biegał po

łąkach, a przede wszystkim nad rzeką. By uporządkować wspomnienia, niektóre potwierdzić, inne zanegować, zaczął odwiedzać różnych członków rodziny, którzy mogli coś wiedzieć na jego temat. Robił to niemal profesjonalnie. Przed wyjazdem przygotowywał sobie zestaw pytań, które miał zamiar zadać, a odpowiedzi nagrywał na taśmie, z której je potem spisywał. Oczywiście, zawsze padało pytanie związane z jego ojcem. Jeden z wujków, u którego był kilka razy, stwierdził:

– Nie mogę powiedzieć nic na temat twojego ojca.

Potwierdziła to jego żona i Guntram im wierzył; nie wyglądali, jakby coś przed nim ukrywali. Po prostu nie byli wtajemniczeni, niczego nie wiedzieli. Przełomowy dla tej akcji okazał się album ze zdjęciami, który na krótko przed śmiercią mama podarowała swojej siostrze. Były tam zdjęcia z gospodarstwa, które prowadziła mama w Żegrzu, jednej z dzielnic Poznania, a więc jeszcze przed wysiedleniem. Kury, krowy, koń ze źrebakiem, pies i wśród tego zwierzyńca dziewczynka, może czteroletnia, siostra cioteczna Guntrama. Oprócz tego na kilku zdjęciach widać było również jakiegoś mężczyznę. Przyjaźnie patrzył w stronę tego, kto trzymał aparat, wyglądał sympatycznie i Guntram pomyślał, że nie obraziłby się, gdyby to był jego ojciec. Był w cywilnym ubraniu, takim całkiem codziennym, może nawet znoszonym, nie eleganckim. Kolejny z wujków, któremu pokazał zdjęcia, zaskoczył go:

– To jest wyższy oficer.

– Dlaczego tak myślisz? – Guntram wpatrywał się w fotografię i nie mógł zrozumieć, skąd taki wniosek. Co o tym świadczy?

– Spójrz na jego spodnie – to bryczesy, spójrz na buty – oficerskie. Tylko u góry się przebrał.

Wracając od wujka, wpadł jeszcze do ojczyma i jemu pokazał zdjęcia.

– Wujek twierdzi, że na tej fotografii – wskazał ręką – jest jakiś wyższy rangą oficer.

Ojczym zbladł. Chwilę milczał, tak jakby zastanawiał się nad tym, co powiedzieć, czy w ogóle coś powiedzieć, trochę zmieszany popatrzył na Guntrama, po czym widać podjął decyzję i to go uspokoiło, więc już bez emocji powiedział:

– Wujek ma rację, to jest generał von Alvensleben.

Guntram wiedział, że na pewno słyszał już kiedyś to nazwisko i szybko przypomniał sobie, że było to na lekcji historii. Pilnie uczył się tego przedmiotu i od razu skojarzył z hasłem Konwencja Alvenslebena, która zawarta została pomiędzy Prusami a Rosją, by łatwiej było ścigać powstańców styczniowych. Ten w gospodarstwie mamy mógł być potomkiem tego generała. Ale co on tam robił? Zwoje mózgowy w jego głowie rozgrzały się do czerwoności. Nie, to chyba niemożliwe..., ale zadał to pytanie, by później nie żałować, że tego nie zrobił:

– Tato, to może śmieszne, właściwie nie wiem, ale jednak muszę cię zapytać, czy mama..., czy mama powiedziała ci kiedyś, że moim ojcem jest ten Alvensleben?

Ojczym nie zastanawiał się, tylko szybko, jakby chciał to mieć już za sobą, stwierdził:

– Tak.

Potem nie chciał już rozmawiać na ten temat.

Marsz po generalskie szlify i spełnianie marzeń, które urzeczywistniły się w Bydgoszczy, rozpoczął od wstąpienia do NSDAP. Gdy naziści zdobyli władzę, dostał się do Reichstagu. Następny krok w górę to adiutantura u szefa SS, Heinricha Himmlera. Nic dziwnego, że zaraz po napaści Niemiec na Polskę otrzymał ważne, prestiżowe zadanie jako dowódca Samoobrony Niemieckiej na Pomorzu. W Bydgoszczy zamieszkał w willi przy ulicy Wyspiańskiego. Jak na jedną osobę i wojenne warunki standard całkiem niezły, choć nie mógł równać się z tym, jaki prezentował pałac w Ostromecku, szesnaście kilometrów od Bydgoszczy, należący do jednej z gałęzi jego rodu. Alvenslebenowie to jedna z najstarszych arystokratycznych rodzin w Niemczech, której członkowie od pierwszej wzmianki o nich w 1163 roku sprawowali ważne, prestiżowe funkcje dla swojego kraju. Byli wśród nich ziemianie, politycy, dyplomaci, biskupi, nawet malarze, pisarze i muzycy, ale największą grupę stanowili generałowie.

Jak to w każdej rodzinie bywa, niezależnie od społecznego statusu tworzą ją bardzo różni ludzie, indywidualności, które często nie mają ze sobą niczego wspólnego poza nazwiskiem. Tak było i u Alvenslebenów. Hrabia Joachim, właściciel pałacu w Ostromecku, miał dwóch synów, z których młodszy, zwany „Lulu”, owoc jego małżeństwa z polską hrabiną Katarzyną Bnińską, czuł się Polakiem i był aktywnym członkiem polskich organizacji patriotycznych oraz kapralem 69 Pułku Strzelców Gnieźnieńskich. Starszy, zwany „Tito”, adoptowany przez hrabiego Joachima paniński syn jego żony był fanatycznym hitlerowcem, zbrodniarzem wojennym, mającym na sumieniu życie wielu

mieszkańców Ostromecka i okolic. O tym, jak zajadłym był nazistą, świadczy fakt, iż doprowadził do aresztowania i wywiezienia do obozu koncentracyjnego w Dachau swego ojca, który był uczciwym ziemianinem i lojalnym obywatelem polskim. Mimo oddania hitlerowskiej sprawie „Tito” nie zrobił w wojsku kariery, nie uzyskał wysokiego stopnia oficerskiego, więc by ostatecznie rozprawić się z ojcem, udał się po pomoc do swego prominentnego kuzyna, siejącego śmierć w Bydgoszczy, generała Ludolfa von Alvensleben, i razem z nim, dodatkowo wsparty uzbrojonym oddziałem wojska, wyprowadził starego hrabiego z pałacu.

Fala różnych emocji, które przetaczały się przez jego umysł i serce, zaskoczyła samego Guntrama. Wreszcie poznał nazwisko swego ojca. Już od dawna był przekonany, że nie był nim Hermann Weber. Wiedział natomiast mniej więcej od dwóch miesięcy, od wizyty w Archiwum Federalnym, gdzie szukał Webera, że jego ojcem chrzestnym był Heinrich Himmler. Potwierdzono tam bowiem jego przypuszczenia związane ze znalezionym srebrnym kubkiem. Miał podstawę, by sądzić, że ojciec też musiał być oficerem SS. Gdy wujek rozpoznał w mężczyźnie z poznańskiego gospodarstwa wysokiego rangą oficera, wszystko jakoś zaczęło się logicznie układać. No i teraz jest, jest nazwisko. Fakt, że jakiś tam Alvensleben stoi za okrutną dla Polaków konwencją, nie oznacza niczego. Może to być przecież inna rodzina o tym samym nazwisku, poza tym w każdej rodzinie są różni ludzie, a to było już tak dawno temu. W armii niemieckiej też byli różni, a ilu straciło życie, bo nie popierali Hitlera... Nie mógł zatrzymać potoku



bombardujących go myśli, więc postanowił zadzwonić do Anji. Ona tak go wspierała w poszukiwaniach.

– Halo!

– Poznałem nazwisko.

Anja nie kojarzyła nazwiska z nikim ani z niczym. Musiał je dokładnie przeliterować.

– Guntram, zdobyłeś wreszcie klucz do zagadki.

Była podniecona, słyhać było, że cieszy się ze względu na niego.

– Zadzwoni rano, poszperam, może coś znajdę.

Trudno mu było doczekać rana. Na spanie w ogóle się nie nastawiał. Po tylu latach – fakt, że nie zawsze tak samo intensywnie zajmował się tą sprawą – wreszcie poznał nazwisko ojca. Już nie musiał używać słowa prawdopodobnie, lecz mógł mówić wprost – mój ojciec Ludolf Alvensleben... Dla większości ludzi to naturalne, dla niego nie. W dodatku dzięki fotografiom w albumie wiedział już mniej więcej, jak ojciec wyglądał. Całkiem sympatycznie... Zdjęcie było robione bardzo dawno temu, to fakt, ale niektórzy ludzie mało się zmieniają. Czy jego ojciec żyje, a jeśli żyje, to... Dość, powstrzymał napływ kolejnych pomysłów. Anja pewnie już coś wie.

– Guntram, jak się czujesz? – spytała z troską.

– Dobrze – odpowiedział pewnie, choć po przeżyciach i nieprzespanej nocy nie był w najlepszej formie.

– Z tego, co udało mi się znaleźć, to sprawa wygląda tak: w SS służyło trzech Alvenslebenów. Dwóch z nich to byli

funkcjonariusze niskiej i średniej rangi, ale, jeśli dobrze pamiętam, ten powinien być oficerem...?

– Tak.

– No więc – na chwilę przerwała – no więc ten trzeci rzeczywiście był oficerem, najwyższym oficerem, bo generałem.

W tym momencie Guntram przypomniał sobie, jak kiedyś ojczym powiedział coś, czego wtedy nie rozumiał – ciekawe, co by powiedział na to generał, czy coś takiego...

– Jesteś tam?

– Tak, tak, zamyśliłem się.

– Jeśli to ten generał – zawiesiła głos. – Guntram, stoisz czy siedzisz?

– Stoję.

– No to usiądź i przygotuj się, że to nie będzie dla ciebie najprzyjemniejsza wiadomość.

– No mów wreszcie! – sam nie wiedział, czy chce to usłyszeć, ale na pewno chciał mieć to już za sobą.

– Więc to był zbrodniarz wojenny. Widziałam film o nim, dokument... – Słysząc było tylko głośne przełknięcie śliny.

– Guntram...

– Tak?

– On zabił trzydzieści tysięcy Polaków.

Nie był zdolny do dalszej rozmowy. Poprzedniego dnia wreszcie dowiedział się, kto był jego ojcem. Cieszył się, naprawdę się cieszył. A teraz otrzymuje informację, że ten jego wyśniony ojciec był okrutnym zbrodniarzem. To za

dużo jak dla niego, i to z dnia na dzień. „Ale musisz się trzymać”, powiedział sobie. „Musisz to przetrwać”. Szybko wyruszył do Berlina. Nie pamiętał nawet, czy pożegnał się z ojczymem. Postanowił sam wszystko sprawdzić i udał się do Archiwum Federalnego. Nie było już kłopotu z wyszukiwaniem, bo znał nazwisko. Ilość dokumentów była imponująca, a ich zawartość porażająca. Mimo tego nie mógł się od nich oderwać, bo przecież dotyczyły jego ojca. Był wstrząśnięty, ale postanowił, że musi przejrzeć wszystko, zapoznać się ze szczegółami.

Uczył z tej kwerendy swoisty akt oczyszczenia, jego, tylko jego bardzo osobiste *katharsis*. Pojechał do Ludwigsburga, gdzie znajdowała się Centrala Badań Zbrodni Narodowosocjalistycznych. Tam też dokumentów było bez liku, bo nim w 1962 roku został wydany nakaz aresztowania Alvenslebena, gromadzono dowody, które go usprawiedliwiały. Nakaz aresztowania za morderstwa na Polakach. Szczególnie szokująca była dla niego przytoczona wypowiedź generała, którego zapytano o jego zbrodnie:

„No tak, coś tam było na samym początku... Było tam trochę na samym początku, ale mało...”

To „mało” oznaczało trzydzieści tysięcy istnień. Załamany Guntram postanowił brnąć dalej. Zdecydował, że dobrze by było dotrzeć do ludzi, którzy znali Alvenslebena osobiście. Udało mu się nawet nawiązać kontakt z jego córką, który przetrwał do dziś. Ona też cierpiała z powodu przeszłości swego ojca, ale najgorsze przeżycia miała już za sobą. Gdy się pierwszy raz spotkali, była zaskoczona podobieństwem Guntrama do zbrodniarza – ich ojca. Niebawem usłyszał tego potwierdzenie. Wybrali się z Anją do miejscowości w pobliżu Halle, gdzie jakiś czas mieszkał Alvensleben.

Umówił się tam z miejscową kronikarką, która miała jakieś dokumenty związane z przestępcą i znała go osobiście, bo była przeszło osiemdziesięcioletnią kobietą. Chciał zadać to pytanie, ale nim zebrał się na odwagę, zadała je Anja:

– Czy widzi pani jakieś zewnętrzne podobieństwo między Guntramem a Ludolfem Alvenslebenem?

– Oczywiście, zobaczyłam od razu, jak wysiadał pan z samochodu; jakbym generała widziała.

Gdy Guntram poznał nazwisko ojca, zastanawiał się, czy on jeszcze żyje, bo może..., wtedy myślał o nim, jak o „normalnym” ojcu. Teraz wiedział już, że „bestia Himmlera” czy „kat Bydgoszczy”, jak go nazywano, zmarł w 1970 roku. Podobnie jak większość funkcjonariuszy odpowiedzialnych za eksterminację ludności Pomorza, nigdy nie stanął przed sądem, uniknął jakiejkolwiek kary. W maju 1945 roku został internowany przez Brytyjczyków w Neuengamme, byłym obozie koncentracyjnym znajdującym się w Hamburgu. Jednak we wrześniu następnego roku zdołał stamtąd uciec i korzystając z pomocy kościoła ewangelickiego przedostał się wraz z rodziną do Ameryki Południowej. Jakiś czas mieszkał w Buenos Aires pod fałszywym nazwiskiem. W 1952 roku otrzymał obywatelstwo argentyńskie i przeniósł się do Santa Rosa de Toay. Przyjaźnił się z dyktatorem rządzącym krajem, Juanem Peronem, więc mimo że w Polsce został zaocznie skazany na karę śmierci, nic mu tam nie groziło. Był nietykalny i dożył swych dni w luksusowych warunkach.

Teraz, po wielu latach od tego wstrząsającego odkrycia, od ujawnienia tajemnicy nurtującej go przez całe dzieciństwo i młodość, Guntram Weber chłodniej, z większym spokojem patrzy na całą sprawę, choć gdy o niej opowiada, w wielu momentach emocje powracają. Okazuje, bo inaczej pewnie się nie da, tylko te najsilniejsze, trudne do ukrycia, a ile jeszcze tkwi głęboko w nim, ilu nie udało mu się przetrwać i na zawsze zatrwały w pewien sposób całe jego życie? Kiedy chce poprawić atmosferę rozmowy, a siebie wprowadzić w lepszy humor, przypomina historię swego polskiego pradziadka, Dymalskiego, mieszkającego w Zdunach koło Poznania, z którego postawy jest bardzo dumny. Gdy w roku 1870 rozpoczynała się wojna prusko-francuska i chciano go wcielić do pruskiego wojska, stwierdził, iż jest Polakiem, a nie Prusakiem, więc w ich armii nie będzie walczył. Przez zamarzniete bagna uciekł do Rosji i tam czekał, aż wojna się zakończy, po czym wrócił, nie wiadomo, czy tą samą drogą, do żony i dzieci.

Na czysto teoretyczne pytanie, co by zrobił, gdyby teraz, jako starszy człowiek, spotkał swego biologicznego ojca, Guntram Weber odpowiada: „Wolałbym, żeby do tego nie doszło. Po tym, jak całe życie poświęciłem na szukanie ojca, powiedziałbym po prostu: Tato, dzisiaj cię poznałem i tego samego dnia się z tobą żegnam” (cytat z wywiadu dla Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku).



Ludolf-Hermann Emmanuel Georg Kurt Werner von Alvensleben, zwany „Bubi”.

*Źródło: Wikimedia Commons*





Wysocy rangą dowódcy niemieckiego Selbstschutzu w Bydgoszczy. SS-Standartenführer Ludolf Jacob von Alvensleben – pierwszy z lewej.

*Źródło: Wikimedia Commons*







„Melduję, że udało nam się unieszkodliwić ponad siedemnaście tysięcy osób, z czego zlikwidowaliśmy ponad cztery tysiące. Melduję, iż zlikwidowaliśmy najbardziej niebezpieczne elementy mogące zaszkodzić nam w przyszłości” – pisał von Alvensleben (po prawej) w meldunku do swego bezpośredniego przełożonego Kurta Daluege.

*Źródło: Wikimedia Commons*



## **Popękane życie**

– Czy to prawda, że jest pan tatą Rafała? – usłyszał Eugeniusz, stając w progu mieszkania sąsiadki, dla której dzieci przyniósł właśnie bożonarodzeniową paczkę ze słodyczami.

Konsternacja, długa chwila krępującej ciszy, kłopotliwej przede wszystkim dla niego. Takiego pytania się nie spodziewał, a już na pewno nie sądził, że może zostać kiedyś zadane wprost. Problem z odpowiedzią był porównywalny do tego, który miał kiedyś sam, gdy latem 1945 roku, w wieku piętnastu lat, wysiadł w środku poznańskiego gruzowiska z amerykańskiej ciężarówki, a raczej został z niej przez żołnierzy lekko wypchnięty i zastanawiał się: „co mam teraz robić?” Na pierwsze pytanie znał odpowiedź, ale jakoś niezręcznie było mu udzielać jej kilkunastoletniej dziewczynce. Odpowiedzi na

drugie szukał długo, zdając się na to, co przyniesie kolejny dzień, uzależniając swoje kroki od bieżącej chwili.

Wyzwoliciele obozu w Bawarii odwieźli go do miejsca, skąd został porwany, nie martwiąc się, czy ma tam gdzie się podziąć, zresztą on sam teraz dopiero mógł się o tym przekonać. Okazało się, że dom, w którym przed wojną mieszkali, już nie istnieje, a o tym, gdzie są rodzice, czy w ogóle żyją, nie miał pojęcia, gdyż z chwilą porwania stracił z nimi wszelki kontakt. Zaczął więc wałęsać się po ulicach, szukać jakichś miejsc, gdzie mógłby spotkać kogoś z dalszej rodziny lub znajomego. Wszędzie ruiny, tu i ówdzie dopalające się zgliszcza, trudno w ogóle było poznać miejsca, w których bywał jako dziesięciolatek. Na szczęście była ładna pogoda i spanie na ławce w parku czy na peronie kolejowym nie groziło chorobą. Nie miał pieniędzy, ale Amerykanie tuż za nim wyrzucili z samochodu sporą paczkę żywnościową, nie był więc głodny i miał siły, by krążyć po mieście w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie postawione w chwili, gdy stanął na poznańskim bruku. Wciąż właściwie jej nie znalazł, ale miał młodzieńczą wiarę w to, że jakoś sama się skryształizuje.

Dużo szybciej, acz ze zdecydowanie większym zażenowaniem, sformułował ripostę na zaczepkę kilkunastoletniej dziewczynki otwierającej mu drzwi. Była przyrodnią siostrą jego syna, Rafała, starszą od niego, pochodzącą z poprzedniego małżeństwa ich wspólnej mamy. Chłopak dotąd o tym nie wiedział, ale w okolicy krążyły plotki, iż tylko cztery mieszkania dzielą go od własnego ojca. Jak to po sąsiedzku, widywali się od czasu do czasu, ale dopiero jasno postawione pytanie przekształciło sporadyczne kontakty w relację rodzicielską. Rafał był

szczęśliwy. Odzyskanie ojca w wieku jedenastu lat nie zdarza się każdemu. Eugeniusz zaś, nie bez trudności, powoli przyzwyczajał się do nowej sytuacji, oswajał się z faktem, że jest ojcem, o czym przecież wiedział, lecz bał się następstw. Stopniowo się poznawali i zadziwiająco szybko, mimo iż Eugeniusz nie potrafił albo nie chciał okazywać uczucia, zżyli się ze sobą. Wydaje się, iż źródłem jego problemów emocjonalnych, w wyniku których nie był w stanie zaangażować się w żaden trwały związek, co dawało się odczuć nawet w kontaktach z dzieckiem, były przeżycia wojenne.

– Kiedy było już tak fajnie, blisko, prawdziwie rodzinnie, tata nagle się wycofywał, rezygnował, zamykał w sobie. Bał się, że to nie może długo trwać, musi się zawalić, więc lepiej, żeby to on sam się oddalił, wymknął się z tej zażyłości, która w pewien sposób może go osaczała, zniewalała. A może raczej nie wyobrażał sobie, że może ona trwać dłużej, stąd wolał jej nie zacieśniać – zastanawia się dziś pięćdziesięcioletni Rafał, wracając wspomnieniami do lat, w których postać odzyskanego ojca odgrywała w jego życiu istotną rolę.

Wątek bojaźni przed stratą, zwątpienia w trwałość wszelkich relacji, niedowierzania słowom, strachu przed niezapowiedzianymi czynami jest wspólny dla większości dzieci uprowadzanych z Polski przez hitlerowski reżim.

Pewnego styczniowego dnia 1940 roku dziesięcioletni Gierek, wysoki jak na swój wiek blondyn o niebieskich oczach, z tornistrem na plecach wracał ulicami Poznania ze szkoły. W domu czekali na niego rodzice i jak zwykle pyszny obiad. Tego dnia czekali bardzo długo, mama wyglądała przez okno, tata wreszcie wyszedł przed dom, by zobaczyć,

czy jednak nie spotkał po drodze jakiegoś kolegi i nie bawił się z nim, straciwszy poczucie czasu. Ale chłopca nigdzie nie było. Pierwsze kroki skierowali do szkoły, gdzie uzyskali informację, iż syna zabrano na jakieś badania.

Polacy zwykle omijali posterunki policji niemieckiej, gdzie przeważnie traktowano ich w typowy dla zaborcy sposób i nierzadko taka wizyta kończyła się zatrzymaniem. Ale co było robić, poszli. Tam stwierdzono, że nie ma żadnych informacji na temat Eugeniusza Glapiaka i poradzono im, by szybko wracali do domu i lepiej pilnowali swego dziecka. Gdy nieprzespana przez rodziców noc jeszcze nie dobiegła końca, bo szary, ponury świt dopiero przeganiał ciemność, usłyszeli łomot do drzwi. W pierwszej chwili pomyśleli z nadzieją, że to może ich syn zdołał dotrzeć do domu, ale wzmagający się hałas i niemieckie okrzyki za drzwiami szybko wyprowadziły ich z błędu. Nie mieli czasu na zabranie czegokolwiek, w kajdankach wyprowadzono ich do stojącej u wylotu bramy ciężarówki.

Poprzedniego dnia odbyła się akcja polowania na dzieci, zbierano je po całym Poznaniu, wyłuskując z domów, szkół i sierocińców, zawożono na dworzec kolejowy, a stamtąd do Kalisza. Wraz z innymi trafił tam też, prosto ze szkoły, Eugeniusz.

„Z polecenia Reichsführera SS organizacja Lebensborn przeprowadza zniemczenie polskich dzieci. W tym celu sprowadza się ww. dzieci do Gaukinderheimu w Kaliszu i tam poddaje się je badaniu pod względem rasowym, genetycznym i psychologicznym. W razie przydatności do zniemczenia umieszcza się te dzieci w odpowiednich zakładach”.

Tym tajnym pismem, znanym tylko nadawcy, ministrowi spraw wewnętrznych III Rzeszy, i adresatowi, namiestnikowi Rzeszy w Kraju Warty, powołano do życia Okręgowy Dom Dziecka (Gaukinderheim) w Kaliszu. Wcześniej z barokowych zabudowań klasztornych należących do nazaretanek wywieziono wszystkie siostry do obozu pracy w Bojanowie koło Rawicza, gdzie w latach 1941-45 więziono sześćset piętnaście zakonnic z dwudziestu siedmiu zgromadzeń. Teraz dysponowano już wystarczającą ilością miejsca, by w zabytkowe mury zwozić porywane dzieci z okupowanego kraju, jak miało to miejsce w przypadku Gienka. Nie przebywały tu długo, gdyż był to punkt przejściowy na ich drodze do okrutnie zaplanowanego przemarodowienia. Zgodnie z kryteriami „chorych na rasę” funkcjonariuszy, Gienek pomyślnie przeszedł wszystkie badania i testy, o czym świadczył fakt, iż esesman przewodniczący komisji selekcyjnej nakazał sekretarce, by umieściła jego nazwisko na czerwonej karcie. Na białej zapisywano nazwiska dzieci, które nie sprostały rasowym wymaganiom.

Selekcja selekcją, ale pozostały czas trzeba było produktywnie wykorzystywać. Nauka niemieckiego trwała kilka godzin dziennie. Zachętą do poznawania języka Goethego i innych „wielkich”, którzy pewnie nie uzyskaliby pozytywnej opinii nazistowskich selekcjonerów, nie były bodźce pozytywne, ale kara, surowa i nieunikniona. Każde polskie słowo otrzymywało jej wymiar w liczbie batów. Starszym dzieciom trudniej było wyzbyć się ojczystego języka, do czego dołączał bunt przeciwko narzuconym rygorom, więc częściej stawały pod pręgierzem.



Dziesięcioletni Gienek nieraz musiał pokutować za swe przywiązanie do polskiego, które wyniósł z domu powstańca wielkopolskiego. Nie wiadomo, jak długo chodził przestronnymi korytarzami kaliskiego klasztoru, w jego refektarzu jadał mętną ciecz z kawałkiem zgniłego ziemniaka w środku, by potem, tak samo głodny jak przed posiłkiem o dumnej nazwie obiad, wspiąć się na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się sale sypialne. Był już za duży, by wierzyć w opowieści wychowawców o ojcach narodu (Hitler, Goebbels, Himmler), których portrety zdobiły ściany refektarza, a którzy, wraz z przekroczeniem przez niego klasztornych progów, stawali się podobno jego troskliwymi opiekunami. Tęsknił do rodziców, których już w tym wieku nie mógł przecież zapomnieć i nie czekał, jak większość młodszych dzieci, na nowych, którzy już szykują się do zabrania ich do domów. Był świadkiem, jak jeden z chłopców, nieco starszy od niego, rzucił zgniłym ziemniakiem w portret Hitlera. Chętnie poszedłby w jego ślady, ale kara, której został poddany obrazoburca, trzy dni w ciemnicy bez jedzenia, skutecznie odstraszała. Nie zakwalifikowano go do adopcji, ale wysłano do Bawarii, do jednej ze szkół z internatem, usytuowanej w zakątku oddalonym od siedzib ludzkich, przeznaczonej dla chłopców. Możliwe, że była to jedna z bogato rozgałęzionej sieci szkół „Napoli” (Narodowo-Polityczne Zakłady Wychowawcze) albo „SS-Junkerschule” (szkoła SS) czy zakład Adolfa Hitlera („Adolf-Hitler-Schule”). Wszystkie one przygotowywały kadry na potrzeby Wehrmachtu i Waffen-SS, a w bliższej perspektywie miały dostarczać na front mięso armatnie.

Eugeniusz dołączył do około stu chłopców różnej narodowości. Był tam jedynym Polakiem. W takiej sytuacji na szybkim opanowaniu niemieckiego zależało nie tylko kierownictwu placówki, ale i uczniom, by mogli się między sobą porozumiewać. Dodatkowymi bodźcami były raczej żywnościowe uzależnione od postępów w nauce, nie tylko języka, oraz bicie i przekraczające wytrzymałość przeciętnego człowieka ćwiczenia nakładane za każde najdrobniejsze złamanie nakazów czy nieprzestrzeganie zakazów. Do obowiązkowych przedmiotów, oprócz niemieckiego, należał angielski oraz historia wiecznej Rzeszy. Ważne miejsce zajmowała również nachalna indoktrynacja. Wmawiano chłopcom, że nastał dla nich przełomowy, decydujący o całym ich dalszym życiu czas, kiedy od gnuśnego przebywania w zastępczych rodzinach mogą przejść do aktywnego, wartościowego życia w ich prawdziwym domu, którym jest narodowosocjalistyczna ojczyzna.

Równie istotne było szkolenie militarne i wyrabianie tężyzny fizycznej. Wszystkich, obowiązkowo, wcielano do organizacji Hitlerjugend. W cienkich mundurkach z krótkimi spodniami odbywali musztrę na świeżym powietrzu, niezależnie od pory roku i pogody. W przemoczonych butach, które na nich wysychały i były potem tak zdeformowane, że trudno było ponownie je nałożyć, uczyli się metod zabijania, bo często trudno to było nazwać walką. Wyrabiali w sobie bezwzględność, a celem było okrucieństwo. Zajęcia, z minimalnym czasem na posiłki, odbywały się od wczesnego ranka do późnego wieczora, kiedy niemal nieprzytomni ze zmęczenia chłopcy padali na łóżka i zasypiali, nie mając nawet chwili, by

o czymkolwiek pomyśleć, nad czymś się zastanowić. To perfidnie przemyślane działanie miało doprowadzić do zatarcia w ich pamięci wszelkich zdarzeń sprzed pobytu w szkole, wręcz do wyeliminowania czasu przeszłego z ich świadomości. Liczyło się tylko to, co robili aktualnie, a więc dążenie do ideału, czyli do sprostania wyzwaniom, które przygotowywała dla nich III Rzesza, bowiem to oni mieli być chlubną przyszłością narodu, który wymaże z mapy świata większość innych.

Czas przebywania w szkole kształtującej charakter przyszłych bestii musiał być dla Eugeniusza, poza nadwątleniem zdrowia fizycznego, przede wszystkim wstrząsem psychicznym. Nie chciał do niego wracać, choć wiele wskazywało na to, że nie wyrzucił go z pamięci. Rzadko udawało się Rafałowi nakłonić go do jakichkolwiek zwierzeń, czego teraz żałuje, wyrzucając sobie, że był zbyt mało przekonujący i konsekwentny w swych namowach.

Przygotowywany do wyjazdu na front, na szczęście się na nim nie znalazł, bo wojna się skończyła i tak, jak do większości tego typu placówek i obozów w tym rejonie, do szkoły wkroczyli żołnierze armii amerykańskiej. Nim to nastąpiło, kierownictwo zakładu zniknęło, przepadło, co nie było trudne w sytuacji, kiedy tłumy przemieszczały się w różne strony świata. Wydawało się, że setka chłopców przebywała w zakładzie sama, z własnej woli i dla własnej przyjemności. Ponieważ uczyli się angielskiego, mogli się jakoś dogadać z wyzwolicielami. Gienek powiedział, że jest z Poznania, dlatego szybko go tam zawieziono.

Błąkał się po mieście długo, aż do wyczerpania zapasów żywnościowych. Gdy wylizał ostatnią amerykańską puszkę, nie spotkawszy nikogo znajomego, na co miał nadzieję, doszedł do wniosku, że powinien udać się na wieś, gdzie może łatwiej bez pieniędzy zdobyć coś do jedzenia. Nie bardzo wiedział, w którą stronę pójść, ale pomyślał, że przecież po przejściu rogatek wreszcie trafi na jakąś wieś. Gdy, solidnie już zmęczony, wędrował wzdłuż szeregu chat, w pierwszej z napotkanych osad zwrócił na niego uwagę jeden z gospodarzy. Odpoczywał na podwórku, chyba pomiędzy kolejnymi czynnościami, których codzienne wykonywanie przypisane było każdemu, kto chciał, aby w jego zagrodzie dobrze się działo. Miał zbyt dużo tych obowiązków i właśnie szukał parobka do pomocy. Gienek nie wierzył własnym uszom. Za mieszkanie i jedzenie miał tylko wypasać krowy. Zgodził się natychmiast, ciesząc się w duchu, że wpadł na pomysł, by opuścić miasto.

Zaczął wieść w miarę ustabilizowane życie, ale często, bo czasu miał na to sporo, dręczyła go kwestia rodziców. Czy przeżyli, a jeżeli tak, to gdzie się znajdują, może uciekali i teraz są gdzieś w świecie, a nie w Polsce, czy są razem, czy każde gdzie indziej? Jeśli żyją, to czy prawdopodobne jest, że ich odnajdzie? Pod wpływem rozważań pytania napływały niczym woda w wartko płynącym, górskim potoku, ale na razie nie było widać szans na znalezienie odpowiedzi. Gienek chciał się uczyć. Wyniósł z domu przekonanie, że wiedza jest ważna i trzeba robić wszystko, by zdobyć jej jak najwięcej. Gdy nastał wrzesień, zapisał się do najbliższej szkoły. Nie zamierzał mówić o tym gospodarzowi, bo miał nadzieję, że tego nie zauważy. Wcześniej rano wyprowadzał krowy na pastwisko, a potem siedział tam aż do zmroku,

kiedy przyprowadzał je z powrotem do obory. Te bezmyślnie tracone godziny zamierzał wykorzystać na naukę. Przez pewien czas wszystko układało się dobrze, ale kiedyś gospodarz, przeważnie rzadko bywający w okolicach szkoły, spotkał go, gdy Gienek z niej wracał. Nie tylko zrobił mu karczemną awanturę, grożąc, że wyrzuci go z domu, ale też dotkliwie go pobił. Na zakończenie kategorycznie stwierdził, że do pasania krów niepotrzebna jest żadna szkoła. Gienek miał jednak inne zdanie na ten temat i po krótkiej przerwie do szkoły wrócił. Doprowadziło to dosyć szybko do kolejnej scysji i rękoczynów, bo chłop baczniej przyglądał się temu, co robi parobek, i wybrał się na pastwisko, by sprawdzić, jak pracuje.

Gdy Gienek podjął decyzję o znalezieniu innego pracodawcy, niesamowitym zbiegiem okoliczności do gospodarza, u którego jeszcze mieszkał, przyjechała z Poznania kobieta, by kupić trochę produktów spożywczych, których w mieście brakowało. Kiedy już za nie płaciła, na podwórzu pojawił się Gienek, a ona od razu krzyknęła zaskoczona:

– Gienio!

Gdy podszedł bliżej, też ją poznał. Była to ciotka Jadwiga, kuzynka, z którą jego rodzina miała przed wojną dosyć bliski kontakt. Nic nie wiedziała o losie jego rodziców, ale postanowiła natychmiast zabrać chłopca do siebie. Nie bronił się, bo i tak zamierzał szukać dla siebie innego miejsca. W Poznaniu bez przeszkód kontynuował naukę. Mniej więcej rok po przyjeździe Eugeniusza z Bawarii do Poznania wróciła jego mama. Gdy stwierdziła, że dom, w którym mieszkali, znajdujący się na terenie koszar, został zburzony, skierowała swe kroki do kuzynki, u której

mieszkał Gienek. Trudno opisać radość i nie sposób zmierzyć, czyja była większa. Kilka miesięcy później dołączył do nich ojciec, ale tylko na chwilę, dla nich po takiej rozłące był to krótki moment, bowiem następnego dnia został aresztowany.

Okazało się, że po zabraniu Glapiaków przez gestapo wysłano ich do Niemiec w dwa różne miejsca. Matka pracowała na wsi w okolicach Hanoweru, a ojca skierowano do obozu pracy koło Hamburga. Bezpośrednią przyczyną ich wywiezienia, ale nie jedyną, była ich interwencja w poszukiwaniu syna. Wcześniej odmówili podpisania volkslisty, a poza tym ojciec, Bartłomiej, brał czynny udział w Powstaniu Wielkopolskim i był przed wojną zawodowym oficerem. Uczestniczył także w kampanii wrześniowej 1939 roku. Walczył w obronie twierdzy Modlin. Od piątego września trwało tam pogotowie, a jedenastego rozpoczęły się ostre walki z Niemcami, mającymi przewagę tak pod względem ilości żołnierzy, jak i uzbrojenia.

Twierdza była nie tylko ostrzeliwana, ale i bombardowana z powietrza. Udało się ją utrzymać przez dwa tygodnie. Dwudziestego dziewiątego, w obliczu kapitulacji Warszawy i wyczerpania amunicji, żywności i medykamentów, skapitulowała. Zginęło tam ponad dwa tysiące polskich żołnierzy. Bartłomiej ocalał i wrócił do Poznania.

Jego bliższa i dalsza przeszłość w oczach nowych, prosowieckich władz stanowiła zagrożenie dla socjalistycznego porządku. Najpierw dokładano starań, by przekabacić go na „słuszną” stronę, a później, gdy okazał się nieczuły na tłumaczenia, przynęty i zachęty, odporny na

delikatne pogrożki i poważniejsze groźby, wytłumaczono mu, że wybrał złą drogę. Zmaltretowanego psychicznie i fizycznie wypuszczono go po kilku miesiącach, ale z nakazem przeprowadzki do mniejszego miasta. Rodzina zamieszkała więc w Głogowie, gdzie Bartłomiej zaczął pracować w elektrowni. Podporządkowanie się dyrektywie nie zniwelowało jednak jego win. Wciągnięto go chyba na stałą listę Urzędu Bezpieczeństwa, bo co najmniej raz w roku przez kilka tygodni był przesłuchiwany i bity. Stopniowo tracił zdrowie, stawał się coraz słabszy.

Eugeniusz uczył się w liceum ogólnokształcącym w Legnicy. Musiał codziennie dojeżdżać z Głogowa, gdzie wówczas nie było jeszcze szkół średnich. Po maturze dostał się do poznańskiej Akademii Medycznej. Wydawało się, że to, co złe w jego życiu, ma już za sobą, a przed nim nauka i praca w zawodzie, o którym marzył. W jego losach wojennych kryje się wiele niewiadomych, znane są one w zasadzie tylko w ogólnych zarysach, co złożyć można by na karb jego niechęci do dzielenia się wspomnieniami i braków w dokumentacji, którą hitlerowcy lubili zafałszowywać lub niszczyć. Mniej oczywistą przyczyną owych „dziur” w jego życiorysie jest natomiast niechęć współczesnych Niemiec do udostępniania archiwów, gdzie zgromadzone są dokumenty, które przetrwały zawieruchę. Rafał, syn Eugeniusza, dla którego tak późno poznany ojciec stał się kimś bardzo ważnym w życiu, próbował do nich dotrzeć, ale bez sukcesu. Natykał się na mur obojętności i niechęci.

– A po co to panu? – słyszał często.

Zamarł wręcz, kiedy jedna z wysoko postawionych urzędniczek z przekonaniem stwierdziła:

– Powinien pan być wdzięczny losowi, że ojciec przeżył. Gdyby nie aryjski wygląd, to poszedłby do gazu.

Wydaje się, że nie ma wytłumaczenia dla faktu, iż nie można dokładnie prześledzić również powojennych losów Eugeniusza, lecz dla ludowej władzy wszyscy „zaplątani” w wojnę zarówno ci zesłani na Sybir, jak i wywiezieni na Zachód, byli podejrzani. Dostawali się pod jej „troskliwą” obserwację, a czasem wikłano ich w dziwne sytuacje. Tak najprawdopodobniej było w przypadku Eugeniusza, w którego powojennej drodze jest tyle znaków zapytania, niedopowiedzeń, nieścisłości, że przypomina ona trudną do rozwiązania zagadkę kryminalną z polityką głębokiego PRL-u w tle. Na trzecim roku studiów wysłano go razem z innymi studentami do Szczecina jako pomoc w przeprowadzeniu kampanii cukrowniczej.

Kampanie te były pod szczególnym nadzorem peerelowskich włodarzy, bowiem pod względem eksportu cukru Polska znajdowała się w światowej czołówce. Gdy przychodził czas zbioru buraków, do pracowników stałych cukrowni doangażowywano przedstawicieli różnych grup społeczeństwa, którzy w ramach prac społecznych uczestniczyli w tak istotnym dla gospodarki krajowej procesie. Często pracę tę zlecano studentom, by zacieśniać sojusz robotników z inteligencją. W październiku, dokładnie nie wiadomo którego roku, w szczecińskiej cukrowni znalazł się Gienek z kolegami. Nim akcja dobiegła końca, oskarżono go, razem z trzema innymi osobami, o zawłaszczenie. Pięćset tysięcy złotych. O możliwości zarabiania na niby społecznie wspieranej kampanii krążyło mnóstwo mniej lub bardziej sprawdzonych opowieści. Najprawdziwsze wydają się te po latach opowiadane przez jej uczestników:



„Pracowałem podczas kampanii jako tzw. procentomistrz – wspomina pan Adam. – To była najlepsza fucha. Miałem za zadanie ustalić jakość buraków z danej dostawy. Inaczej mówiąc, patrząc na burak, ustalałem, ile może mieć w sobie cukru. W zależności od tego, dostawca otrzymywał więcej lub mniej za tonę. Jeśli się nie zgadzał z moją oceną, to robiliśmy badania laboratoryjne. Ale to była rzadkość. Już pierwszego dnia zarobiłem dobrą dniówkę. Niektórzy po prostu wkładali mi pieniądze do kieszeni, żebym wyżej oceniał jakość ich dostawy. Na początku nie chciałem brać, ale potem się okazało, że nie tylko ja tak robię”.

(Magazyn „Dziennika Wschodniego” z 3.12.2017 roku).

Czy Eugeniusz działał podobnie jak pan Adam, czy znalazł inną możliwość łatwego i szybkiego zarobku, czy też w ogóle nie miał nic wspólnego z tego typu procederem? Do dziś nie wiadomo. Wytoczono mu proces, ale papiery, które mogłyby go dokumentować, zaginęły. Wyrok był wysoki – dziesięć lat pozbawienia wolności. Dodajmy, że afer gospodarczych w ówczesnej Polsce nie brakowało; tępiono je zawzięcie i osądzano surowo, włącznie z karą śmierci, którą orzeczono i wykonano w aferze mięsnej. W przypadku Eugeniusza zaginęła nie tylko większość akt procesowych, ale również te z odrzuconej apelacji, wniesionej w 1965 roku. Informacje, które przetrwały, wzajemnie się wykluczają. Przykładów nie brakuje. Karę pozbawienia wolności odbywać miał od 1961 do 1971 roku, tymczasem w Centralnym Zarządzie Służby Więziennej zanotowano, iż przebywał w więzieniu już w 1950 roku, cztery miesiące, i na przełomie 1954 i 55 – dziewięć miesięcy.

Tego typu niejasności jest więcej. Rafał wciąż stara się uzupełniać luki w wiedzy o losach ojca, ale nie po to, by go

wybielić, lecz by dojść do prawdy. Przeszkody, jakie na tej drodze napotyka, skłaniają ku przypuszczeniu, że może mu się to nie udać. Poznał ojca dwanaście lat po odbyciu przez niego kary, a ten nie chwalił się synowi, że tyle czasu spędził w więzieniu. Jak dziś twierdzi, sam nigdy by nie posądzał ojca o taką przeszłość, bo nie odcisnęła ona na nim żadnego piętna. Ani w wyglądzie – nie miał tatuaży – ani w zachowaniu czy języku, gdyż mówił poprawną polszczyznę pozbawioną jakichkolwiek wyrażen slangowych, charakterystycznych dla gwary więziennej.

Eugeniusz zmarł z powodu choroby serca w wieku 61 lat. Już po jego śmierci wścibska, nieżyczliwa im sąsiadka uświadomiła Rafała w tej materii. Twierdziła, iż „siedział” za to, że dokonał nielegalnej aborcji, po której pacjentka zmarła. Wtedy właśnie, wstrząśnięty tym, co usłyszał, Rafał zaczął śledzić losy ojca i dokopał się do zupełnie innego scenariusza. Dodatkowo dowiedział się, że ojciec był zarejestrowany jako tajny współpracownik Urzędu Bezpieczeństwa i z tego ramienia został wysłany do RFN-u, prawdopodobnie ze względu na dobrą znajomość niemieckiego po pobycie w nazistowskim zakładzie wychowawczym. Podobno miał zbierać informacje na temat ludzi ubiegających się o azyl w RFN. Co ciekawe, w paszporcie znajduje się adnotacja – nigdy niekarany.

Delegacja miała trwać dwa lata, a wrócił po trzech miesiącach. Czy nadal kontynuował tę współpracę, czy nieplanowy powrót oznaczał jej zerwanie? Czy był w jakiś sposób szantażowany, na przykład groźbą ponownego zamknięcia w więzieniu? Kiedy zmarł, przez dłuższy czas jego mieszkanie było zaplombowane, a mimo to „nieznany sprawca” dokonał szczegółowej jego rewizji i zniknęły

z niego wszystkie dokumenty i zdjęcia. Pozostał tylko dowód osobisty, który zabrał ze sobą do szpitala. Dla Rafała był to ciężki cios. Jedenaście lat marzył, by mieć ojca, a po ośmiu szczęśliwych latach stracił go bezpowrotnie.

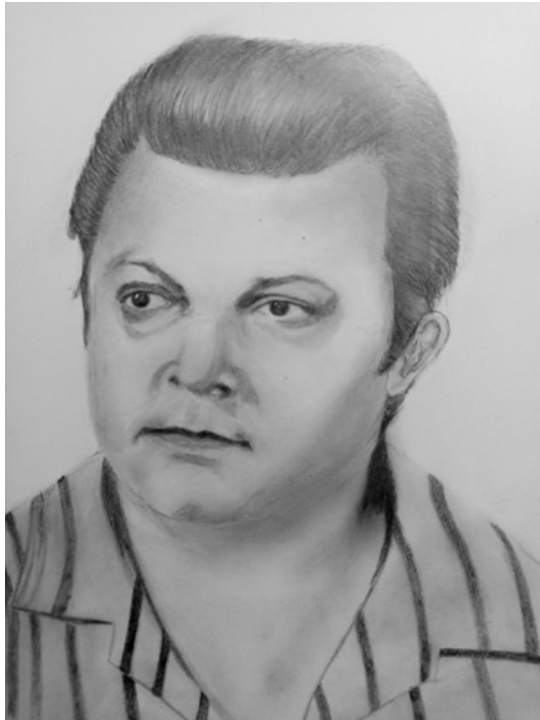
Życie Eugeniusza zawaliło się dwukrotnie. Najpierw, kiedy niemieccy rasiści uprowadzili go z Polski, i potem, gdy winny albo niewinny, to trudno przesądzić z braku dokumentów, które dziwnym trafem nie przetrwały do dziś, choć w międzyczasie żadna wojna nie przetoczyła się przez nasz kraj, na dziesięć lat trafił do więzienia. Oczywiście o powrocie na studia nie mógł już marzyć. By zarobić na życie, imał się różnych prac. Zatrudniony był między innymi w głogowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i w tamtejszym PKS-ie, gdzie kierował działem transportu. Prawdopodobnie nawiązanie kontaktu z synem, który zaowocował głęboką więzią, to jedno z najjaśniejszych wydarzeń powojennych losów Eugeniusza. Trudno oprzeć się refleksji, że ten dziurawy, pełen tajemniczych nieścisłości życiorys, zdeterminowany został dramatycznym dzieciństwem. Jego piętno wyryte głęboko w świadomości nie każdemu udawało się wymazać. Nawet ludzie o odpornej na wszelkie przeciwności psychice, do których Eugeniusz chyba nie należał, mieli z tym problem.





Nastoletni Rafał w czasie kiedy odkrył, że sympatyczny sąsiad jest jego ojcem.





Portret dorosłego Eugeniusza Glapiaka, wywiezionego do Niemiec w styczniu 1940 roku, gdy miał dziesięć lat, wykonany przez syna Rafała.





## **Być człowiekiem**

Nie wytrzymał. Wybiegł z sali, zaszył się w najciemniejszym kącie długiego, słabo oświetlanego korytarza i zaczął bezgłośnie, a może tak mu się tylko wydawało, szlochać. Był roslim, młodym mężczyzną, a trząsał się cały jak przy ataku febry. Starał się skupić uwagę na tym, by nie zwymiotować. Dreszcze widoczne na zewnątrz były niczym w porównaniu do rozdygotania całego wnętrza. O ileż łatwiej byłoby to wytrzymać, gdyby zaczął krzyczeć. Jego świadomość działała jednak na tyle, że zdawał sobie sprawę z tego, iż nie powinien. Nie chciał robić przedstawienia przed tymi różnojęzycznymi ludźmi, których było tak wielu, że w żadnym z pomieszczeń nie mógł być sam.

Początkowo szedł wśród nich bez większych emocji, czasem słysząc ich uwagi, nawet zatrzymując się w tych samych punktach i zgadzając z artykułowanymi przez nich odczuciami. Na twarzach pojawiała się przeważnie

ciekawość połączona z pewnym rozczarowaniem. Jego też dopadło, szczególnie jego, który tyle się naoglądał i naczytał o tym miejscu. Zielone, przyszczyżone trawniki, zachowane w dobrym stanie baraki, niektóre widać świeżo odmalowane, z wyraźnymi numerami... Czysto, ani jednego papierka czy zbędnego liścia, gałązki na ziemi. Porządek, wręcz sterylność, których próżno było szukać w ówczesnych polskich, mniejszych czy większych, miastach. Prycze, znajdujące się w pierwszym bloku, nie miały ogólnego obrazu. Były nienagannie czyste. Dopiero kiedy z ust przewodnika padła informacja, iż na każdym z posłań musiało pomieścić się wiele osób, do wyobraźni Alojzego zaczęły docierać obrazy niewygód, jakim poddawani byli przebywający tu ludzie, nie tak dawno, bo jedenaście, dwanaście lat temu, tym bardziej, iż oprowadzający sam owego dyskomfortu doświadczył.

Właśnie takich bezpośrednich dowodów, bezsprzecznych faktów, od dłuższego już czasu Alojzy poszukiwał. Z każdym krokiem, z każdą kolejną celą, następnym blokiem, namacalnych dowodów tego, co działo się w tym miejscu, przybywało. To nie była opowieść czy najbardziej nawet dokładna relacja, ale spotkanie z rzeczowymi faktami, z przedmiotami, które będąc nieożywionymi, świadczyły i oskarżały. Stosy, całe połacie włosów w różnych kolorach, w wyniku upływu czasu poszarzałych, prostych, kręconych, często przybierających formy roślin kiełkujących z podłoża. Palety pokryte paznokciami, zbiorowiska protez różnych narządów, mrowie okularów, których dwa podstawowe elementy, oprawki i szkła, oddzielone były od siebie, choć zdarzały się też egzemplarze kompletne. Walizki oznaczone nazwiskami i adresami, miliony butów, od obozowych

drewniaków przez damskie czółenka po sandałki dziecięce, oraz zabawki, które towarzyszyły najmłodszym do ostatniej chwili. Wreszcie przejmujące napisy w bloku śmierci, skrótowe, niewyraźne, zatarte, pełne rozpacz, ale i chrześcijańskiej nadziei, pożegnania z bliskimi, ojczyzną, światem.

„Dlaczego mi nie mówili, jak mogli mnie tak oszukiwać? Czy dlatego, że miałem zasilić grono tych przestępców? Czy w tak cieplarnianej atmosferze wychowywali mnie na jednego z nich? Może bawiłem się zabawkami z Auschwitz i nosiłem najlepsze buty stąd zabrane? Czy mogli nie wiedzieć? A gdybym nie podjął tej trudnej decyzji? Czy ja też byłbym zdolny do takiego barbarzyństwa? Czy po wysłuchaniu jednego z utworów Mozarta, wrywałbym ludziom paznokcie albo nawet tylko wydawał rozkaz, żeby ktoś inny to robił? To taki kontrast, jak między paradną aleją tuż za progiem obozu, a jego dalszymi częściami. Może ktoś specjalnie chciał wywołać taki efekt? Czy gdyby wprzęgli mnie w tę niszczycielską maszynę, potrafiłbym zaprotestować? Czy starczyłoby mi odwagi, by przyłożyć sobie pistolet do skroni? Chcę w to wierzyć, muszę w to wierzyć, bo inaczej zwariuję”. Czaszkę Alojzego rozdzierał natłok pytań bez jednoznacznych odpowiedzi, wątpliwości, których, był tego świadom, nigdy się nie pozbędzie. Był poruszony do głębi, panicznie zbulwersowany, ale równocześnie w pewnym sensie zadowolony, uspokojony, bo po raz pierwszy od czterech lat, od momentu, gdy, jak później myślał, pochopnie podjął decyzję o pozostaniu w Rogoźnie, był pewien, absolutnie pewien, że ta decyzja była słuszna. Można sobie wyobrazić, jak trudno mu było po takim przeżyciu wracać w koleżeńskim gronie do

Warszawy, jakby odbył jedną z wielu wycieczek organizowanych przez działające na jego uczelni Koło Zrzeszenia Studentów Polskich. Następujące potem kolejne nieprzespane noce przynosiły jeszcze więcej bolesnych przemyśleń.

Bezsenna prześladowała go niemal przez całe życie, nawet wtedy, gdy udało mu się je ustabilizować i za ścianą spokojnie spała żona i synek. Lęk przed zaśnięciem spowodowany był dwoma konsekwentnie powtarzającymi się snami. W pierwszym jest w mundurze lejtnanta Wehrmachtu i idzie na czele parady zwycięstwa. Jest szczęśliwy, dumny, szczególnie w tym momencie, gdy maszeruje przed uśmiechającym się do niego Hitlerem.

Nagle, jakby ktoś pilotem zmienił kanał telewizyjny, w tym samym mundurze leży w okopie z innymi żołnierzami. Z wyciągniętym do przodu pistoletem prowadzi ich do ataku okrzykiem, który niemal słyszy; zagrzewa ich do boju. Wykrzyczane dźwięki więzną mu w gardle, kiedy czuje silne uderzenie w pierś. W całej klatce piersiowej robi mu się ciepło, coraz cieplej, i z boku, jakby wyszedł z siebie, widzi, że powoli, obracając się wokół własnej osi, z twarzą pogodną, niemal rozpromienioną, osuwa się na ziemię.

Ten sen dopadł go po raz pierwszy w 1948 roku, a więc kiedy miał dziesięć lat, zaraz po dotarciu do Koblencji pierwszego listu od jego polskiej matki. Wrócił właśnie ze szkoły do domu, dokąd wracał zawsze chętnie, nawet od kolegów czy z ciekawej wycieczki, bo otaczała go tam ciepła atmosfera tworzona przez cztery osoby, które kochał i dla których był obiektem codziennej, życzliwej troski. Cicha, czuła i nadzwyczaj opiekuńcza mama, Margarethe z Saary, z którą łączyła go najsilniejsza i najgłębsza więź, babcia

z Alzacji-Lotaryngii, nieco wyniosła i dydaktyzująca, ale także mocno związana z wnukiem, ojciec, błyskotliwie inteligentny, wszechstronnie wykształcony rodowity Bawarczyk, z którego był dumny jak paw, i dziadek z Bad Kreuznach, Prusak całe życie związany z wojskiem. Dziadek i w domu zaprowadzał militarny dryl, którego Alojzy czasem się bał, ale częściej wymagania wносиły w jego wychowanie pozytywne elementy. Nucąc jakąś melodię, wpadł do salonu, a tam cała czwórka siedziała i płakała. Gdy zobaczył, że i po policzkach dziadka, nigdy nieokazującego uczuć, spływają łzy, poczuł się jak sparaliżowany. Zaczął zachodzić w głowę, by odkryć jakąś przewinę, której mógł się dopuścić.

– Ty... ty przecież jesteś naszym Alfredem, nieprawda, powiedz, naszym? – wykrztusił dziadek, przytulając go do siebie z całych sił, co zwykł uważać za babskie zachowanie, niezgodne z jego kanonem wychowawczym.

– Tak jest, ależ oczywiście, dziadku – bąknął chłopiec, nie rozumiejąc niczego z zaistniałej sytuacji, choć przeczuwając, że może mieć dla niego duże znaczenie. Patrzył po innych domownikach, oczekując, że może komuś uda się bez emocji wyjaśnić sprawę. Wreszcie dowiedział się od ojca, który najszybciej doszedł do siebie, że przyszedł do niego list od matki. Znów niczego nie rozumiał, przecież jego mama była tu, z nim, siedziała naprzeciwko, patrzyła na niego, po co miałyby pisać do niego list? „Czy oni tu wszyscy powariowali” – myślał coraz bardziej przerażony.

– Ten list jest od twojej matki z Polski – dodaje niepewnie, jakby drżącymi ustami ojciec.

Alojzy od początku wiedział, że został przez rodzinę Binderbergerów adoptowany, nie ukrywali tego przed nim.

Dziadek nawet często śmiał się, mówiąc, że w tej Polsce, gdzie się urodził – w dokumentach figurował Posen – jego rodzina zostawiła mu może w spadku jakąś nieruchomość, jakiś ziemski majątek, i jak się to wszystko skończy, będą razem po nim cwałować. Uwielbiał konie, co przekazał Alojzemu. W tychże dokumentach, obok miejsca urodzenia, podana była informacja, że jego ojciec był wysokim oficerem SS, zamordowanym przez polskich bandytów, a matka zmarła przy porodzie. Nie miał więc do kogo tęsknić, choć kiedy w niemieckim sierocińcu czekał na adopcję, marzył, by przyszedł po niego oficer, najchętniej Luftwaffe albo SS. Dawno już o tym wszystkim zapomniał, może nie tyle zapomniał, co wyrzucił ze swej świadomości, bo był przez minionych pięć lat, a to epoka w życiu małego dziecka, traktowany jak rodzony syn, a ten historyczny szczegół nie był mu do niczego potrzebny. Wcześniej..., czy było jakieś wcześniej? Tak, świadczyły o tym dwie, niezwiązane ze sobą w żaden sposób, sekwencje. Babcia, starowinka, stoi na ganku domu otoczonego drzewami i różnokolorowymi kwiatami, a na kilku schodkach do niego prowadzących jest jakiś chłopiec, dużo od niego wyższy – kolega, brat, kuzyn? Druga scena rozgrywa się w nocy i zdecydowanie lepiej ją pamięta. On – mały, pięciolatek – siedzi na stole, matka go ubiera. Ona płacze, choć chce wmówić dziecku, że nic złego się nie dzieje, bo pojedzie do wujka na wieś. Jakieś „wcześniej” więc było, ale teraz to dla niego bez znaczenia.

– Ona pisze – ciągnął niepewnie ojciec – że jesteś Polakiem, a nie Niemcem, i nie nazywasz się Alfred Binderberger, ale Alojzy Twardecki.

Tego było za wiele. Chłopak wrzasnął z nieukrywaną wściekłością:

– Ja nie jestem Niemcem..., ja mam być Pollacke...!  
Bzdurna gadanina... Ja Polakiem, ha, ha, ha!

List był gruby, z fotografią matki w środku. Wziął go do ręki, wyjął zdjęcie, przedarł na pół, po czym wszystko wyrzucił do kosza, co spotkało się z niezadowoleniem babci.

– Ależ Alfredzie, mógłbyś go przynajmniej przeczytać!

Alojzy starał się udawać, że to wszystko go nie obeszło, zabrał się do odrabiania pracy domowej, ale od tego dnia ten pierwszy sen często go męczył. Kiedy zaczął nachodzić go drugi ze snów, nie wie, nie odnotował czasu jego pojawienia się, ale być może wyprzedził nawet pierwszy. Matka, kobieta o pięknych blond włosach, ojciec, w galowym mundurze, pies i wiele walizek, wszystko znajduje się w samochodzie, Za kierownicą ojciec. Spokojną, monotonną dla dziecka jazdę przerywa huk. Padają strzały. Pisk hamulców, słyszy te dźwięki. Ojciec zwisa na kierownicy, brzmi przerażony krzyk matki, samochód przewraca się na bok, on wypada na ulicę i płacze. Chwila ciszy, potem odgłosy kroków, rozmów i głośne zawołanie – dziecko żyje! Ktoś go podnosi z trotuaru.

Umiał grać, robił to chyba na potrzeby tych czworga kochających go, a jemu drogich ludzi. W nocy wstał po cichu z łóżka, wyszukał w koszu z wściekłością podarte zdjęcie, na szczęście tylko na dwie połówki, by nie zapalać światła, podszedł do okna, stanął za firanką. Noc mu sprzyjała, była księżycowa, i drżącymi rękami przyłożył do siebie dwie części fotografii. Długo i wnikliwie się w nią wpatrywał. Ta ładna kobieta z ciepłym, jak mu się wydawało, serdecznym uśmiechem na ustach, miałyby być

jego matką? To niemożliwe, przecież ona ma czarne włosy, nie jest blondynką, jak ta pani z jego snu. Dotąd był przekonany, choć rzadko o tym myślał, że śni mu się poprzednia mama, choć logicznie rzecz biorąc, to nie mogła być ona, gdyż wedle dokumentów, zmarła przy jego porodzie. No tak, ale ktoś go ubierał na tym stole... – zrobiło mu się zimno, na palcach podbiegł do łóżka i bezszelestnie wsunął się pod kołdrę, a potargane zdjęcie włożył pod poduszkę. Nie mógł zasnąć, bo zaczęły bombardować go wspomnienia związane, jak mu się wydawało, z tym, co miał pod poduszką. Ta pani, która go ubierała, potem go dokądś prowadziła, było bardzo ciemno, szli jakąś drogą schodzącą stromo w dół, ale oprócz niej byli jeszcze jacyś mężczyźni. Szli wzdłuż długiego muru, po którym biegł szybko, wręcz pędził ogromny wilk, i tego chłopiec przestraszył się najbardziej.

Potem znalazł się nagle, już bez tej pani, w pociągu, którym jechało bardzo dużo innych dzieci. Nie zwracał na nie uwagi, tylko płacząc, wzywał mamę. Tu znów obraz się urywał. Teraz nie był już w pociągu, ale biegł wzdłuż szyn kolejowych, które ciągnęły się w ciemnym, niemającym końca tunelu. Dalej krzyczał „mamo”, co odbijało się echem w czarnej otchłani. Raptem jak spod ziemi dołączyła do niego dziewczyna z długimi blond warkoczami i przyrzekła, że zaprowadzi go do mamy.

I znów przerwa, po której znalazł się w okazałym, całym zielonym – bo wszystkie jego ściany porośnięte były dzikim winem – domu, wraz z tymi dziećmi, które jechały z nim pociągiem. Siostry w dużych czepkach podzieliły ich na grupy wedle wieku. Siostry były bardzo miłe, a on, z tego co zapamiętał, był ich beniaminkiem, i to mu się podobało.



Pomagał w roznoszeniu jedzenia, dzięki czemu często dostawały mu się najlepsze kąski. Tam wszystkim zmieniono imiona. Alojzy stał się Alfredem i trzeba było to koniecznie zapamiętać. Najgorsza była pierwsza noc. We wspomnieniu dopiero wieczorem zobaczył, że nie jest tam sam, ale z dużo starszym kuzynem – Leonem, który został przydzielony do innej grupy. Gdy młodszym dzieciom kazano iść spać, Alojzy-Alfred zrobił awanturę, że nie będzie spać bez Leona. Musiał głośno krzyczeć i ostro bronić swej sprawy, skoro w końcu wyrażono zgodę na to, by chłopcy spali razem. Tuż przed zaśnięciem Leon dał Alojzemu papierowe fenigi.

Rano okazało się, że Leona już w łóżku nie ma, bo starsze dzieci w nocy dokądś wywieziono. W tym domu i młodsze dzieci nie przebywały długo. Znow załadowano je do pociągu, którym tym razem jechały bardzo daleko, bo podróż ciągnęła się w nieskończoność. Wysiedli w dużym mieście. Nowy dom nie był spowity zielenią, ale też prezentował się całkiem nieźle. Był duży, w wielu miejscach oszklony, więc sprawiał wrażenie jasnego, pogodnego. Alojzy zdziwił się, bo przed budynkiem stało mnóstwo wózków dziecięcych; i takich głębokich, dla niemowlaków, i takich dla nieco starszych dzieci.

Weszli na podwórze, gdzie również przywitały ich siostry, ale inne, całe w bieli, i funkcjonariusze w brunatno-czarnych mundurach i czapkach ze srebrnymi trupimi główkami. Zaczęło się od wojskowego drylu, co chłopcom się podobało. Musieli ustawić się w szereg, kolejno odliczać, a potem oddzielono od nich dziewczynki, a ich podzielono na cztero- lub pięcioosobowe grupy i zaprowadzono do pokoi. Alfredowi przypadł w udziale pokój czteroosobowy.

Przy łóżkach leżały ubrania z bielizną osobistą włącznie, a wszystko, co mieli na sobie, musieli oddać. Papierowe fenigi też zostały zarekwirowane, mimo sprzeciwu i płaczu chłopca. Po kąpieli i przebraniu w nowe rzeczy zaprowadzono ich do ogromnej, wypełnionej długimi stołami jadalni, gdzie czekało już jedzenie.

Od tego momentu nie tylko musiał używać nowego imienia, ale nadano mu również nowe nazwisko. Stał się Alfredem von Hartmannem i utrwalanie tego faktu odbywało się codziennie podczas apeli. Każdy też poznawał „nową” historię swej rodziny, stąd wiadomość, którą długo pielęgnował, że jego ojciec, obertsturmbannführer SS, zamordowany został przez polskich bandytów, a matka zmarła przy porodzie. Alfred w miarę szybko zapamiętał wszystko i przystosował się do nowych warunków, choć lekko nie było. Wiele utrapień przynosiło hasło zawieszone przy wejściu do sierocińca – Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

To nie była czcza sentencja, lecz podstawowa norma wychowawcza, ściśle przestrzegana naczelna zasada dydaktyczna. Alfred odczuł to na sobie wyjątkowo dotkliwie. Jeden z trzech chłopców, z którymi mieszkał w pokoju, Jurgen, cierpiał na nocne moczenie. Stosowana reguła część odpowiedzialności za tę przypadłość przenosiła na jego kolegów, co sprowadzało się do obowiązku budzenia Jurgena kilka razy w nocy, by mógł skorzystać z nocnika. Przeważnie dzieci po wyczerpującym dniu zasypiały kamiennym snem i nie były w stanie sprostać zaleceni. Rano zarządzano więc bicie.

W dostępnym dla wszystkich grafiku każda przewina była dokładnie wyceniona, a najłagodniejszym wymiarem kary

było sześć razy na gołą pupę. Przesłupstwo przez nich popełniane skutkowało dwunastoma batami. U wejścia do każdej sali, w najbliższym kącie przy drzwiach, stała wysoka komoda, nad którą wisiał bambusowy kij. Winowajca musiał wdrapać się na mebel, podciągnąć z tyłu koszulę i razem z wszystkimi głośno liczyć uderzenia. Jeśli tak się nie działo albo, nie daj Boże, któryś z obserwatorów zaśmiał się, procedurę zaczynano od początku. Zmaltretowani malcy, najczęściej głośno płacząc, biegli potem pod prysznic, na który przeznaczano zaledwie dziesięć minut, i również biegiem wracali, by nie spóźnić się na poranny apel, za co przecież groziłaby kolejna kara. Podczas apelu czasami zarządzano śpiew chórny albo wyznaczano kogoś do solowego występu. Najczęściej w obydwu wykonaniach można było usłyszeć hymn narodowy *Deutschland, Deutschland über alles*, którego znajomość była obowiązkowa. Alfred, tak jak i w poprzednim miejscu, był pupilkiem wszystkich, a to dzięki blond lokom i niebieskim oczom. Wciąż słyszał, nie bardzo wiedząc, co to znaczy, że ma supernordycki wygląd. Lekarz opiekujący się dziećmi często mówił:

– Będzie z ciebie kiedyś dobry oficer.

A zadowolony z pochlebstw chłopiec odpowiadał:

– Chcę zostać oficerem SS, tak jak mój ojciec, i umrzeć za naszego drogiego führera.

Wtedy proszono go, by zaśpiewał jakąś patriotyczną pieśń, po czym dostawał cukierek i pozwalano mu iść się bawić. Zabawa nie była, jak to zwykło się uważać, czasem wolnym dla dzieci, możliwością swobodnej realizacji swych upodobań. Ona również podlegała ścisłemu planowi,

szczegółowym dyrektywom. Bawić się można było wyłącznie w żołnierzy, którzy wyznaczone mieli konkretne zadania. Najczęściej kazano im atakować pozycje wroga, które zaznaczano razem zestawianymi ławkami i krzesłami, przy czym ci, na których mieli napadać, zawsze byli tchórzliwi, nic nie warci, reprezentujący rasę „podludzi”. By zabawę uczynić bardziej ekscytującą, niosącą ze sobą emocje, mobilizującą do wysiłku, przewidywano, tak jak w prawdziwym wojsku, awanse na poszczególne stopnie militarnej kariery albo odznaczenia. Nagrody wręczał autentyczny wojskowy, gruby major bez oka i ręki, który pełnił w sierocińcu funkcję wychowawcy wojskowego.

Chłopcy uwielbiali jego opowiadania o froncie wschodnim, na którym walczył i odniósł rany, które uczyniły z niego inwalidę. W ciszy, z błyszczącymi oczami i otwartymi buziami słuchali, jak kładł pokotem śmierdzących „Iwanów”, których trupy układać można było w stosy. Żadne niemieckie zwycięstwo nie uchodziło uwadze kierownictwa ośrodka, fetowano je razem z dziećmi, które dostawały wtedy dodatkowe ciastka. Razem słuchano też przemówień ukochanego führera, w czasie których wznoszono gromkie okrzyki „Heil Hitler”. Młodszy zazdrościli wtedy starszym, z których dwójka wybranych pewnie w nagrodę chłopców stała tuż pod głośnikiem w mundurach Hitlerjugend. Alfred, jak inni, patrzył zawistnym okiem na te piękne ubrania, a szczególnie na noże zawieszane przy boku. Major nie zawsze jednak rozdawał nagrody i ciekawie opowiadał. Miał dni, kiedy był zły, zdenerwowany, wszystko go irytowało i tę swoją wściekłość, najczęściej spowodowaną nadmiarem alkoholu, wyładowywał na chłopcach.

– Banda cywilów, tchórzliwe psy, nigdy nie będziecie warci nosić munduru naszego führera! – grzmiał, a echo roznosiło to po całym budynku i jego okolicach.

Niestety, na krzykach się nie kończyło. Na niedużych wzniesieniach okalających budynek chłopcy przechodzili wtedy musztrę. Musieli skakać z wyciągniętymi rękami, w których trzymali drewniane karabiny, tak długo, aż z wyczerpania padali na ziemię. Major realizował w ten sposób swój zamiar, który obwieszczał na początku ćwiczeń:

– Nie pozna was rodzona matka!

Za matką, ojcem, rodzicami tęsknili tam wszyscy, tym bardziej, iż wciąż im wmawiano, że niebawem pojawią się „nowi” rodzice. Gdy więc mijał kolejny, męczący dzień i gaszono światła w pokojach, oprócz płaczu tych fizycznie i psychicznie najsłabszych, słychać było dziecięce szepty, nieśmiałe opowiadania o wymarzonych rodzicach, stojących tuż-tuż za progiem. Najgorętsze rozmowy prowadzone były w sobotni wieczór, gdyż w niedzielę przychodziło najwięcej tych cioć i wujków, którzy przechadzali się po domu i oglądali ich jak zabawki umieszczone na wystawach sklepów. Z pewnością dla niektórych była to sytuacja trudna do zaakceptowania, ale nadzieja na wreszcie własny dom była tak nęcąca, że byli gotowi znieść wszystko.

Najszybciej poszli do domów, i to rzeczywiście własnych, „starych” domów, ci, których rodzice, choć wcześniej mówiono, że zginęli, zgodzili się zostać volksdeutscheami. Po wielu przykrych niedzielach, kiedy nikt się nim nie interesował, nadszedł i dla Alfreda dzień radości. Podszedł do niego wysoki blondyn, w dodatku w mundurze

lotniczym, z błyszczącymi patkami oficerskimi na kołnierzu. Ojciec marzeń wszystkich chłopaków! Na piersi kilka orderów, w tym Żelazny Krzyż pierwszej klasy. Alfred, przyzwyczajony do tego, że wciąż o czymś śnił, teraz też myślał, że to nierzeczywistość. Temu wzorowi bohatera towarzyszyła żona, ładna blondynka, i starsza pani – matka. Wybrali jeszcze dwóch chłopców i w tym dużym, sześćoosobowym towarzystwie, udali się na spacer. Mniej więcej po godzinie już tylko Alfred szedł dalej z nimi. Cały czas rozmawiali. Chłopiec był niezwykle elokwentny, bo wydawało mu się, że w ten sposób zjedna sobie przychylność, a tak bardzo chciał móc powiedzieć do tego wspaniałego oficera: tatusiu, wziąć go za rękę, przytulić się do niego.

Opowiadał więc, co wiedział o swoich nieżyjących rodzicach, złorzeczył Polakom, którzy zamordowali jego bohaterskiego tatę, wyrażał podziw dla poczynań führera, już sam nie wiedział, co jeszcze ma zrobić, by zasłużyć sobie na takich rodziców. Pułkownik słuchał, przypatrywał mu się z uwagą, ale na jego twarzy malowało się znużenie, a nawet cień niezadowolenia. Skonfundowany chłopiec wykrzesał więc z siebie jeszcze większy entuzjazm, by chwalić zbrojne czyny niemieckiej armii. W pewnej chwili oficer przerwał mu w pół zdania, prosząc, by oddalił się od nich, gdyż musi porozmawiać z dwiema towarzyszącymi mu paniami na osobności. Alfred odszedł na tyle daleko, że nie słyszał, o czym mówiono, choć starał się wychwytywać poszczególne słowa, był tylko pewien, że różnice zdań powodowały, iż dyskusja stawała się coraz głośniejsza. To, co usłyszał, gdy wrócił do ławki, na której przysiadła żywo

rozmawiająca trójka, sprawiło, że zastygł i nie był pewien, czy uda mu się ruszyć z miejsca.

– Wkrótce jadę na front – mówił oficer, chyba celowo nadzwyczaj ciepłym, przymilnym głosem. – Nie wiem, czy wrócę. Dlatego nie mogę ryzykować zostawienia bez męskiego wsparcia dwóch kobiet z dzieckiem.

Ta krótka wypowiedź, będąca zresztą w niezgodzie ze stanowiskiem kobiet, co było widać po ich minach, sprawiła, że runął cały, na razie tylko wymarzony świat Alfreda. Za wszelką cenę chciał powstrzymać cisnące się do oczu łzy, zaciskał wargi, by nie wybuchnąć głośnym szlochem. W głowie mu szumiało i wydawało mu się, że się zsuwa, błyskawicznie spada w przepaść bez dna. Wrócili razem do sierocińca, kobiety, żegnając się z nim, miały łzy w oczach, a niedoszły ojciec wyprężył się służbiście tak, że ordery, ocierając się o siebie, wydały dźwięki przywołujące na myśl brzmienie dzwonków z zaprzęgu świętego Mikołaja. Klepnął Alfreda w ramię i powiedział:

– No, jesteś przecież dzielnym chłopcem.

Alfred zaraz po wejściu do swego pokoju wyrzucił wszystkie słodczy, które dostał od gości, nie próbując nawet kawałka. Płakał przez całą noc, rzucając się na swym łóżku. Rano okazało się, że ma wysoką temperaturę. Chorował przeszło dziesięć dni, a gdy zaczął brać udział w zabawie, był najbardziej zawzięty i bezwzględny w atakach, co przyniosło mu kilka odznaczeń od majora. Po kilku tygodniach od tego przykrego wydarzenia Alfred z dwoma kolegami został wezwany do gabinetu siostry przełożonej, gdzie znajdował się średniego wzrostu mężczyzna o ciemnych, kędzierzawych włosach

i dobrotliwym wyrazie twarzy. Nie była to niedziela, więc chłopcy nie wiedzieli, w jakim celu przybył do ich sierocińca. Okazało się, że chce ich wziąć na spacer.

„O nie”, pomyślał Alfred, „znowu! nie chcę drugi raz tego przeżywać, w dodatku on jest cywilem!”

Mężczyzna był ubrany w garnitur i tylko mały znaczek w klapie marynarki z napisem NSDAP świadczył o jego partyjnej przynależności.

„Banda cywilów to nie dla mnie, to nie to, co tamten, eh!”, chłopiec w myślach rozważał sytuację, ale to westchnienie wyrwało mu się z ust i na moment zawisło w ciszy panującej w gabinecie.

Po raz drugi nakłaniany przez siostrę, by wziął udział w spacerze, uległ, myśląc, że może mężczyzna zostawił mundur w domu? Poszli do kawiarni, gdzie mogli zamówić, co chcieli w nieracjonowanych ilościach. Ciastka, lemoniada, znów lemoniada, ciastka, pławili się w tych rzadko dostępnych przysmakach. Przyjemność z jedzenia psuła Alfredowi tylko jedna sprawa. W lokalu grała wojskowa orkiestra, siedzący przy stolikach też byli w mundurach, wyjątek stanowił jedynie ich dobrodziej. Chłopiec wstydził się, że jest w towarzystwie jedyne cywila. Nie mógł dłużej wytrzymać, by nie zadać pytania:

– Czy pan także jest oficerem?

– Jestem inżynierem – mężczyzna uśmiechnął się jakby nieco zakłopotany. – Obecnie nie służę w wojsku, ale podczas pierwszej wojny światowej byłem podporucznikiem w taborach.

Odpowiedź ta nieco uspokoiła Alfreda.



„No więc nie taki całkowity cywil” – pomyślał. „Walczył, a teraz jest w rezerwie. No, może być. Pewnie ma gdzieś w szafie mundur.”

Stopniowo chłopiec był w coraz lepszym nastroju, a gdy opuszczali kawiarnię, by pójść do parku i ZOO, rozchmurzył się całkowicie. Czas spędzony z, jak się okazało, niezwykle sympatycznym panem minął szybko, zbyt szybko, ale pan obiecał, że następnego dnia pójdą na kolejny spacer. Przykre doświadczenie nie pozwalało Alfredowi całkiem w to zapewnienie wierzyć, ale w jego sercu zapaliła się iskierka nadziei, że może... tym razem...

Dorośli już Alojzy nieraz wspominał, że trudno jemu samemu się nadziwić, jak szybko w czasie trudnego dzieciństwa potrafił przyswajać sobie pewne rzeczy, a inne błyskawicznie zapominać, szczególnie, gdy były nieprzyjemne, złe, przygnębiające. Prawie nie spał, bo nie mógł się doczekać następnego dnia. Pierwszy stawiał się na apelu, pierwszy skończył jeść śniadanie, a potem pozostało już tylko czekać. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce do pokoju wkroczyła siostra z wiadomością, że wyczekiwany pan przyszedł, aby zabrać go na spacer. Tym razem szli tylko we dwójkę, co już nastrajało chłopca pozytywnie – „wygrałem z tamtymi dwoma!”

Spędzili razem cały dzień. W tej samej kawiarni już Alfredowi nie przeszkadzało, że pan, w duchu nazywał go nawet „tata”, nie nosi munduru. Wypytywał o szczegóły związane z życiem codziennym w sierocińcu, a sam opowiadał, że mieszka w dużym, ładnym domu z ogrodem, który znajduje się nieopodal rzeki Ren, i że w tym domu mieszka jeszcze żona i jej rodzice, a także pies, który nie ma się z kim bawić, więc czeka na jakiegoś blond chłopczyka,

z którym by się nie nudził. Po tej opowieści padło jakby mimochodem pytanie wręcz zasadnicze, ale będące jakby jej składową, stąd nie od razu dotarło do świadomości Alfreda.

– Jeśli wyraziłbyś zgodę, chętnie wziąłbym cię do domu na zawsze –powtórzył mężczyzna pytanie w nieco innej formie.

Chłopiec rzucił mu się na szyję z głośnym okrzykiem „tato, tatusiu!” Ścisnął go i nie chciał puścić. Tak mocno przytuleni skierowali się ku sierocińcowi. W godzinę przygotowano chłopca do drogi, bo jego tata, jak lubił wymawiać to słowo, chciał go zabrać tego samego dnia, od razu. Była noc. Szybko dotarli do dworca i wsiedli do zatłoczonego pociągu. Przed nimi była daleka droga, ale Alfred bał się zasnąć, by tata go nie zostawił. Wciąż nie był pewny, ciągle nie do końca wierzył w swoje szczęście. W końcu zmęczenie wzięło górę nad zapobiegliwością. Obudził się z głową na kolanach taty. Był szczęśliwy. Znowu mocno się do niego przytulił. Ktoś z pasażerów stwierdził:

– Ależ syn jest do pana podobny!

Chyba obydwaj poczuli radość. Około południa na dużym dworcu przesiedli się do innego pociągu, którym jechali już krótko, zaledwie kilka minut. Stanęli przed zieloną, żelazną furtką i tata nacisnął dzwonek. Brama się otworzyła i wybiegł z niej czarny, śmiesznie podskakujący i wesoło szczekający pies. Szli schodami w górę, a Alfred czuł się, jakby wstępował do krainy baśni. Po obydwu stronach rozpościerały się całe łąny najrozmaitszych kwiatów, których wielobarwność sprawiała wrażenie roślinnej tęczy. Całość terenu okalał gęsty żywopłot złożony z różnych odmian róż. Mimo że wszystko tu było dla niego nieznaną, nowe, czuł w swoim wnętrzu ciepło, jakąś nieznaną

wcześniej czułość do tego świata i znajdujących się w nim ludzi.

Ten przyjemny stan jednak prysł wraz pojawieniem się dwóch kobiet – nowej matki i surowo wyglądającej babki. Wszyscy zaczęli go bacznie obserwować, nawet pies patrzył na niego nieufnie. To było irytujące i poczuł się nieszczęśliwy. Już prawie płakał, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich starszy, wysoki, szczupły i opalony mężczyzna. Jego postawa świadczyła o tym, że musiał mieć do czynienia z wojskiem.

– Jestem twoim dziadkiem – powiedział, jakby meldował się dowódcy.

To trochę poprawiło humor Alfredowi, ale tylko na chwilę. Niepewnie szepnął, że jest zmęczony i chciałby pójść spać, ale... z tatą. Życzenie zostało natychmiast spełnione. Obudził się w sypialni rodziców i ze zgrozą zobaczył, że leży nie koło taty, ale obok mamy, która objęła go ramieniem i głaszcze po włosach. Natychmiast znów zamknął oczy, gdyż chciał się zastanowić, co zrobić. Ale było mu dobrze, więc odruchowo przytulił się do mamy i znów poczuł się szczęśliwy, nie przypuszczając, że to z mamą połączy go najgłębsza więź. Był w domu. Stał się jednym z Binderbergerów.

Już świtało, kiedy strumień wspomnień doprowadził go do terażniejszości. „A było dotąd tak dobrze”, myślał z goryczą. Równocześnie jednak nie czuł już gniewu do kobiety z Polski, która śmiała przysłać mu list, a przede wszystkim była na tyle bezczelna, że twierdziła, iż nie jest Niemcem. On, nienawidzący większości narodów poza Niemcami,

gardzący śmierdzącymi i tchórzliwymi Polakami i Iwanami, fanatycznie przywiązany do wszystkiego, co niemieckie, on miałby być... Nie, to jakaś bzdura! Równocześnie zaczęła budzić się w nim ciekawość... Podobno umarła, ale może rzeczywiście żyje? Jeśli tak napisała, to chyba wcześniej musiała to jakoś sprawdzić. Z niewyspania myślał mało logicznie i zaczęła boleć go głowa. Zdecydował, że musi jeszcze zasnąć, bo będzie nieprzytomny w szkole. Wyjął spod poduszki podartą fotografię, jeszcze raz się jej przyjrzał, potem delikatnie pocałował i włożył z powrotem pod poduszkę. Błyskawicznie zasnął.

Kolejne dni po tym, w którym wręczono mu niespodziewany list, były całkiem zwyczajne, nie różniły się od poprzednich, wszystko odbywało się normalnym trybem, rodzice pracowali, dziadek całymi dniami pielęgnował swój ogród, a babcia królowała w domu. Choć nikt nie poruszał drażliwego dla wszystkich tematu, dotychczasowy spokój został wyraźnie zakłócony. Wyczuwało się ukrywaną skrzątknie nerwowość, domownicy byli rozkojarzeni, o czym świadczył fakt, że często trzeba było kilka razy coś powtórzyć, by zostało przez adresata słów zrozumiane. Alfred chodził do gimnazjum, ale uczył się już bez dawnego entuzjazmu, co szybko zaowocowało pogorszeniem się stopni. Trudno mu było się skupić, zamyślał się, medytował, nachodziły go ponure myśli. Niemal codziennie, a czasem kilka razy tego samego dnia, potajemnie wyciągał starannie sklejoną fotografię, wpatrywał się w nią, próbując sobie cokolwiek przypomnieć, ale bez efektu. Zaczął też obserwować siebie niejako od zewnątrz, gdyż chciał stwierdzić, czy pod jakimiś względami różni się od kolegów.

Porównywał wygląd, sposób mówienia i zachowania, lecz różnic nie znajdował, poza jedną.

Pochłaniał mnóstwo książek, wolał czytać, niż grać w piłkę jak jego rówieśnicy. Często rodzice musieli wypędzać go na podwórko, by zażył trochę ruchu, ale wydawało mu się, że to akurat nie miało raczej żadnego związku z narodowością. Kiedyś, gdy siedział przy biurku, ale w żaden sposób nie mógł zmobilizować się do odrabiania lekcji, bo wciąż błędził myślami we wspomnieniach z przeszłości, przypomniało mu się, że kiedy pierwszy raz wchodził do swego nowego domu – to babcia zapamiętała ten fakt – powiedział coś, czego nikt z obecnych nie zrozumiał, a on nie potrafił już drugi raz powtórzyć. „Może to było po polsku?” – zastanawiał się teraz. Ale dlaczego ta kobieta z fotografii nie jest blondynką, jak wynikało z jego snu? Jak to wszystko naprawdę się potoczyło?

Czuł ogromną niemoc, nie mógł sobie przypomnieć podstawowych faktów, napotykał na mur niepamięci, zdając sobie sprawę, że niewielkie są szanse na jego przebicie. „Kim jestem? Skąd jestem? Dlaczego jestem tu, a nie gdzieś indziej?” Ten natłok myśli bombardujący jego umysł radykalnie zakłócił jego wewnętrzny spokój, tak jak uczyniły to wydarzenia rozgrywające się pięć lat wcześniej, w tym samym roku, kiedy wreszcie zamieszkał w „swym własnym domu”.

Latem 1943 roku, kiedy to szczęście się do niego uśmiechnęło, w Koblencji, mieście założonym około 9 wieku p.n.e., w miejscu, w którym Mozela od lewej strony wpływa do Renu, a gdzie znajdował się dom Binderbergerów, było jeszcze zupełnie spokojnie. Alfred chłonał prawdziwie domową atmosferę, jakże odbiegającą od klimatu

sierocińca. Coraz lepiej dogadywał się ze wszystkimi domownikami, którzy zadziwiająco szybko uznali go za „swojego”. Wszystkimi, jak przystało na byłego wojskowego, komenderował dziadek. Bał się go nawet tata, który jak dziecko próbował ukrywać przed nim swoje przewinienia.

Szczególnymi względami dziadek obdarowywał mamę, jedyną, ukochaną córkę, i tylko jej udawało się go do czegoś nakłonić czy przed czymś przestrzec, tylko od niej, nie bez obruszenia, przyjmował jakąś krytykę, nawet w sytuacji wielkiego wzburzenia, a był człowiekiem porywczym. Drugie miejsce po niej w hierarchii łask zaczął stopniowo zajmować Alfred. Jak później starszy pan twierdził, zdecydowało o tym pierwsze spotkanie, podczas którego chłopiec, choć onieśmielony nieznanymi osobami i nowym otoczeniem, przyjął żołnierską postawę, co wróżyło, że zostanie dobrym oficerem, o czym zresztą nieustannie go zapewniał. Alfred poza tym dzielnie pracował z nim w ogrodzie, choć stopniowo jego entuzjazm związany z tym zajęciem słabł, bowiem ogród był ogromny i utrzymanie go w kwitnącym stanie wymagało nieustannego wysiłku, nawet w zimie.

– Gdy już będę leżał w grobie i zobaczę, że dopuściłeś do zachwaszczenia ogrodu, wstanę i sprawię ci tęgie lanie – mawiał dziadek z właściwym sobie poczuciem humoru, próbując dopingować chłopca do przyswajania wiedzy ogrodniczej. Powtarzał też, że kiedyś to wszystko będzie Alfreda i będzie musiał sam, bez jego pomocy, pielęgnować to tak drogie mu miejsce, co świadczyło o tym, że już traktowano chłopca jak najbliższą rodzinę. Babcia, na pozór nieco surowa, rozpieszczała wnuka, podsuwając mu wspaniałości swej kuchni, a gdy trzeba było, kryjąc jego wykroczenia przed dziadkiem. Ojciec był dyrektorem firmy

zajmującej się wydobywaniem metali szlachetnych na terenie całej Rzeszy. Zajmując tak prestiżowe stanowisko, musiał należeć do NSDAP, ale jak tylko mógł, odżegnywał się od działalności w tej partii, miał bowiem trzeźwy ogląd sytuacji panującej w jego kraju. Kiedyś wrócił z pracy z nowym pistoletem i nową gwiazdką na kołnierzu, co Alfred błyskawicznie zobaczył, podczas gdy reszta rodziny udawała, że tego nie zauważyła.

– Dlaczego się nie cieszyacie, że tata dostał awans? – wrzasnął spontanicznie chłopiec.

Po chwili konsternacji mama uratowała sytuację, zwracając się do męża:

– Ach, jak to ładnie, ale ty wyglądasz na chorego, chyba boli cię głowa?

– Tak, źle się czuję – posępnym tonem odrzekł awansowany, a Alfreda odesłano do jego pokoju.

Później Theodor Binderberger pracował jako dyrektor koblenckiego Urzędu Pracy, co pomogło mu w pozytywnym przejściu etapu denazyfikacji, gdyż miał na koncie uratowanie siedmiu komunistów przed niemal pewną śmiercią. Mama była kierowniczką sekcji urlopów dla oficerów w Luftwaffe, w związku z tym w domu bywało wielu wojskowych wyższych rangą, często wesołych, lubiących żartować z Alfredem, a on był zachwycony, bo mundur wciąż wywoływał w nim same pozytywne emocje. Było więc spokojnie, pogodnie, dostatnio, rodzinnie aż do momentu, w którym ta równowaga została zakłócona, tak jak to się stało pięć lat później za sprawą listu z Polski.

Tym razem, gdy noc już dobrze zadomowiła się na koblenckim niebie, nagle przeszła je oślepiająca światłość,

a zjawisku towarzyszył łomot, potężny trzask, odgłos zdający wydobywać się z przestworzy. W pierwszej chwili sądzono, że to wyjątkowo groźna burza nawiedziła miasto, ale rodzice Alfreda szybko zorientowali się, że to Amerykanie bombardują ich okolice. Potwierdziły to syreny ogłaszające alarm przeciwlotniczy, które zawyły w chwili, gdy mama ubierała siedzącego na stole chłopca. Scena bliźniaczo podobna do tej, którą przeżył wiele miesięcy wcześniej, kiedy porywano go do Kalisza. Tylko mama już nie ta.

Pobiegli do tunelu kolejowego znajdującego się nieopodal domu. Licznie zgromadzeni pod ziemią ludzie zgodnie twierdzili, że niemiecka Luftwaffe zawsze atakowała tylko cele militarne, nigdy nie pastwiąc się, jak teraz alianci, nad ludnością cywilną. Alfredowi przypomniały się te słowa kilkanaście lat później, kiedy zrozpaczony tym, co zobaczył, wracał z Oświęcimia. Po godzinie znaleźli się w domu, gdyż alarm odwołano. Niby wszystko wróciło do normy, ale co rusz pojawiały się oznaki ostrzegające, zwiastuny zmian w rozkładzie sił państw biorących udział w wojnie. Na przykład do wież mostu usytuowanego najbliżej miejsca zamieszkania Binderbergerów dołączono dodatkowe stanowiska dla artylerii przeciwlotniczej, a przejeżdżający na drugą stronę Renu byli skrupulatnie kontrolowani.

Wszyscy wokół, sąsiedzi, znajomi, zaczęli pakować co wartościowsze rzeczy, do czego zabrała się również rodzina Alfreda. Tata był zobowiązany do uczestniczenia w ćwiczeniach fizycznych, z czego starał się wymigiwać. W przeciwieństwie do dziadka i Alfreda, nie był miłośnikiem munduru i kiedy musiał go nakładać, wpadał w zły humor. Kolejne bombardowania, już nie pojedyncze, rozpoczęły się



kilka dni po pójściu chłopca do szkoły. Dzieci częściej siedziały w piwnicy niż w klasie i przechodziły skrócony kurs obrony przeciwlotniczej. Latem 1944 roku tatę powołano do artylerii przeciwlotniczej i wyjechał do Bawarii, co było dla chłopca ogromnym ciosem. Tak niedawno go zyskał, czyżby już miał utracić?

„Wzięli jego, to ja też powinienem bronić ojczyzny” – pomyślał i siadł do pisania listu do „najukochańszego führera Adolfa Hitlera”. Przekazał w nim prośbę o możliwość wstąpienia do organizacji Hitlerjugend. Na szczęście przyjmowano tam dzieci od dziesiątego roku życia, a Alfred nie skończył jeszcze siedmiu. Ojca nie było, mama całymi dniami przebywała w pracy, ale dziadkowie nadal troskliwie opiekowali się wnukiem, stanowiąc dla niego opokę, dając poczucie względnego bezpieczeństwa. Coraz częściej pojawiały się problemy z zaopatrzeniem, które minimalizowały ogródkowe plony. Dziadek nie zaniedbywał swego królestwa nawet podczas bombardowań.

Z dnia na dzień sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, wydano więc rozporządzenie, by kobiety niepracujące i dzieci wyjechały do strefy o mniejszym natężeniu bombardowań. Alfred z babcią znaleźli się w Jenie, ale po kilku dniach względnego spokoju i tam rozgorzała powietrzna walka. Dwukrotnie ledwo uszli z życiem. Raz przez przypadek nie weszli do solidnego, betonowego schronu, gdzie zwykle przeczekiwali ataki, tylko do prowizorycznego bunkra, który sprawiał wrażenie nieodpornego nawet na najłżejsze natarcie. Wokół długo spadały bomby, ale jakoś wyszli stamtąd bez szwanku.

Po drodze do domu mijali ten solidny schron i okazało się, że przez zmasowany nań atak większość ludzi, którzy się

tam ukryli, straciła życie. Inne bombardowanie przeżyli w piwnicy pod domem, w którym mieszkali. Rozpętało się tam istne pandemonium. Wszystko wokół drżało niczym przy trzęsieniu ziemi, w uszy wwiercały się na zmianę ogłuszające grzmoty i przeszywające świsty, nagle zrobiło się zupełnie ciemno, a Alfred poczuł piach na sobie, w ustach i w nosie. Potem okazało się, że dom został trafiony a piwnica całkowicie zasypana. Następnego dnia rozpoczęła się akcja jej odkopywania. Kiedy już szczęśliwie wyszli na powierzchnię, czując się, jakby zmartwychwstali, oznajmiono im, że w sąsiedniej piwnicy nikt nie przeżył.

Powrót do Koblencji z mamą, która po nich przyjechała, trwał tydzień. Ich pociąg był kilkakrotnie atakowany przez samoloty i wtedy trzeba było z niego wyskakiwać do rowów lub do lasu, jeśli akurat znajdował się w pobliżu. Często się zatrzymywali, gdy zniekształcone bombami szyny wymagały naprawy albo gdy przejeżdżały pociągi mające pierwszeństwo – z wojskiem lub amunicją. Później musieli jechać objazdem, by ominąć dopiero co zbombardowane przez anglo-amerykańskie eskadry Drezno. Wysiedli w Kolonii, a do Koblencji dotarli częściowo podróżując samochodami wojskowymi, a częściowo na piechotę.

Miasto było bardzo zniszczone, ale ich dom ocalał. Bombardowania trwały nadal, a wkrótce tak przybrały na sile, że przenieśli się do wykutego w granicie tunelu, do którego z dnia na dzień przybywało coraz więcej mieszkańców z garnkami, łózkami, najpotrzebniejszymi sprzętami do koczowania dzień i noc. Panował tam tłok, przynoszono też rannych, którzy nierzadko umierali na oczach wszystkich. Po raz pierwszy Alfred zetknął się z bezpośrednimi skutkami wojny. W tunelu przydarzyła mu

się zabawna przygoda. Jadł właśnie jabłko, gdy zaczęło się kolejne bombardowanie.

Pod wpływem porywistego pędu powietrza wtłoczonego do tunelu, zaczęły w nim fruwać kapelusze i inne, lżejsze rzeczy. Chłopca rzuciło na ścianę akurat w tym miejscu, gdzie przycupnęła osa, być może zwabiona zapachem owocu. Użądliła go w brodę, a on głośno zapiszczał z bólu, po czym zaczął, być może dla odreagowania, skakać na jednej nodze. Zbiegli się ludzie, krzycząc, że tego chłopca trafił odłamek. Natychmiast przybiegli sanitariusze z noszami, na których położono Alfreda. Zerwał się z nich, ale cały czas płacząc, bełkotał, więc ludzie nie rozumieli, co chce im przekazać. Dopiero dziadek, który znalazł się w pobliżu, pojął, o co chodzi i wyjaśnił sytuację. Ludziom jednak nie było do śmiechu i rozeszli się w ciszy, pewnie w duchu złorzecząc maluchowi, który ich nastraszył.

Z tunelu wyszli dopiero wówczas, gdy na budynkach zawisły białe flagi. Rozpoczął się okres okupacji amerykańskiej, a potem francuskiej. Zachowanie alianckich żołnierzy wzbudzało wśród mieszkańców oburzenie. Na przykład na ulicach często dochodziło do takich sytuacji, że za brak zdjęcia kapelusza przed oficerem francuskim, napiętnowany delikwent obrywał w twarz albo po głowie. Alfred krzyczał do francuskich dzieci, że „nasi oficerowie nie zachowywali się w krajach okupowanych tak nikczemnie”. Stwierdzenie dziadka, iż „niemiecki oficer nigdy nie byłby zdolny do takich zachowań” dzieliła większość ludzi niemających pojęcia, co działo się poza granicami ich państwa. To również przypomniało się Alojzemu, gdy wracał z Oświęcimia.

Pewnego dnia w domu pojawił się ojciec. Dotkliwie ranny w rękę, ale najważniejsze, że wrócił, że był. Od razu zarządził pakowanie i wyjazd na bawarską wieś, gdzie przez zawarcie odpowiedniej znajomości załatwił już sobie pracę pomocnika na budowie. Bał się denazyfikacji i tam chciał ją przeczekać. Dla społeczności niemieckiej nastał teraz trudny czas. Pryśło przekonanie, które okazało się podtrzymywanym dla dobrej kondycji psychicznej mitem, o jedności niemieckiej, poczuciu solidarności, wspólnych wartościach. W obliczu zagrożonej przyszłości każdy martwił się tylko o siebie, nie dbając nawet o tych, których do niedawna nazywał przyjaciółmi. Prusacy wymyślali Szwabom, Bawarczyce świńskim Prusakom, sąsiad donosił na sąsiada, czasem nawet dzieci denuncjowały własnych rodziców. Na furtce ogrodu Binderbergerów pisano kredą „nazi”, zresztą wszędzie wokół spotkać można było takie napisy, bo w okolicy mieszkali przeważnie wysocy urzędnicy, którzy nie mogliby sprawować swoich funkcji, gdyby nie należeli do NSDAP. W dziadku, a pod jego wpływem i w Alfredzie, to wszystko budziło niesmak, wstręt, a ojciec, patrzący na sprawę praktycznie, postanowił zniknąć.

W małej bawarskiej wiosce przeżyli we trójkę kilka szczęśliwych miesięcy. Wracali nie normalnym pociągiem, ale węglarką, najpowszechniej wtedy używanym w Niemczech typem pojazdu. I znów byli w piątkę w ich domu z zaczarowanym ogrodem. Na jakiś czas wyrzucili ich stamtąd Francuzi, którzy doprowadzili nieruchomość do opłakanego stanu, mieli więc co robić, kiedy szczęśliwie mogli zamieszkać tam znowu. Ojciec nie ustrzegł się przed kolejną falą denazyfikacji, podczas której całkowicie go

uniewinniono, w czym nie miały udziału miało jego działanie na rzecz kilku komunistów. Długo jednak nie mógł znaleźć pracy jako inżynier, bo ciągnęła się za nim przeszłość nazi-dyrektora. W końcu, ukrywając swoje wykształcenie, został pomocnikiem przy odbudowie mostu na Renie, znajdującego się bardzo blisko ich willi, wysadzonego tuż przed końcem wojny. Zauważono jednak, iż dysponuje umiejętnościami znacznie przewyższającymi możliwości zwykłego pracownika fizycznego i przeniesiono go do biura konstrukcyjnego, ale z pensją robotniczą.

Finansowo nie było więc wtedy lekko, choć pomagała emerytura dziadka i produkty z jego ogrodu. To właśnie był czas, kiedy przyszedł pierwszy list z Polski. Po nim nastąpiła cisza, nic się nie działo w tej sprawie. Dopiero kiedy pod koniec roku nadeszły dwa kolejne listy, jeden bezpośrednio po drugim, okazało się, że było ich znacznie więcej, ale dziadek po kryjomu je niszczył. I tak w posępnej, nerwowej atmosferze Binderbergowie wkroczyli w rok 1949, jeden z najtragiczniejszych w życiu Alfreda. Pod jego nieobecność przyszła do domu Polka będąca przedstawicielką Międzynarodowej Organizacji Repatriacyjnej. Gdy dowiedziała się, że chłopiec jest w szkole, zapowiedziała, iż w najbliższych dniach przyjedzie znów, by z nim porozmawiać. Od tej pory rodzice i dziadkowie stali się ponurzy i drażliwi, a jemu wydawało się, że jest wciąż obserwowany.

Gdy wychodził z domu, bacznie, acz ukradkiem się rozglądał, na ulicy wciąż był czujny, zmieniał trasy, przebiegał przez znane mu podwórka, zamiast iść prostą drogą, nim doszedł do domu, kręcił się po okolicy, obserwując, czy nikt nie podjeżdża pod budynek ani do

niego nie wchodzi. Pewnego dnia czujność się opłacała, już z oddali zobaczył stojące auto. Tym razem oprócz Polki przyjechał też Francuz z tej samej organizacji. Koniecznie chcieli doczekać się jego przyjścia, ale po sześciu godzinach dali za wygraną, a on spędził ten czas zaryglowany w toalecie u sąsiadów. Od tej pory jeszcze bardziej miał się na baczności, unikał przechodzenia koło nieznanymi ludzi, uczył się technik konspiracyjnych, próbował na przykład niepostrzeżenie odwracać się, by sprawdzić, czy ktoś za nim nie podąża. Przez jakiś czas panował spokój.

Trzeba trafu, że akurat wtedy w Norymberdze odbywały się procesy w sprawie dzieci porwanych przez Niemców. Kierownictwa sierocińców uparcie twierdziły, że przebywały u nich wyłącznie dzieci niemieckiego pochodzenia. Podczas jednej z rozpraw rozpatrywany był również przypadek Alfreda, a ojciec był na niej świadkiem. Kierujący domem, w którym chłopiec był przetrzymywany, pod przysięgą zeznał, że osobiście znał rodzony ojca chłopca, którym był niemiecki oficer.

W domu zapanowała radość, bo to oznaczało, że kobieta przysyłająca listy z Polski, mijała się z prawdą. Na tej podstawie niezwykle trudno było później udowodnić polskość Alfreda, niemieckie władze nigdy jej nie uznały, a strona polska przegrała proces w tej sprawie. Jednak względny spokój, do tego całkowitego powrotu nie było, panował w domu niedługo.

Pewnego popołudnia przed domem Binderbergerów znów zatrzymał się ten sam samochód, chłopiec zdążył ukryć się u sąsiadów. Tym razem wizyta Polki była krótka, ale za nocą kamieniami wybito im szyby i wyłamano furtkę z zawiasów. Takie nękanie, mające chyba na celu

zastraszenie, powtarzało się przez kilka nocy. Kolejni członkowie rodziny pełnili wartę, bojąc się, że gdyby wszyscy poszli spać, Alfreda by uprowadzono. Chodzili niewyspani, z bladymi twarzami i oczami zaczerwienionymi od płaczu. Chłopiec też stał się kłębkim nerwów. Panicznie reagował na każde pukanie do drzwi czy dzwonek. Błyskawicznie zniknął w koszu na bieliznę, wytypowanym na jego kryjówkę. Nie da się jednak przewidzieć wszystkiego.

Gdy któregoś dnia wracał ze szkoły, nagle tuż przy nim zatrzymał się samochód i dwóch mężczyzn wciągnęło go do środka, po czym z piskiem opon ruszyli z miejsca. Alfred próbował się wyrywać, ale jedenastoletni chłopiec nie mógł dać rady dwom osiłkom. Obok kierowcy siedziała kobieta, która, gdy nieco się uspokoił, przymilnym głosem stwierdziła:

– No, Alfredzie, pojedziemy teraz do twojej matki, do Polski.

To podziałało na chłopca przeciwnie, niż zakładała. Znow zaczął się wyrywać, kopać prześladowców i krzyczeć. Gdy przed ruchliwym skrzyżowaniem kierowca zmuszony był ostro zahamować, wskoczył na kolana jednego z mężczyzn, otworzył drzwi i dał nura, padając twarzą na trotuar. Na szczęście nie potłukł się dotkliwie, więc błyskawicznie wstał i po krótkim biegu wpadł do jakiejś bramy. Dokonał tego pod wpływem dużego poczucia zagrożenia, ogromnego strachu, a teraz nogi odmówiły mu posłuszeństwa, nie mógł ruszyć się z miejsca. Przywołując na myśl wszystkie opowieści o potwornościach, których dopuszczali się Polacy, czekał na najgorsze, serię z karabinu, strzał w serce z rewolweru czy cios nożem. Drżąc, stał ze świadomością, że zaraz któraś z tych okropności się wydarzy. Nic się jednak

nie działało. Prawdopodobnie albo nie próbowali go gonić, albo czyniąc to, stracili go z oczu.

Ta próba uprowadzenia spowodowała, że rodzina doszła do wniosku, iż Alfred na jakiś czas powinien wynieść się z domu. Nocą potajemnie wywieziono go do jakiegoś wcześniej umówionego domu dziecka. Z pobytu w nim zapamiętał przede wszystkim nieustannie mu tam towarzyszące uczucie głodu. Wciąż słał listy do rodziny, że niechybnie go zamorzą. Po kilku tygodniach przyjechała po niego mama. Przestraszył się jej wyglądem. Zmieniła się nie do poznania, widać było, że coś jej dolega, czuła się źle.

To był początek najtragiczniejszych dni w jego życiu. Mama była chora na raka, specjaliści twierdzili, iż choroba zaatakowała między innymi pod wpływem ustawicznego stresu, w którym żyła. Przeszła dwie operacje, które nie poprawiły jej stanu zdrowia. Alfred codziennie był w szpitalu, czując, że już niedługo ta, którą pokochał najbardziej z całej rodziny, z którą łączyła go najgłębsza więź, odejdzie na zawsze. Podobnie odczuwał dziadek nad życie kochający swą jedynaczkę. Kiedy ostatniego dnia nie dopuszczono już chłopca do chorej, wiedział, czego może się spodziewać. Wieczorem, gdy leżał już w łóżku, dziadek i ojciec wrócili ze szpitala z tragiczną wiadomością. Myśleli, że śpi, a on usłyszał, jakie było ostatnie zdanie wypowiedziane przez mamę: „Alfred..., jak też on sobie poradzi beze mnie, bądźcie dla niego dobrzy... Tak bardzo go kochałam”.

– Nigdy nie wróciłbym do Polski – twierdził dorosły już Alojzy – gdyby moja niemiecka matka żyła.



Od tego dnia życie rodziny Binderbergerów zmieniło się radykalnie. Ojciec pracował dużo intensywniej niż wcześniej, rzadko bywając w domu. Dziadek jak dawniej zajmował się ogrodem, ale twierdził, że robi to wyłącznie dla Alfreda, który trzyma go przy życiu. Babcia nie mogła znaleźć sobie miejsca, ale przejęła wszystkie obowiązki mamy, starając się, by dom prawidłowo funkcjonował. Chłopiec stał się posępny, uparty i zamknięty w sobie. Całymi godzinami siedział w swoim pokoju, wpatrując się w książkę, ale jej nie czytał.

Od czasu, kiedy ojciec zaczął przebąkiwać coś o nowym ożenku z ciotką Lili, daleką kuzynką mamy, wdową, którą wcześniej Alfred nawet lubił, chłopiec odsunął się od niego, utworzyła się między nimi głęboka przepaść, czeluść dla Alfreda nie do przebycia, choć ojciec próbował ją zasypywać. Wzajemnie obchodzili się z daleka, by nie powodować ostrych spięć. Chłopiec wtedy jeszcze bardziej zbliżył się do dziadków, stanowiących dla niego ostoję w tych życiowych zawirowaniach. Zapalnik tykającej bomby wybuchł po jednej z kilkudniowych podróży ojca, jak twierdził – służbowych. Zaraz po wejściu do domu zakomunikował, że jest po ślubie z ciotką Lili. Można się było tego spodziewać, ale irytacja Alfreda sięgnęła zenitu. Wciąż chyba jednak miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Kilka tygodni później macocha sprowadziła się do nich do domu, a jej zachowanie wobec chłopca odpowiadało najgorszym cechom przypisywanym osobom określanym tym raczej pejoratywnie kojarzającym się terminem. Nie potrafiła z chłopcem postępować, a gdy zaczęła uskarżać się na niego przed mężem, rozgorzała otwarta wojna.

Alfred całkowicie skupił się na nauce, bo chciał skończyć gimnazjum z dobrymi wynikami, by móc wyjechać na studia. Z dziadkiem, którego brat mieszkał w Londynie, gdzie dobrze mu się wiodło, bo świetnie zarabiał na robieniu tortów, snuli plany, że Alfred tam pojedzie, by uczyć się albo w Cambridge, albo na Uniwersytecie Oxfordzkim. To miało nastąpić za rok, ale już w tym, 1953, miał pojechać do Anglii na wakacje, by podszkolić język i trochę się tam rozejrzeć. W tym właśnie momencie przyszedł kolejny list z Polski, przekazany przez Polską Misję Wojskową, w którym kobieta podająca się za rodzoną matkę Alfreda zapraszała go na czterotygodniowe wakacje nad Wisłę. Wcześniej chłopiec pewnie podarłby kopertę, jak uczynił to już z kilkoma, lecz po śmierci mamy coraz częściej zadawał sobie pytanie, czy to możliwe, że w Polsce żyje jego rodzona matka? Tęsknił za matczyną miłością, której nie była w stanie zapewnić mu niezwykle starająca się o to babcia, a już na pewno nie była do tego zdolna ciotka Lili.

Tę uczuciową lukę próbował zapełnić kontaktami koleżeńskimi, działając z pasją w organizacji młodzieży ewangelickiej. Poprzez tę aktywność na trochę zapominał o swej tragedii, więc niechętnie wracał do domu, gdzie wszystko przypominało mu mamę. Na ten czas przypadała konfirmacja Alfreda, z czym też kojarzył mamę, bo pamiętał, jak obydwójce cieszyli się na to święto i razem planowali, jak będą je spędzać. Mieli we trójkę odbyć przejażdżkę statkiem po Renie, przepływając całą rzekę. Mamy już niestety nie było, a ojciec żył teraz w zupełnie innym świecie, do którego syn nie bardzo pasował. Myśląc, że tata o wycieczce po prostu zapomniał, Alfred zaproponował, aby pojechali na nią we dwóch, co mocno rozeźliło ojca, który zaczął

wyrzucać chłopcu, że chociaż w tak uroczystym dniu mógłby spróbować pogodzić się z jego żoną. Bezpośrednio po tej nieprzyjemnej rozmowie ojciec wręczył mu owo zaproszenie z Polski, mówiąc:

– Zastanów się nad tym, może trochę wypoczniesz i wrócisz bardziej zrównoważony.

Był bardzo nieszczęśliwy, bardziej niż kiedykolwiek. Pobiegnął nad brzeg Renu, w miejsce, gdzie lubił przesiadywać i wspominać mamę. Woda go jakoś uspokajała, a monotonny, nieustanny nurt rzeki przypominał, że choć wszystko przemija, życie, czy tego chce, czy nie, biegnie nadal. Długo toczył walkę wewnętrzną.

„Jechać do Anglii czy do Polski? A może tu i tu? A może donikąd?”. Ale pozostawanie w czasie wakacji w domu, który już nie był tak jak dawniej jego domem, nie uśmiechało mu się.

W końcu postanowił, tak trochę na złość ojcu, choć zdawał sobie sprawę z tego, że może to być dla niego nawet wygodne, wybrać się do Polski nie na całe wakacje, ale na dwa tygodnie.

„Wyjaśnię tej kobiecie”, miał na myśli polską matkę, „że się myli” – rozważał – „a ojciec będzie miał czas na przemyślenia na temat naszych kontaktów. Może trochę za mną zatęskni, może będzie mnie namawiał do szybszego powrotu i wtedy ciotka zejdzie na drugi plan?”.

Już następnego dnia zaczął załatwiać formalności. W ciągu pięciu minut otrzymał paszport z wpisem, że jedzie do Polski. Najpierw miał dotrzeć do Polskiej Misji Wojskowej znajdującej się w Berlinie. Ojciec odwoził go na dworzec samochodem. Był wieczór, ciemno, ale gdy się odwrócił,

zobaczył przed bramą machającego ręką dziadka i dobiegło go jego wołanie.

– Wróć szybko i w zdrowiu, ja i babcia czekamy.

Coś ścisnęło go za gardło, gdy patrzył na tego tak drogiego mu człowieka, bo jakiś wewnętrzny głos, niczym nieuzasadnione przekonanie, mówiło mu, że nieprędko tu wróci. Tuż przed wejściem do pociągu znów pokłócili się z ojcem, co utwierdziło go w przekonaniu, że postanowienie o wyjeździe było słuszne. Kilka dni spędzić musiał w Berlinie w oczekiwaniu na wizę wjazdową. Gościła go tam serdecznie rodzina szefa Polskiej Misji Wojskowej. Potem znów podróż pociągiem i potworny natłok myśli, przeczuć, wątpliwości. Na początku podróży, pod wpływem zachodnioniemieckiej propagandy, dziwił się wszystkiemu, co było podobne lub nawet identyczne z tym, do czego przywykł. Oczekiwał bowiem, że zmierza do krajów (NRD i Polska) na wpół dzikich, brudnych, biednych, zacofanych. Wraz ze zbliżaniem się do celu podróży myślał już tylko o spotkaniu z nieznaną mu kobietą. Co chwila wyjmował jej podklejoną fotografię i starał się z niej wyczytać coś nowego, choć przecież każdy szczegół znał już na pamięć. Po plecach ściekał mu zimny pot i dopadały go dreszcze naprzemiennie z falami gorąca.

„Jak powinienem zachować się przy powitaniu? Jak nie dopuścić do najgorszego, czyli do tego, by kobieta rzuciła mi się ze szlochom na szyję?” – rozważał w duchu. „Nie mogę pozwolić na taką sytuację, bo jeszcze zmiękłoby mi serce, a to dla prawdziwego Niemca wstyd. Cóż by na to powiedział dziadek? Muszę przybrać minę człowieka złego, dumnego i hardego” – postanowił. „Najlepiej będę mówić oszczędnie, urywanymi słowami, jeszcze lepiej odpowiadać tylko na

pytania, i to z ironicznym uśmiechem. Tak, ironia zdecydowanie może mi pomóc”. Korzystając z tego, że był w przedziale sam, zapalił światło nad lustrem i ćwiczył przed nim różne miny. Przeważnie były idiotyczne, mające wyrażać wyższość i pogardę dla rozmówczynie. Do nich dopasowywał treść pierwszej wypowiedzi. Jeden z wariantów brzmiał:

„Niech pani sobie nie wyobraża, że wierzę w tę bzdurę, jakobym był pani synem. Przyjechałem tu tylko po to, by sprostować tę pomyłkę”.

Zmęczony wymyślaniem różnych wariantów powitania, padł na łóżko i po raz pierwszy w pociągu tak dobrze zasnął. Obudziło go szarpnięcie wagonu, a potem donośny głos konduktora dochodzący z zewnątrz.

– Poznań!

„To chyba Posen?”, pomyślał z lękiem Alfred.

W tym momencie w drzwiach ukazał się konduktor:

– Jesteśmy na miejscu. Poznań.

Alfred zupełnie się pogubił. Zaczął przemieszczać się po przedziale w poszukiwaniu ubrania. Wreszcie je znalazł, wciągnął na siebie. Miał trzy rzeczy do zabrania – walizkę, torbę i rower, na którym zamierzał zwiedzić Polskę – i nie bardzo wiedział, jak się z tym wszystkim zabrać. Nie było łatwo, ale już zaczął przeciskać się do wyjścia. Serce waliło mu jak oszalałe, w głowie szumiało, a przed oczyma przelatowały bliżej nieokreślone obiekty o czerwonym zabarwieniu. Był spocony i drżały mu kolana. Stał w drzwiach wagonu i bojaźliwie się rozglądał. Większość ludzi wysiadła już z pociągu i zmierzała w kierunku miasta.

Na peronie robiło się pusto. Czekał dalej. Nikt nie szedł w jego stronę, więc z ulgą pomyślał: „Nie przyszła. Świetnie. Zaraz zobaczę, skąd odjeżdża pociąg do Berlina i wreszcie wrócę do domu, do mojej Koblencji. Po co ja tu w ogóle przyjechałem”. Nagle usłyszał kobiecy głos:

– To on!

Silnie zacisnął rękę na kierownicy roweru. Dobrze, że go wziął, bo teraz miał się czego przytrzymać, by nie upaść. Popatrzył w stronę, z której dobiegł krzyk. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od niego stała niewysoka kobieta z mężczyzną. Odetchnął.

„To nie może być ona, bo przecież jej mąż, czyli mój hipotetyczny ojciec, zginął we wrześniu 1939 roku”.

Krzyk rozległ się ponownie i kobieta ruszyła w kierunku Alfreda, a za nią, jakby trochę się ociągając, postępował mężczyzna. Gdy stanęła przy stopniach wagonu, Alfred dostrzegł jej błękitne oczy. Ten żarliwy błękit zdominował całą twarz, wszystkie inne jej elementy znajdowały się w jego cieniu. Czuł niemal fizycznie, jak te błękitne błyski wysyłane przez niesamowite oczy padają na jego twarz i z zaciekawieniem ją analizują. Kobieta twierdząco kiwała głową w stronę swego towarzysza. Alfred, nie mogąc uwolnić się od tego magnetyzującego spojrzenia, niemal po omacku zszedł powoli na peron, o mało nie gubiąc torby. Stał przed dwojgiem nieznanym mu ludzi, kiedy kobieta zadała pytanie o intonacji zdania oznajmującego. Brzmiało to tak, jakby stwierdzała fakt, o którym jest przekonana i tylko potrzebuje jego potwierdzenia, ale owo pragnienie wyraża nie żądaniem, ale prośbą:

– Jesteś Alfredem?

– Tak, to ja – odpowiedział sucho i szorstko, ale niezgodnie z wcześniej przyjętą taktyką, ze względu na zaciśnięte gardło, przez które te trzy słowa ledwie były w stanie się precyzyzować.

Mężczyzna milczał, badawczo przyglądając się chłopcu, a ten dostrzegł, że ujmującą twarz kobiety z cudownymi oczyma okalają ciemne, niemal czarne włosy. W oczach rozjarzonych dziwnie bliskim mu ciepłem, serdecznością, a może nawet miłością, na moment się zatopił, musiały mieć w sobie coś hipnotyzującego, skoro jedynie z wielkim trudem oderwał od nich wzrok. Wewnętrznie przywołał się jednak do porządku, wyprostował jak struna, co zawsze dodawało mu odwagi, i bezbarwnym głosem, który można by przyrównać do głosu zapowiadającego codzienną prognozę pogody, wyrecytował szybko wyuczoną kwestię, jakby chciał mieć to już za sobą:

– Przybyłem tu, żeby udowodnić pani pomyłkę. Nie jestem pani synem. Mam nadzieję, że załatwimy tę sprawę w ciągu kilku dni i będę mógł wrócić do domu, do Koblencki.

Nastąpiła cisza, którą przerwał mężczyzna, stwierdzając pojednawczo, bo oświadczenie Alfreda brzmiało nieco jak wypowiedzenie im wojny:

– No już dobrze, zobaczymy, co przyniesie jutro.

– To się dopiero okaże – groźącym tonem odparował natychmiast chłopiec.

Tu delikatnie wtrąciła się kobieta:

– To mój drugi mąż, twój ojciec.

Mężczyzna wziął z peronu walizkę, Alfred mocno złapał rower, a kobiecie pozostała torba. Gdy brała ją do ręki,

wyraz jej twarzy wskazywał na to, że całą siłą woli powstrzymuje łzy. Idąc, spoglądała na chłopca i wydawało mu się, choć było to wyłącznie w sferze jego wyobraźni, że mityguje się, by nie przyciągnąć go do siebie, przytulić, może pocałować. Był jej wdzięczny za to panowanie nad sobą, choć z drugiej strony jakże tęsknił do matczynej czułości. Już teraz jednak żałował swego inauguracyjnego wystąpienia, a po latach było mu za nie ogromnie wstyd.

Zakłopotanie, zmieszanie, wstyd – to określenia, którymi można by scharakteryzować pierwsze dni pobytu w Polsce wspomniane przez już dorosłego Alojzego. Piętnastoletni Alfred, naszpikowany hasłami zachodnioniemieckiej propagandy, oceniał wszystko, co tu zastał, wedle wpajanych przez nią kryteriów. Rogoźno, miejsce jego urodzenia, gdzie nadal mieszkała Małgorzata Twardecka-Ratajczak, a do którego dotarli po godzinnej podróży kolejnym pociągiem, zrobiło na nim wrażenie zapadłej dziury na krańcu świata, co było zrozumiałe, bo, rzecz jasna, nie wytrzymywało porównania z europejską Koblencją. Gdy jednak zaczął biegać po małym, gazowo oświetlanym mieszkaniu rodziców, znajdującym się na pierwszym piętrze przypominającym strych, w poszukiwaniu pieca, na którym będzie spać, ojciec nie wytrzymał:

– Kto ci naplótł takich bzdur?

– Słyszałem to u nas – hardo odpowiedział chłopiec – a poza tym dziadek mówił to samo, a wiedział, co mówi, bo miał rekrutów z Polski.

– A cóż ci jeszcze tam naopowiadano? – mężczyzna postanowił wyjaśnić, co się da.



– No... na przykład, że Polacy rzadko się myją, właściwie tylko na Nowy Rok, kiedy zmieniają też ubranie...

– To stara, hitlerowska propaganda, jest już osiem lat po wojnie, niesłychane! No, dość tego bajdurzenia, do łóżka i spać, od jutra zaczniemy sobie wiele rzeczy wyjaśniać.

Alfred położył się do normalnego łóżka, jak w Koblencji, chociaż był nieco rozczarowany, bo ciekawiło go, jak to się śpi na piecu. Natłok myśli nie pozwalał mu jednak zasnąć. Większość rzeczy była inna, niż to sobie przed przyjazdem wyobrażał, a to, cóż za paradoks, działa się wbrew jego życzeniu. Tak długo konstruował sobie specyficzny system obronny, funkcjonujący na zasadzie precyzyjnego schematu przeciwciał chroniących przed chorobą, który miał mu obrzydzić kraj wrogi jego ojczyźnie, a równocześnie będący, na razie hipotetycznym, miejscem jego narodzin. I co? Już po tak krótkim czasie od przyjazdu musiał z rezygnacją stwierdzić, że wiele elementów nie pasowało do jego układanki. Czyżby tam, u niego, podawano, wręcz lansowano błędne informacje? Coś tu się nie zgadzało. I co on, biedny, ma teraz zrobić?

Przymknął powieki, mając nadzieję, że zaśnie i odpocznie od szukania odpowiedzi na nękające go pytania. Nic z tego. Sen nie przychodził. Dotąd swą pewność bycia Niemcem opierał na dwóch listach. Jednym, pisany przez ojca do sądu w Koblencji i drugim, wysłanym z tegoż sądu do kobiety, która być może już spała za ścianą. Obydwa dowodziły, iż Alfred Binderberger nie ma nic wspólnego z Alojzym Twardeckim, co oznaczało, że Małgorzata Twardecka-Ratajczak pomyliła się. Nagle poczuł się tak zmęczony, że oczy wbrew jego woli zaczęły się same, jakby automatycznie, przymykać. W ostatniej chwili na jawie

zdażył jeszcze pomyśleć: „Może jutro się coś wyjaśni, ale właściwie nie chcę tego jutra, boję się go”. Obudziło go piękne słońce. Lęki wczorajszego dnia pod wpływem jego pogodnych promieni przysły. Miał świadomość swoich problemów, lecz nie czuł wewnętrznej potrzeby, by je rozwiązać już, natychmiast; mogły poczekać. Zza drzwi dobiegł go drugi głos kobiety. Jak dobrze się domyślił, była to babcia. Ale czy to ta, o której tak często śnił, stojąca przed schodkami prowadzącymi do otoczonego roślinnością domu? Jak miał poznać, czy to ona, skoro nie pamiętał jej twarzy, a tylko to, że wydawała mu się wtedy bardzo stara.

– To jest twoja babcia – przedstawiła kobietę mama, gdy wszedł do pokoju, w którym obydwie się znajdowały. – Pamiętasz ją?

I znów to samo pytanie, które wciąż mu zadawano, a on był zły, gdyż pamiętał niewiele i czuł, że ta kiepska pamięć stawała się niemym elementem jego oskarżenia, że gdyby skłamał i powiedział, iż pamięta doskonale, dużo bardziej zadowoliliby tych, którzy pytali.

– Nie pamiętam – burknął niezbyt miło.

Babcia za to bez jakichkolwiek wątpliwości rozpoznała w nim wnuka, a jej stanowcze potakiwanie głową sprawiało mamie radość. Nim zasiadł do śniadania, chciał się umyć, ale na próżno szukał łazienki z bieżącą wodą. Okazało się, że w Rogoźnie nie ma wodociągu i wodę przynosi się wiadrami ze studni znajdującej się na rynku. Zatriumfował. A więc jednak to prawda, Polakom musi wystarczyć mała miednica, to jak mają być czysti? Nie krępował się głośno uzewnętrzniać swych spostrzeżeń, co spowodowało, że zirytowany nimi ojciec wszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Mama starała się załagodzić sytuację, ale chłopak nie przejął się zachowaniem jej męża, bo wiedział swoje i tym razem znalazł potwierdzenie swego przekonania.

Niespodziankę przyniosło śniadanie. Z jednej strony nadzwyczaj miłą, bo wszystko było smaczne, pod każdym względem znakomite, z drugiej znów druzgocącą jego wyobrażenia o ciemnym narodzie, jedzącym mamałygę ze wspólnej misy. Kuchnia koblencka uważana była za doskonałą, ale nie umywała się do tego, co podano mu tutaj. Po śniadaniu wsiadł na rower, by rozejrzeć się po okolicy. Początkowo pędził na złamanie karku, bo trasy dla roweru były znakomite. Płasko, całkowita równina, nie trzeba było się zbytnio wysilać. Stopniowo tak bezproblemowa jazda zaczęła go nużyć i zaczął tęsknić do urozmaiconego krajobrazu Nadrenii, do podjazdów, zjazdów i serpentyn, gdzie trzeba było się pilnować, by nie wylądować w rowie. Dojechał do jeziora. „Jakże tu pięknie, ale jakoś dziwnie” – pomyślał. Las dookoła, woda o pofałdowanym brzegu i nic więcej, cisza, całkowita cisza... „U nas każdy brzeg każdego jeziora jest zagospodarowany. Przystanie, restauracje, korty tenisowe, w takich miejscach tętni życie... A tu?”, zadumał się, „ale może tu jednak ładniej?” Od tej pory niemal codziennie jeździł po okolicy, odkrywając dla siebie urocze i dzikie zakątki. Jego rower z błyszczącym, niebieskim lakierem budził ogólny zachwyt, jakże był inny od tych, którymi jeździli miejscowi chłopcy. Szybko więc wielu z nich poznał, stał się wręcz popularny, bo niektórym pojazd wypożyczał.

W domu też czuł się coraz lepiej. Mama, co przyznawał dopiero po latach, była niesłychanie serdeczna, uprzejma, ale powściągliwa i taktowna. To, czego tak bał się przed

przyjazdem – ckliwość, rzewne szlochy, nigdy nie miało miejsca. Nie narzucała mu swej woli, dawała dużą swobodę, traktowała po partnersku. On, najpierw bardzo krytycznie, potem coraz mniej, obserwował wszystko wokół, zadawał tysiące pytań, a ona z godną podziwu cierpliwością na wszystkie odpowiadała prosto i szczerze, bez uników i owijania w bawełnę. On chciał wiedzieć jak najwięcej, a najbardziej nurtowała go postać ojca. Myślał, że duża fotografia mężczyzny wisząca na ścianie w pokoju przedstawia właśnie jego. Okazało się, że był to wizerunek kuzyna Alojzego – Leona, razem z którym został wywieziony do Kalisza, a tam przez jedną noc udało mu się, mimo iż przydzielono go do innej grupy, z nim spać.

Kuzyn wrócił do kraju w 1947 roku i tylko dzięki jego informacji o tym, że nazwisko Twardecki zmieniono na Hartmann, matka miała szansę odnaleźć syna. Gdy Alojzy zaczął wypytywać o ojca, mama opowiedziała mu wszystko, co wiedziała, ale by uwiarygodnić informacje, skontaktowała go z oficerami, którzy byli kolegami ułana Leona Władysława i na własne oczy widzieli, jak bohatersko walczył z Niemcami podczas kampanii wrześniowej. Od ojca się zaczęło, a potem Alojzy chciał wiedzieć coraz więcej o tym, co w ogóle działo się w Polsce podczas wojny. Opowiadała mu więc o wkroczeniu Niemców, walkach, a potem o okupacji. O bestialstwie w stosunku do ludności cywilnej, o łapanekach, rozstrzeliwaniach, o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim.

Alojzy był wstrząśnięty, to wszystko było dla niego absolutną nowością, ale przede wszystkim wydawało się nieprawdopodobne. Nie mógł w to uwierzyć, a raczej nie chciał dawać temu wiary, by ta wiedza nie zdruzgotała go

całkowicie. Nie miał pojęcia, jak reagować na relacje o tych okropnościach, przeważnie milczał, dusząc wszystko w sobie. „Obozy koncentracyjne?” – myślał w duchu, bo wciąż tylko łapczywie słuchał, nie uzewnętrzniając swego punktu widzenia. „Nikt u nas nie dawał temu wiary, ale nie tylko u nas, Amerykanie też twierdzili, że to komunistyczna propaganda”. Nawet dziadek i tata, a dotąd były to dla Alojzego autorytety niepodważalne, kwestionowali ich funkcjonowanie. Twierdzili, że były tylko obozy pracy, w których nikogo nie uśmiercano, między innymi gazem, choć zdarzało się, że przebywających tam więźniów bito. W końcu, po kilku takich porażających rozmowach, a raczej porażających informacjach w nich przekazywanych, bo rozmowy odbywały się w przyjacielskim tonie, Alojzy przedstawił wersję wydarzeń, którą jemu w szkole i w mediach wsączono do głowy. Według niej to Polacy mordowali Niemców, nie przebierając w środkach. Powołał się również na książkę, którą przeczytał – *Na ulicach śmierci, droga cierniowa volksdeutschów w Polsce*, w której był dokładny opis „krwawej niedzieli w Bydgoszczy”. Gdy usłyszał, że większość tego typu wydarzeń miała miejsce pod wpływem niemieckich prowokacji, skapitulował. Już nie wiedział komu i w co wierzyć.

Wydawało mu się, że w głowie ktoś poprzestawiał mu wszystkie elementy, ale nadal nie nadażało za tym serce, dotąd bijące dla strony przeciwnej. Żył jak w amoku, ale starał się tego po sobie nie pokazywać. Usilnie pragnął, aby otoczenie, a przede wszystkim mama, myślało, że wszystko z nim w porządku. Nadal pokonywał swym niebieskim rumakiem dalekie trasy.

Czasem zapuszczał się w odległe rejony i nie było go długo w domu. Zbyt długo, bo usłużni ludzie, jak to w małych miejscowościach bywa, natychmiast donosili mamie, że widzieli go wsiadającego do jakiegoś pociągu, co doprowadzało ją do płaczu, bo myślała, że postanowił bez powiadomienia jej wracać do Niemiec. A on pędził różnymi drogami, rozmyślał i czuł, że najwyższy czas, by podjął jakąś decyzję. Właściwie nie był gotów na żadną. Najchętniej uciekłby od całego dotychczasowego świata, a przede wszystkim od tego, o czym się tu, w Polsce, dowiedział. Nie był pewien żadnej racji, ale ta nazbyt go przytłaczała, czyniła go niewolnikiem czarnych myśli, choć nie do końca sprawdzonych. Podczas jednej z wypraw zdecydował, że wróci do Koblencji, zdecydował egoistycznie, bo pomyślał, że tam, z dala od ziemi, na której prawdopodobnie to wszystko się wydarzyło, będzie mu łatwiej. Teraz miał już tylko czekać na moment, w którym najlepiej będzie to postanowienie przekazać mamie. Gdy w dniu podjęcia tej decyzji po przejechaniu wielu kilometrów wszedł do domu, zastał mamę w kiepskim nastroju. Płakała. Dotąd nigdy nie widział jej łez, więc pomyślał, że musiało się wydarzyć coś bardzo złego. Okazało się, że dopiero co wróciła z Poznania, gdzie z dużym opóźnieniem złożyła jego paszport, bo winna była to zrobić zaraz po jego przybyciu do Polski. Przykrości z tego powodu nie były jednak aż tak ważne w porównaniu z tym, że musiała zostawić tam jego dokument, gdyż szef urzędu wyjechał służbowo.

Teraz Alojzy będzie musiał czekać na zawiadomienie o tym, że formalności zostały załatwione, co może utrudnić powrót w terminie, który zaplanował. Czuła się winna zaniedbania, bała się, że chłopiec będzie miał do niej

pretensje. Wyrzuciła to wszystko z siebie, pochlipując co kilka słów, na chwilę zamilkła, po czym stłumionym, bezdźwięcznym, jakby nienależącym do niej głosem zadała pytanie, którego on zupełnie się nie spodziewał, a jej wymyknięto się pewnie z podświadomości, którą dotąd starała się kontrolować, co jak wiadomo nigdy w pełni się nie udaje.

– Wracasz za dwa tygodnie do RFN?

Słów było niewiele, ale oczy mokre od łez mówiły wszystko. Alojzy poczuł się tak, jakby to on, jednoosobowo, popełnił wszystkie przestępstwa świata, czuł się za nie winny, mimo iż nie potrafił nazwać przewinień.

– Mógłbym... ewentualnie... zostać w Polsce – wyrzucił z siebie niepewnie, a gdy wypowiadał ostatnią sylabę, już żałował pierwszej.

Ona nie czekała na nic więcej, tylko po raz pierwszy od jego przyjazdu rzuciła mu się na szyję. Teraz wszystko potoczyło się szybko. Ojciec, zawiadomiony radosnym głosem żony o decyzji syna, już wracając z pracy przyniósł z milicji odpowiednie kwestionariusze. Radość rodziców postępowała równolegle z budzeniem się w chłopcu wątpliwości, uświadamianiem konsekwencji tej podjętej z odruchu serca decyzji. Przecież właśnie tego dnia podjął krańcowo inną. Sam nie był w stanie siebie zrozumieć, ale honor już nie pozwalał mu się wycofać.

Napisał list do Koblencji o swym życiowym postanowieniu. Oczekiwał po nim wiele. Przede wszystkim tego, że ojciec będzie chciał o niego walczyć, że nie zgodzi się tak po prostu z zaistniałą sytuacją. Alfredowi nie wypadało już się wycofywać, ale on mógł coś zrobić w tej sprawie. Prawdę

powiedziawszy, to była ostatnia deska ratunku dla niego po tej spontanicznej decyzji. Liczył też na to, że ten jego radykalny krok zmusi ojca do opowiedzenia się po którejś ze stron sporu między nową żoną a nim. Dotąd nie darował ojcu tego ożenku, a wyjazd do Polski, był w dużej mierze protestem przeciwko temu zdarzeniu. Teraz niecierpliwie czekał na odpowiedź, mając nadzieję, że choć w jednej sprawie go zadowoli. List przyszedł dosyć szybko, ale pognębił Alojzego całkowicie. Ojciec przyjął jego decyzję z ogromną wyrozumiałością, właściwie wydawało się, że pogodził się z nią już w momencie czytania jego listu, co więcej, chłopiec wyczuwał, że przyniosła mu ona pewną ulgę, co oznaczało, że bitwę z ciotką przegrał. Reakcja dziadków była zupełnie inna. Zadał im cios, z którego trudno im się było pozbierać, a dziadek nie potrafił sobie z nim poradzić, co przypłacił życiem. Tyle nadziei i planów wiązał ze swym przybranym – o czym już chyba nawet nie pamiętał – wnukiem.

Od dnia, w którym list Alojzego dotarł do Koblencji, stopniowo gasł. Z nikim nie rozmawiał, zamknął się w sobie jeszcze bardziej, niż miało to miejsce dotąd, chodził na długie spacery z psem, z psem Alojzego. Codziennie. Spędzał dużo czasu przy grobie córki, często bywał tam w nocy. Coraz niechętniej wracał do domu, już nawet sypiał poza nim, w ogrodowej altanie. Kilka miesięcy po wyjeździe Alojzego zmarł na wylew krwi do mózgu, mimo że wcześniej lekarze przepowiadali mu sto lat życia ze względu na nadzwyczaj silny, zdrowy organizm. Chłopiec głęboko przeżył jego odejście, tym bardziej, że obwinił za nie siebie.

„Gdybym wrócił...” – myślał. „Zawiodłem go na całej linii, tak jak mnie rozczarował ojciec”.



A wszystko przez nagłą, pochopną decyzję, która dopiero kilka lat później stała się w pełni świadoma, pozytywnie potwierdzona. Nie można przecież w ciągu kilku tygodni pokochać obcych dotąd ludzi, narodu, w stosunku do którego do tej pory odczuwało się pogardę, a nawet nienawiść, systematycznie przekazywaną przez środowisko, rząd, media. Alojzy musiał jeszcze wiele przeżyć, dowiedzieć się, doświadczyć, przemyśleć w czasie bezsennych nocy, by pozbyć się wątpliwości. A równoległe do tego procesu biegło normalne życie. Mimo trudności językowych i ogromnych braków w zakresie polskiej literatury, w Rogoźnie zrobił maturę i wyjechał na studia do Warszawy, gdzie przyjęto go na wydział handlu zagranicznego SGPiS.

– Alojzy zostanie dyplomata – tak mówiło wielu wokół, a przede wszystkim rodzina, więc poddał się tej diagnozie zawodowej przyszłości, w którą sam w końcu uwierzył. Studia okazały się nudne i nie dla niego, ale pozostał na nich, specjalnie się nie przykładając do nauki. Czuł niedosyt, więc potem studiował jeszcze prawo i germanistykę, a uprawiał zawód tłumacza. W czasach studenckich jednak nie nauka zajmowała go najbardziej, ale drażnienie historii i jej powiązań ze współczesnością, co miało kardynalne znaczenie dla jego przekonań i odnalezienia się w rzeczywistości. Zakończeniem owego nurtu jego funkcjonowania, dramatycznym jego ukoronowaniem, stała się owa wizyta w Oświęcimiu. Tam pozbył się wątpliwości ostatecznie, pozytywnie uporał z nieodpowiedzialną, szczeniacką decyzją, którą podjął kilka lat wcześniej w Rogoźnie, ale tam także przyjął wobec siebie zobowiązanie, któremu wierny był przez całe dalsze życie. Jeszcze w Koblencji dziadek czasem mawiał:

– Z Alfreda wyrośnie kiedyś wielki niemcożerca!

To zdanie często mu się przypominało, stanowiąc ostrzeżenie, memento, wskazówkę, jak powinien dalej żyć. Teraz, po tej wizycie, mogłoby się to przecież stać, tylko czy różniłby się wtedy od tego chłopca, który w Niemczech tak nienawidził Polaków? Bez trudu i jakichkolwiek obiekcji, na zasadzie prostego przeciwstawienia, w dodatku silnie umotywowanego, wpadłby z jednej skrajności w drugą, poddał uczuciom odrazy, wrogości, nienawiści...

Wziął na siebie ogromny trud, wypowiadając walkę takiej postawie i choć zdarzały się momenty zwątpienia, trwały krótko, bo zaraz przywoływał się do porządku, to znaczy do realizacji swego głównego życiowego zadania: czynienia wszystkiego, co możliwe i wydawałoby się niemożliwe, by zbliżyć do siebie dwa narody – polski i niemiecki. Nie był fantastą, więc nie myślał o polubieniu się czy pokochaniu, ale przede wszystkim o wzajemnym zrozumieniu. Był przekonany, że może do tego dojść tylko poprzez wiedzę, niezafałszowane fakty, dzięki którym i on był w stanie, pokonując liczne trudności, wiele zrozumieć, co nie znaczy zaakceptować. Był samotny w tej drodze, towarzyszyło mu niewiele. Jednak tam, wśród baraków Oświęcimia, założył sobie, że nie chce być ani Niemcem, ani Polakiem, tylko prawdziwym człowiekiem, co dla niego oznaczało jednakowe traktowanie wszystkich ludzi, niezależnie od stanu, poglądów, narodowości czy wyznania. Po prostu chciał być człowiekiem ze wszystkimi przywilejami i obowiązkami przynależnymi do tego miana, oznaczającego stan świadomości.



## **Źródła**

Christian Michał, *Witraż. W poszukiwaniu tożsamości. O dzieciach i sierotach wojennych*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2017.

Hrabar Roman, *Lebensborn, czyli źródło życia*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1976.

Karpińska-Morek Ewelina, Waś-Turecka Agnieszka, Sieradzka Monika, Wróblewski Artur, Majta Tomasz, Drzonek Michał, *Teraz jesteście Niemcami*, Wydawnictwo M, Kraków 2018.

Malinowska Anna, *Brunatna kołysanka*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2017.

Ner Karol, *Ogień w ampułkach*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1975.

Nowak Włodzimierz, *Obwód głowy*, Wydawnictwo Czarne, Warszawa 2015.

Schmitz-Köster Dorothee, Vankann Tristan, *Dzieci Hitlera. Losy urodzonych w Lebensborn*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2014.

Twardecki Alojzy, *Szkoła janczarów, listy do niemieckiego przyjaciela*, Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1979.

*Z kart historii polskich janczarów XX wieku*, oprac. Barbara Paciorkiewicz, *Zrzeszenie Dzieci Polskich Germanizowanych przez Reżim Hitlerowski*, Łódź 2000.

Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią i Ośrodka KARTA.

Nagrania z portalu „Świadkowie historii”, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Wspomnienia niepublikowane Henryka Kowalczyka.

Rozmowy z Dariuszem Dziekanem, Rafałem Ochędzanem, Józefem Sową.



## **Spis treści**

Wstęp

1. Mama i Mutti – miała dwie matki

2. Serdecznie współczuję mojej matce

3. Opiekuj się Kazią

4. Jestem stąd, jestem Niemką

5. Bez prawa wyboru

6. Tato!

7. Popekane życie

8. Być człowiekiem

Źródła

Zdjęcia

[Wydawnictwo Replika poleca](#)





Mama i Mutti Alodii Witaszek – Halina Witaszek i Luise Dahl – po 22 latach korespondowania ze sobą jako dwie przyjaciółki. 1969 r.

*Źródło: Archiwum rodziny Witaszków*





Henryk Kowalczyk, z zawodu archiwista, przy pracy.





Broszura propagująca program Lebensborn. Omawiała m.in. organizację domów i wymagania stawiane przeszłym matkom rodzącym „dla Rzeszy”.

*Źródło: USHMM*





„Świątą winna być nam każda matka dobrej krwi” – takie motto Heinricha Himmlera zdobiło odznakę przynależności do programu Lebensborn.

*Źródło: Wikimedia Commons*





Lebensborn  
Hauptabteilung Rachtwaren

München 2, den 18. Dez. 1943  
Heinrich Heine 24  
Postfach: München 1, Scheffelstr. 14  
Telefon: 12 14 15 12

Herrn  
Karl Müller  
R i c h r a h h / Langenfeld  
Rietherbachstr. 11

R IV/I - A.E. - 023 - Hei/MHW -  
Betreff: Vermittlung eines Kindes  
Bezug: Voraufgegangener Briefwechsel  
Anlage: 2 Gesundheitsanweise

Sehr geehrter Herr Müller!

Ich freue mich, Ihnen endlich mitteilen zu können, daß ich zwei Jungen gefunden habe, von denen Ihnen bestimmt einer gefallen wird. Es handelt sich um den am 11. 3. 1937 geborenen Sepp P i e h l und den am 3. 12. 1935 geborenen Eugen B a r t e l. Ich denke, daß mindestens einer von diesen Altersmäßig sehr gut in Ihre Familie hineinpassen wird. Die Kinder befinden sich zur Zeit im Heim Oberweis (Oberdonau). Richten Sie sich mit Ihrer Anreise so ein, daß Sie am 4. Januar 1944 mit dem Zug 6.19 Uhr in Gmunden abfahren und 6.37 Uhr in Oberweis ankommen. Falls Sie für eine Nacht Unterkunft wünschen, bitte ich um Ihre Nachricht. Ich werde mich dann entsprechend bemühen. Ausweispapiere sind mitzubringen.

Geben Sie mir bis spätestens 22. 12. 1943 hier eintreffend Nachricht, ob ich mit Ihrem Besuch in Oberweis am 4. Januar rechnen kann.

Unabhängig davon bitte ich Sie für die Ausfüllung der beliebigen Gesundheitsanweise für Sie selbst und Ihre Gattin besorgt zu sein. Der in Anspruch genommene Amts- oder 1-Arzt wird mir wohl wie üblich die ausgefüllten Formulare direkt zugehen lassen.

In übrigen hoffe ich, Ihnen mit der heutigen Botschaft eine Weihnachtsfreude besonderer Art bereitet zu haben.

Heil Hitler!  
In Auftrage:

Pismo Lebensbornu z 18 grudnia 1943 r. do obywatela Niemiec Karola Müllera informujące, iż znaleziono dla niego dwóch chłopców (Sepp Piehl i Eugen Bartel), z których jednego będzie mógł sobie wybrać. Wymieniony w piśmie Eugen Bartel to dziecko polskie, które RuSHA (Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS) w Łodzi przeznaczył do „ponownego zniemczenia”. Lebensborn sfalszował metrykę urodzenia przerabiając oryginalne dane: Eugeniusz Bartczak.

Źródło: Wikimedia Commons





“Domy matki” – ulotka propagandowa reklamująca obiekty Lebensbornu z 1938 r.

Źródło: Wikimedia Commons





Pomieszczenia jednego z domów Lebensbornu: sala porodów, sala operacyjna, pokój niemowlęcy.

Nowoczesne wnętrza i wyposażenie miały stanowić zachętę dla młodych matek.

*Źródło: Wikimedia Commons*





Max Sollmann (1904-1978) – szef Lebensborn e. V. od marca 1940, aż do końca działalności w kwietniu 1945 r. Sądzony przez Amerykański Trybunał Wojskowy w procesie RuSHA (Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS) w 1948 r. i skazany na dwa lata i osiem miesięcy więzienia, został jednak zwolniony wskutek zaliczenia na poczet kary pobytu w areszcie śledczym. Zdjęcie 1950 r.

*Źródło: Bayerische Staatsbibliothek, Bildarchiv fruh-19156*



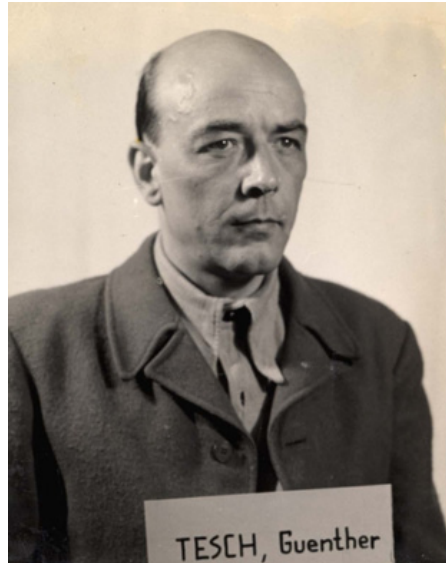




Gregor Ebner (1892-1974) – SS-Oberführer, szef Głównego Wydziału Zdrowia Lebensborn. Bliski przyjaciel Heinricha Himmlera z czasów szkolnych, był uważany za eksperta w sprawach „higieny rasowej” i „problemów selekcji rasowej”. Schwytany pod koniec wojny, sądzony za zbrodnie przeciwko ludzkości, zbrodnie wojenne i przynależność do organizacji przestępczej, czyli SS, z dwóch pierwszych zarzutów został uniewinniony.

*Źródło: Wikimedia Commons*





Günther Tesch (1907-1989) – prawnik i SS-Führer. Szef Działu Prawnego Lebensborn e.V. Sądzony przez Amerykański Trybunał Wojskowy w procesie RuSHA, został zwolniony, gdyż zaliczono mu na poczet kary pobyt.

*Źródło: Wikimedia Commons*





Inge Viermetz

(1908-1997) – SS-Gefolge, szef *Abteilungsleiterin* Wydziału Głównego A  
Lebensborn. Uniewinniona

w procesie RuSHA

w 1948 r. z braku dowodów.

*Źródło: Wikimedia Commons*



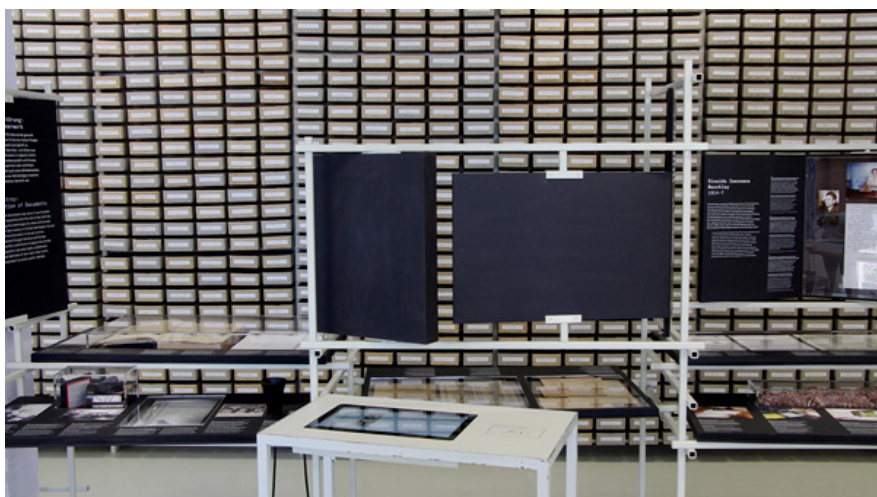


Roman Hrabar (1909-1996) – prawnik, Pełnomocnik Rządu Polskiego (lubelskiego) ds. Rewindykacji Dzieci Polskich wykradzionych przez Lebensborn podczas II wojny światowej i poddanych germanizacji. To za sprawą jego uporu i wytrwałości wiele rodzin zdołało połączyć się ponownie po wojennej zawierusze.

*Źródło: IPN*







Trzydzieści milionów dokumentów zgromadzonych przez Międzynarodową Służbę Poszukiwań w Bad Arlosen wciąż daje nadzieję na rozplątanie ludzkich losów po wojennej zawierusze.

*Źródło: Wikimedia Commons*



**Wydawnictwo REPLIKA poleca także:**



**Agnieszka Lewandowska-Kąkol**  
**NA KOŃCU CZEKA MIŁOŚĆ**

**Są takie rany na duszy i sercu, których nawet czas nie uleczy.  
Historia inspirowana prawdziwymi wydarzeniami.**

Kiedy wybucha II wojna światowa – Otylia akurat jest w ciąży. Wojna zastaje innych członków rodziny w różnych miejscach na świecie. Ojciec Otylii, nestor rodu, profesor Uniwersytetu Wileńskiego, zostaje aresztowany przez NKWD i słuch po nim ginie. Jej matka wraz ze swoją siostrą zostają wywiezione do Kazachstanu, gdzie przeżywają piekło. Natomiast mąż, wracając z ostatnich, jeszcze spokojnych wakacji z Grecji, traci syna, który wypada za burtę statku. Zrozpaczony Feliks przedostaje się do Anglii. Miotany niepokojem o pozostawioną w Polsce żonę, która samotnie boryka się z grozą okupacji, nie wie, jak powiedzieć jej o tragedii. Sam bierze udział w walce o Narwik, szkoli się w brytyjskim ośrodku szkoleniowym dla spadochroniarzy i nawet nie przypuszcza, że jego delikatna żona również jest zdolna do heroicznym czynów.

Na końcu zawsze czeka miłość, ale jej ścieżki bywają nieraz cierniste.

Czy wszystkim bohaterom uda się przeżyć wojnę i czy rodzina znów będzie mogła się połączyć?



**Wydawnictwo REPLIKA poleca także:**



**Ewa Formella**  
**PAMIĘĆ DLA HELENY**

**W tej historii sporo jest fikcji stworzonej na potrzeby powieści, ale ona wydarzyła się naprawdę. Gdzieś, komuś i dawno temu.**

Jest rok 1941. Niespełna szesnastoletnia Helena wraz z dwójką przyrodniego rodzeństwa zostaje zabrana z domu rodzinnego, rzekomo na badania. Rzeczywistość okazuje się jednak bardziej brutalna, ponieważ cała trójka trafia do ośrodka Lebensborn mieszczącego się na terenie zachodniej Polski.

W ośrodku Helena zostaje pomocą kucharki, a jej młodsze rodzeństwo trafia do niemieckich rodzin. Młoda dziewczyna szybko wpada w oko pewnemu wysokiemu ranga oficerowi, którego żona nie może mieć dzieci. Mężczyzna postanawia, że właśnie piękna blondwłosa Helena będzie matką jego dzieci.

W ośrodku jest więcej kobiet zapłodnionych przez niemieckich oficerów, które rodzą dla dobra Rzeszy. Helena jednak odbiera to zupełnie inaczej, zwłaszcza gdy zakochuje się w młodym niemieckim kierowcy „jej” oficera.

W obliczu klęski Niemiec i w obawie przed śmiercią grożącą ukochanej Viktor pomaga Helenie uciec z ośrodka. Niestety, pomimo wielu starań, po wojnie nie potrafi jej odnaleźć.

Co się stało z Heleną? Czy potrafiła ułożyć sobie życie w nowej rzeczywistości? A może demony przeszłości nigdy jej nie opuściły?

*Burza przemyśleń, uczuć i emocji w mistrzowski sposób przelanych na papier. Rewelacyjna powieść! Porywa, wzrusza i zmusza do refleksji. Polecam ją z całego serca.*

Jolanta Kosowska – pisarka